

✓  
„ORZEŁ BIAŁY“  
(White Eagle)  
(Aigle Blanc)

June 1965

Price 3/6

Cena 3/6  
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca o wolność*

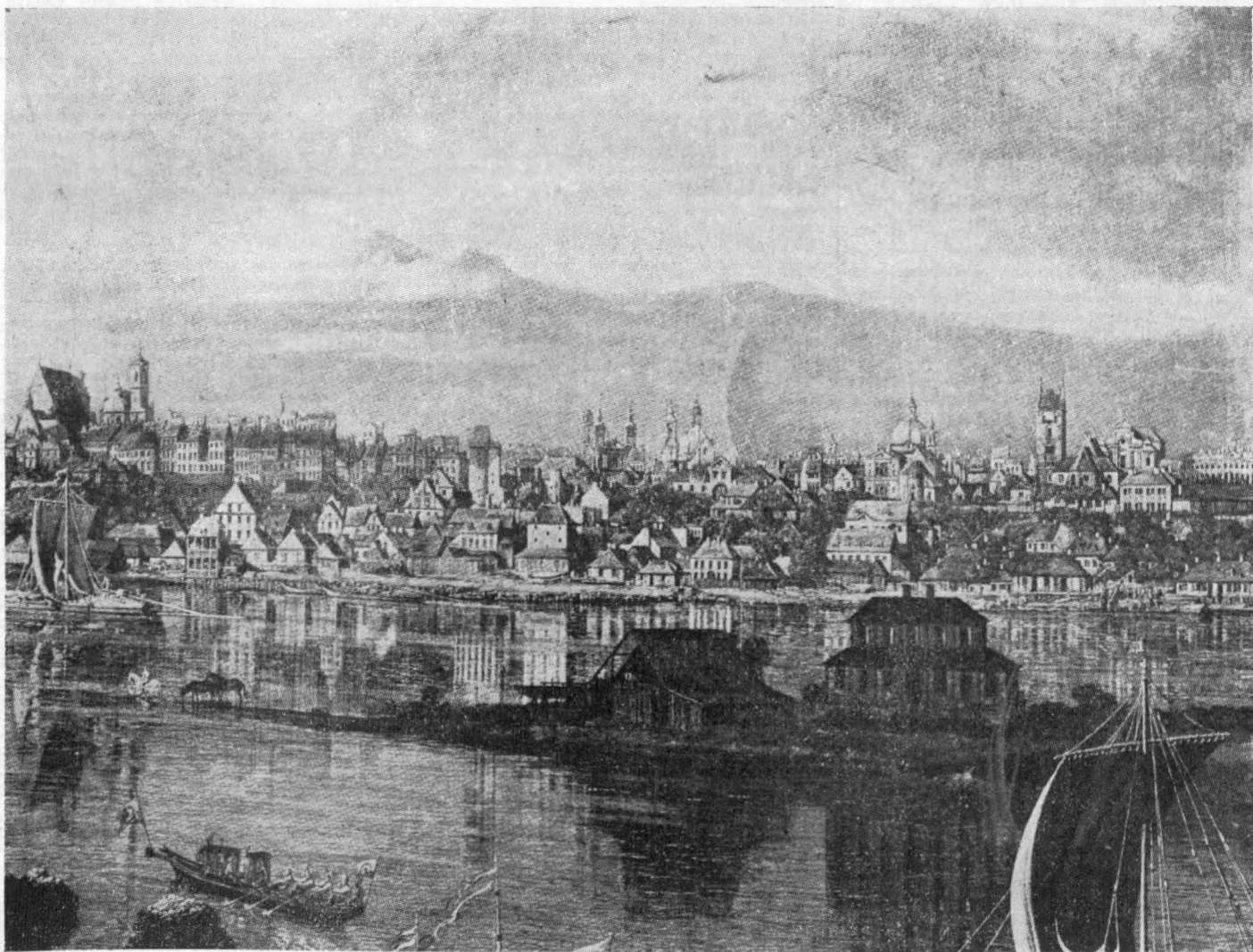
MIESIĘCZNIK POSWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

CZERWIEC

1965

Nr 11/1158



*Bernardo Belotto Canaletto — Panorama Warszawy z czasów stanisławowskich.  
Widok od Katedry św. Jana do Pałacu Sapieżyńskich*

**52 strony**

- „Opowieść o wielu miastach“ — str. 24
- „A może Mao ma rację?“ — str. 4
- „Syn Noego — Cham“ — str. 34
- „Między plotką i anegdotą“ — str. 7
- „Maman“ króla Stasia — str. 31

FP 2156

## W NUMERZE:

- Paweł Zaremba — *Plan de Gaulle'a i plan Brzezińskiego*, str. 1.  
Zdzisław Stahl — *Hasła wyborcze i polityka L. B. Johnsona*, str. 2.  
Tadeusz Norwid — *A może Mao ma rację?*, str. 4.  
J. P. H. — *Między plotką i anegdotą*, str. 7.  
Zbigniew Grabowski — *Włochy (II)* (Z cyklu: *Ojczyzna Europa*), str. 9.  
Józef Poniatowski — *Co przynosi rocznik statystyczny 1964 roku?*, str. 13.  
W. Opolski — *Gryfice*, str. 15.  
Bohdan Samborski — *Francuskie studium o Jalcie*, str. 16.  
Janina Miedzińska — *Ustawa o sądach społecznych w Polsce*, str. 17.  
Stefan Wóycicki — *Międzynarodowy sezon teatralny*, str. 19.  
Alicja Cybulska — *Drzewo życia czyli żywot człowieka siedzącego*, str. 23.  
Stefan Osiecki — *Opowieść o wielu miastach*, str. 24.  
Książki — str. 28.  
Hilda Jankowska — *„Maman“ króla Stasia*, str. 31.  
Czesław Dobek — *Bohaterowie o zmierzchu*, str. 33.  
Mieczysław Paszkiewicz — *Syn Noego — Cham*, str. 34.  
T. J. Lewandowska — *Agencja piękno- duchów*, str. 36.  
Paweł Hęciak — *Sir Stanley Matthews*, str. 37.  
Jan Ostrowski — *Życie kulturalne polskiego Londynu*, str. 40.  
(P. H.) — *Dom Kombatanta w Manchester i „Z myślą o młodym pokoleniu“* (reportaż z Rugby), str. 44 i 45.  
Krzyżówka, Listy do Redakcji: *„Listy Przyrodzone“*.

## LISTY DO REDAKCJI

### „POCHWAŁA“ P. MASŁAWSKIEGO

Drogi Panie Redaktorze,

Czy udzieli mi Pan jeszcze raz trochę miejsca na łamach swego poczytnego pisma w związku z moim listem do „Orla Białego“ (luty, 1965), dyskutującym artykuły pp. Lisa i Paczyńskiego? Nikt się, jak dotąd, nie wypowiedział przeciwko moim opiniom, zostałem jednak pochwalony na łamach wydawanego w Warszawie pisma, pt. „7 dni w Polsce“ (z dnia 14 marca 1965 r.), które przedrukowało wyjątki z mego listu i opatrzyło je komentarzem.

Któż sobie nie ceni pochwały? Przyznaję się do tej słabości, ale pragnę zaznaczyć, że patrzę — a przynajmniej staram się patrzeć — krytycznie na każdą (niestety, nie wiele ich jest) pochwałę w stosunku do mnie. Ostrożność nie zawadzi.

Komentator „7 dni“, p. Antoni Masławski, pisze: „Uważa (tzn. ja — uważam), że z „ideowymi przeciwnikami“ należy prowadzić rozmowę i dyskusję, a nie posługiwać się anatemi. Jesteśmy tego samego zdania“. Otóż — 1) sformułowanie, że „uważam“ i że „należy“ jest zbyt kategorycznym przedstawieniem moich refleksji wyrażonych w postaci pytań, 2) użycie cudzoźstwu przy określeniu „ideowymi przeciwnikami“ sprawia wrażenie, iż słowa te wzięte zostały z mego listu. Tak nie jest — w całym liście takich słów nie użyłem. Tyle samego sprostowania skrzywień komentarza.

A teraz wątpliwość. Czy rzeczywiście jesteśmy (tzn. p. Masławski i ja) tego samego zdania? Bliższa analiza jego uwag nasuwa mi pewne wątpliwości. Po pierwsze — anatema. Rzucić anatemi to nie znaczy tylko przekląć czy wykląć kogoś słownie, lecz wyłączyć go ze społeczności kościelnej, a to jest, a przynajmniej kiedyś było, związane z wieloma, bardzo dotkliwymi przykrościami. Przetłumaczywszy to określenie na język dzisiejszy i świecki „anatemę“ może rzucić ten, kto ma środki administracyjne w swym ręku i chętnie ich używa dla stłumienia głosu przeciwnika. Ja się zgadzam, że anatema nie jest stosowną metodą w rozmowie czy dyskusji, ale czy p. Masławski zgadza się na takie

pojmowanie sprawy, że nikt nie może być ukarany, pod jakimkolwiek, nawet najbardziej „wzniosłym“ pretekstem, za opinie, które wygłasza?

W dalszym ciągu swego komentarza, pisze on: „...między krajem a Polsnią niezbędny jest dialog, szczerza wymiana zdań i myśli. Nie zamierzamy zacięrać czy lekceważyć istniejących różnic...“ Jeśli dyskusja — to poważna, a nie teka w której dyskutant sam sobie, w dwu następujących po sobie zdaniach, przeczy. „Nie zamierzamy zacięrać... istniejących różnic“ — a czym jest nazywanie politycznej emigracji niepedagogicznej nie tą własną nazwą, do której ona sama się przyznaje, lecz inną, jakąś bliżej nieokreśloną Polsnią? Może to drobiazg, ale charakterystyczny. Czy komentator „7 dni“ zgadza się, że tu coś nie jest w porządku?

Zakładam (może niesłusznie) — że p. Masławski rzeczywiście myśli o dyskusji z przeciwnikami, a nie z wybranymi przez siebie ludźmi o tych samych co on poglądach, których może nazwać jak zechce. Jeśli się mylę, to nie pozostaje mi nic innego jak tylko powtórzyć mą opinię z listu, że „dyskusja z ludźmi o tych samych poglądach jest rzeczą przyjemną i łatwą... ale na dłuższą metę jest bezplodna“.

Są co najmniej dwa podstawowe elementy bez których nie można mówić o „dialogu, szczerzej wymianie zdań i myśli“, a mianowicie: równość i wolność obu stron. Przez pierwsze rozumiem jednakowe szanse dla rozmawiających przedstawienia swych poglądów publicznie, przez drugie — nieskrępowanie obu stron swymi, narzuconymi z zewnątrz, instrukcjami, których nie wolno przekroczyć pod groźbą anatemy i wynikających z niej konsekwencji. Czy p. Masławski zgadza się (w tej chwili oczywiście teoretycznie), że protokół takiego dialogu i szczerzej wymiany zdań winien być ogłoszony i udostępniony wszystkim i w kraju i zagranicą? Oczywiście bez żadnych „cudów“ cenzuralnych.

A jeśli nie mógłby on być ogłoszony, to czy p. Masławski zgodzi się ze mną, że miałem rację pisząc w swym liście, że taka polityka zakazów „przypomina szkołę dla niedorozwiniętych... a w każdym bądź razie zdaje się świadczyć o niezbyt wielkiej wierze albo w słuszność sprawy albo w siłę szeregów“, w tym wypadku jednak nie emigracyjnych lecz tych, do których on należy. Przy okazji: artykuł w „7 dniach“ omawiający mój list, nosi tytuł „Szkoła dla niedorozwiniętych“. Tytuł — to bardzo obseczna broń...

Podobnych pytań i zastrzeżeń mam więcej, ale te mi wystarczą do stwierdzenia: dopóki nie dostanę od komentatora „7 dni“ pozytywnej odpowiedzi na postawione przeze mnie pytania nie mogę się z nim zgodzić, „że się zgadzamy“.

Przepraszam, Panie Redaktorze za zbyt długi może list i proszę przyjąć wyrazy poważania

Tadeusz Bornholtz  
Chislehurst, Kent.

★

### A JEDNAK...

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie wierzyłem, że się wam uda zmienić „Orla“ na miesięcznik, który pod każdym względem „przyjemnie jest mieć w ręku“.

A jednak... jest! Udalo się! Ciekawy, bogaty w treści, bez zarzutu graficznie i nawet, nawet bezstronny.

Powodzenia szczerze życzy

Ludwik Magierski  
Chicago, Ill.

# fraszki

## Wyjątek potwierdzający regułę

*Chociaż mnie to dziwi ogromnie,  
Jest general, co nie wydał swych wojennych wspomnień.*

## Podstawa założeń komunistycznych

*Równość: dla wszystkich jednakowa szansa:  
Dla człowieka i dla szympansa.*

## Idealiści

*Ludzie, co nie chcą zrobić dla pieniędzy,  
Zazwyczaj kończą w nędzy.*

RAWICZ





# ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność  
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM  
WSPÓŁCZESNYM

Nr 11/1158

CZERWIEC 1965

Rok XXV

PAWEŁ ZAREMBA

## PLAN DE GAULLE'A I PLAN BRZEZIŃSKIEGO

**PLANY** „urządzenia Europy“ stały się popularne. Przyczyna jest prosta. Mija dwadzieścia lat od końca wojny z Niemcami i pokój nie został zawarty. Trwa stan „ni to wojny ni pokoju“, w którym wszystko co miało być tymczasowe nabrało cech stałości.

Mało kto na Zachodzie pamięta dziś czy chce pamiętać, że zamiana tymczasowości w stałość jest zwycięstwem polityki sowieckiej, warunkowanej przeszkodami na jakie napotkała w swym planie podstawowym. Plan podstawowy zakładał opanowanie całej Europy a nie tylko Europy Środkowo-Wschodniej. Europę Środkowo-Wschodnią oddał Zachód pod władanie Sowietów bez oporu. Natomiast Europę Zachodnią zdołał obronić. Nie wykorzystał wszakże żadnej ze sposobności wyzwolenia lub chociażby tylko osłabienia władzy sowieckiej nad pasem państw od Zatoki Fińskiej po Balkany. Polityka „liberation“ stała się pustym słowem i nikt go dziś nie wypowiada głośno. Natomiast polityka „containement“ zdala próbę życia.

Taka jest rzeczywistość i należy pamiętać o niej jeśli chce się myśleć politycznie. Lub historycznie, co na jedno wychodzi.

Należy jednak pamiętać także i o tym, że rzeczywistość ta nie może zadowolić studiumdziesiąt milionów Europejczyków poddanych władzy komunistycznej. Przeciwnie, jest ona ich krzywdą dziejową i tragedią z którą pogodzić się psychicznie nie mogą, nawet gdy się z nią godzić muszą w układzie praktycznym.

Lecz tymczasowość czy „zimna wojna“ nie zadawała dziś nikogo. Nie zadawała Europy zachodniej — mówiąc ogólnie. Nie zadawała Francji i nie zadawała Niemiec, podzielonych na dwa państwa i dwa systemy, podobnie jak podzielono Koreę i Wiet-Nam. Nie zadawała także Ameryki, której Europa zachodnia zawdzięcza swą wolność i która jak dotychczas jest jedynym gwarantem tej wolności.

Stąd namnożenie się koncepcji, których ogólnym celem jest pogodzenie czarnego z białym w ramach geograficznej całości, jaką jest Europa. De Gaulle nazwał ją koncepcją Europy po Ural. Jej cechą zasadniczą ma być obalenie żelaznej kurtyny przy zachowaniu systemu rządów komunistycznych tam gdzie są. Praktycznym sposobem przybliżenia realizacji tej koncepcji jest zbliżenie się Francji do Rosji Sowieckiej przy jednoczesnym ataku na samą obecność Ameryki w Europie. Przystanką rozumową jest wiara w nieodwracalność ewolucji w krajach do niedawna zwa-

nych satelickimi. A także wiara w ewolucję w samej Rosji, co łączy się misternie z świadomością jej zagrożenia przez zbudowane w obozie komunistycznym Chiny.

Koncepcja de Gaulle'a jest powszechnie znana. Ameryka i reszta Europy zachodniej przygląda się jej z mieszaniną obawy i nadziei; Rosja nie angażując się niczym pochwała ją z tego tylko powodu, że podważa stanowisko Stanów Zjednoczonych.

Od niedawna także ze strony amerykańskiej zaczęto tworzyć koncepcje nowego „urządzenia Europy“. Najciekawszą jest koncepcja profesora Brzezińskiego z Uniwersytetu Columbia, Polaka z pochodzenia, znajdującego sprawy europejskie świetnie i odważnego w swych pomysłach. Pomysły te znalazły wyraz w szeregu artykułów i w książce, która ukazała się w tych dniach. Artykuły o „Pokojuwym zaangażowaniu“ — w przeciwstawieniu do „Peaceful Disengagement“ — ukazały się w angielskim „Encounter“, niemieckim „Die Zeit“ i w polskiej „Kulturze“.

Brzeziński wysuwa koncepcję podobną do degaullowskiej. Z tym wszakże, że nie wyłącza z niej Ameryki. Przeciwnie przydaje jej poważną rolę w urządzeniu Europy. Wychodzi z założenia, że Ameryka jest podstawą siły obronnej Zachodu i że siła ta jest konieczna przy

wszelkiego rodzaju rozmowach i układach z Sowiecami. Nie można odmówić słuszności temu założeniu.

Natomiast wątpliwości budzić muszą inne przestanki i wiele przewidywań.

Podobnie jak de Gaulle Brzeziński uważa, że ewolucja w bloku komunistycznym jest zjawiskiem nieodwracalnym. To znaczy, że Sowieci albo są za słabe albo nie chcą procesu ewolucji hamować.

Być może, że są za słabe w chwili obecnej. W takim razie ze względów taktycznych ewolucji tej nie hamują. Przykładem jest Rumunia i szereg innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Lecz przykładem nie są ani Polska ani Niemcy Wschodnie, gdzie proces ewolucji idzie w kierunku przeciwnym liberalizacji stosunków.

Nie ma też dowodu na podstawową tezę Brzezińskiego, wyłączającą możliwość starcia zbrojnego na terenie Europy. Logika przemawia za tym co mówi, lecz logika nie jest podstawą polityki sowieckiej.

W ogromnym skrócie — do spraw tych nieraz jeszcze wypadnie nam powrócić — koncepcja Brzezińskiego dąży do stworzenia warunków spokojnego współżycia obu systemów, demokratycznego i komunistycznego, w Europie. W układzie takim nieufność i obawa zaczęta zwolna ustępować chęci współpracy. Zwłaszcza na odcinku gospodarczym. Tu Brzeziński przeprowadza rzeczową analizę trudności gospodarczych bloku sowieckiego, wykazuje konieczność pomocy zachodniej, amerykańskiej przede wszystkim. Proponuje nawet z szafowania tą pomocą stworzyć broń nacisku, która by gwarantowała dotrzymanie takich lub innych zobowiązań. Jednocześnie należy dążyć do rozluźnienia więzów między „satelitami“ a Kremlem. Różnymi sposobami: politycznymi, kulturalnymi itd. Lecz z drugiej strony liczyć można na zmiany ku lepszemu po tamtej stronie tylko traktując Rosję Sowiecką i zagarniętą przez nią Europę Środkowo-Wschodnią jako całość. Wszystkie procesy ewolucyjne mają się odbywać paralelnie.

Z tym stanowiskiem trudno się zgodzić. Ze względów zasadniczych i z oceny rzeczywistości. Natomiast z uznaniem powitać należy myśl Brzezińskiego, że ułożenia stosunków w Europie nie można rozpocząć od sprawy Niemiec. Ich zjednoczenie nie jest warunkiem niczego. Może być końcową fazą a nie początkową. Niemcy można zjednoczyć tylko wtedy, gdy Europa będzie już zjednoczona na ten czy inny sposób. W przeciwnym razie grozi i Wschodowi i Zachodowi hegemonia, jeśli nie Niemiec to niemieckich interesów. Oczywiście granicy z Polską Brzeziński nie poddaje pod dyskusję w żadnym wypadku.

Powidzieliśmy o „planie de Gaulle'a“ i o „planie Brzezińskiego“, stawiając je na jednej płaszczyźnie. Wydaje się, że na to zasługują. Nie wiadomo wszakże

(Dokończenie na str. 7)

# HASŁA WYBORCZE I POLITYKA

**P**ORÓWNANIE międzynarodowych haseł wyborczych, pod którymi L. B. Johnson odniósł zwycięstwo nad Barry Goldwaterem, z polityką jaką obecnie prowadzi, to klasyczny przykład dystansu, dzielącego w demokracjach programy od praktyki i wykonania.

Senator Arizony atakował Demokratów za ustępliwość wobec komunizmu, domagał się w szczególności energiczniejszego zwalczania ich na terenie Wietnamu. Propagował zarazem ogólne wzmocnienie kursu wobec bloku komunistycznego, nie wykluczając Rosji Sowieckiej, z którą koegzystencję Białego Domu — za Kennedy'ego oraz w pierwszym roku rządów Johnsona — ostro krytykował. LBJ natomiast, chociaż osobiście był bardzo oględny w wypowiedziach, dotyczących polityki międzynarodowej, występował niemniej przed wyborcami w roli kontynuatora linii swego poprzednika i oczywistego reprezentanta programu, który Goldwater na czele Republikanów zwalczał. Przekonanie to opierało się nie tylko na przynależności następcy Kennedy'ego do tej samej partii Demokratów, ale również na tym, że zatrzymał on obu członków gabinetu, sekretarzy stanu i obrony, Dean Ruska oraz Roberta McNamare, odpowiedzialnych za politykę międzynarodową.

Czego świadkami, wbrew tej powszechnej opinii i zapowiedziom, jesteśmy obecnie? Stany Zjednoczone za Johnsona zastrzyły swoją ogólną politykę wobec bloku komunistycznego, nie wykluczając Rosji Sowieckiej a „czerwony drut“ Biały Dom—Kreml wyszedł z użycia; przystąpiły do ofensywnej „eskalacji“ wojskowej na terenie Wietnamu i dążą do rozstrzygnięcia tamtejszego konfliktu poprzez argumenty siły. Wreszcie, gdy doszło do zagrożenia przez komunistów w San Domingo na wyspie Dominikanie, Johnson — pobierając błyskawicznie decyzję — nie wahał się użyć siły, celem zapobieżenia nowej Kubie u brzegów kontynentu amerykańskiego. Przypomniał przy tym twardo, że nie dopuści do nowego naruszenia doktryny Monroe'ego (obrona przed wrogim ustrojem na obszarach Ameryki), do którego doszło za jego poprzedników, Eisenhowera i Kennedy'ego, na skutek ich kunktatorstwa oraz miękkości.

## GOLDWATER — ZA, KENNEDY'OWIE I INTELKTUALIŚCI DEMOKRATÓW — PRZECIWI

W rezultacie takiej linii politycznej, przyjętej przez Johnsona, niespodziewanej i zaskakującej niektóre sfery jego własnej partii, wytworzyła się również nieoczekiwana sytuacja. Goldwater o-

świadczył na konferencji prasowej w Paryżu, że popiera w zakresie polityki międzynarodowej swego prezydenckiego przeciwnika, a natomiast niektóre ważne i górne sfery własnej partii Demokratycznej Johnsona odniosły się do niej krytycznie. Sam LBJ, jakby już był dawniej przewidywał podobny obrót wypadków, powiedział w jednym z licznych oświadczeń ostatnich tygodni, że obywatele Stanów Zjednoczonych poznają dopiero teraz swego Prezydenta.

Opozycja w stosunku do Johnsona, jak można się domyślać, wyszła przede wszystkim z tych kół, które koegzystencję z Sowietami i ustępliwą oględność wobec komunistycznej ekspansji uważają za dogmaty amerykańskiej polityki międzynarodowej. Publicyści więc z Lippmannem na czele, dalej sowietologowie i uniwersyteccy intelektualiści, koła bliskie Białemu Domowi za Kennedy'ego i odsunięte przez Johnsona zajęły postawę krytyczną. Tu dochodzi jeszcze jeden ważny element amerykańskiego życia politycznego w postaci klanu Kennedych, który z Robertem obecnie na czele i z powodów zapewne nie tylko ideologicznych od ubiegłego jeszcze roku stopniowo oddalał się od następcy Johna Fitzgeralda.

Punktem kulminacyjnym rozprawy między intelektualistami a nowym Białym Domem stała się wielka debata, odbyta w Waszyngtonie 15 maja przy współudziale tysiąca pięciuset uczestników oraz przy radiotelefonicznym kontakcie z przedstawicielami około stu amerykańskich uniwersytetów z 35 stanów. Politykę rządu miał reprezentować McGeorge Bundy, główny doradca Prezydenta w sprawach międzynarodowych, a jako czołowych mówców świata intelektualnego wymieniano następujących profesorów: A. Schlesinger, G. Kahin, Hans Morgenthau, Mary Wright i Z. Brzeziński, który zresztą nie należy do skrajnego skrzydła tego zespołu.

Ostatecznie Bundy wymówił się od współudziału, a waszyngtońska debata nie wywarła, jak wydaje się, większego wpływu.

Henry Brandon, korespondent londyńskiego „Sunday Times“ pisał na łamach tego niedzielnego pisma 16 maja, że znaczna większość opinii amerykańskiej, co potwierdzają statystycy, popiera linię Prezydenta, zarówno w sprawie Wietnamu, jak i Dominikany. Natomiast opozycyjne nastroje intelektualistów, owiane są duchem pacyfistycznego strachu przed wojną oraz obawą, że Rosja „zostanie przez stanowiącą

politykę Johnsona skłoniona do porzucenia koegzystencji z Zachodem“.

## „NONSENSY“ INTELKTUALISTÓW I OCENA RUSKA

Sekretarz Stanu, Dean Rusk nazwał tezy intelektualistów naiwną łatwowiernością i stekiem nonsensów, a ponadto wypowiedział się polemicznie w stosunku do opinii podkomisji politycznej Izby Reprezentatów Stanów Zjednoczonych. Podkomisja ta dłuższego czasu badała zagadnienie konfliktu Moskwa—Pekin i ogłosiła teraz ich rezultaty, pokrywające się na ogół ze znanymi tezami amerykańskich sowietologów. Chiny komunistyczne, według podkomisji, dążą do opanowania świata przez wojnę, podczas gdy Rosja Sowiecka zamierza tenże cel osiągnąć poprzez pokojową koegzystencję. Wobec tego, że — zdaniem podkomisji — czerwone Chiny mogą stać się w ciągu pięciu lat pierwszorzędną potęgą atomową, co umożliwi im zawojowanie Azji i zagrożenie Sowietom, te ostatnie stoją przed alternatywą: porozumieć się z Chinami albo porozumieć się z Zachodem. Podkomisja w ostrożnych terminach zaleca rządowi Stanów Zjednoczonych wzięcie pod uwagę powyższej sytuacji i rozwijanie stosunków z Rosją.

Dean Rusk, który jeszcze za Kennedy'ego wykazywał zawsze krytycyzm w stosunku do opierania polityki amerykańskiej na założeniu istotnego konfliktu Moskwy z Pekinem, tym razem wylał także pozytywny kubek zimnej wody na głowy entuzjasmów „koegzystowania“ z Sowietami. Oświadczył on, że nie widzi żadnych szans współpracy amerykańsko-sowieckiej, skierowanej przeciw Pekinowi, ponieważ spory między nimi mają charakter rodzinny i komunistyczna wrogość wobec kapitalizmu dalej łączy obie stolice. Chiny, według Ruska, chcą wprawdzie opanować całą pld.-wschodnią Azję, ale do wojny nie zmiernają. Ścisła współpraca sowiecko-chińska, stwierdzają dalej Rusk, nasuwa wprawdzie wolnemu światu trudne problemy, ale rywalizacja ma również niebezpieczne aspekty. Groźna jest zwłaszcza, gdy polega na prześciganii się w udzielanie pomocy dla rewolucyjnych zaburzeń w świecie, szczególnie dla komunistów Wietnamu, gdzie Moskwa stara się wyraźnie nie tylko dorównywać Pekinowi, ale go wyprzedza.

## INTERWENCJA SOWIECKA GROZI POKOJOWI

Pod koniec maja powyższe tezy Ruska znalazły nowe potwierdzenie. Na kon-



# L. B. JOHNSONA

ferencji prasowej w dniu 26 tego miesiąca, oświadczył on, że założone przez sowieckich techników bazy przeciwlotnicze dokoła Hanoi Moskwa zaczęła już zaopatrywać w pociski. Pojawiły się one na jednej z baz i należy przypuszczać, że w najbliższym czasie pełne to uzbrojenie nastąpi również na innych. Amerykański sekretarz stanu określił te fakty, jako dowód pogłębiającego się zaangażowania Rosji w konflikt wietnamski i stwierdził, że wytwarza to sytuację groźną. Rusk ostrzegł przy tym rządu popierające reżym Wietnamu, czyli przede wszystkim Moskwy oraz Pekinu, że Stany Zjednoczone są zdecydowane bronić Płd. Wietnamu. Nie chcą one, według niego, większej wojny ale byłoby dużym błędem innych państw sądzić, że mogą taką wojnę ryzykować ze swojej strony. „Po czterech i pół latach bezowocnych rokowań — powiedział Rusk — Stany Zjednoczone nie zamierzają ustępować. Dyplomacja musi przedzierać się przez ideologiczne różnice i odsłaniać groźbę sytuacji. Stany Zjednoczone nie mogą być wypędzone z pld.-wschodniej Azji“.

Ostrzeżenia powyższe skierowane są, oczywiście, w pierwszym rzędzie pod adresem Moskwy i należy je rozumieć, jako zapowiedź, że Amerykanie nie zaprzestaną bombardowania pld. Wietnamu i nie zawahają się przed atakiem na bazy, zainstalowane tam przez Rosję. To doprowadziłoby do bezpośredniego starcia militarnego sił zbrojnych amerykańskich z sowieckimi, ponieważ trudno sobie wyobrazić, aby obsługa tych pld.-wietnamskich baz oraz najnowszych pocisków przeciwlotniczych mogła się składać z samych Wietnamczyków.

Jeszcze trudniej spodziewać się, że Moskwa ustąpi wobec stanowczości rządu Johnsona, wycofa swoje instalacje albo wystąpi z jakąś inicjatywą pojednawczą. Proces zaostrzania kursu polityki sowieckiej wobec Stanów Zjednoczonych zaczął się na jesieni 1964 roku po obaleniu Chruszczowa a decyzja zaangażowania się w Wietnamie zapadła w początkach tego roku i w rezultacie zimowej podróży Kosygina do Pekinu i Hanoi. Od tego czasu padały też z Kremla coraz nowe zapowiedzi pomocy wietnamskim komunistom, których delegacje odwiedziły kilkakrotnie Moskwę, gdzie podpisano też odpowiednie umowy.

Złudzenia, jakoby Rosja — wbrew tym faktom — nie myślała o poważnej interwencji w pld.-wschodniej Azji, były wprawdzie podtrzymywane gorliwie



przez sowietologów i wszelkiego gatunku propagatorów koegzystencji z Sowietami, ale prez. Johnson ani Dean Rusk, szczęśliwie, jak widać, nie ulegali tej „łatwowiejnej“ dezinformacji. Wycofanie się Rosji z Wietnamu obecnie wydaje się tym mniej prawdopodobne i skoro nie ma o tym mowy również ze strony amerykańskiej, trudno się dziwić, że sekretarz stanu Dean Rusk nazywa międzynarodową sytuację poważną.

Zaostrzenie światowego położenia i stosunków między blokiem komunistycznym a Zachodem wyraża się także w innych faktach i jest odczuwane z rozmaitych stron. Odkładana, tegoroczna podróż Kosygina do W. Brytanii została ostatecznie odwołana, a o projektach wyjazdu Johnsona do Rosji już się nawet zapomniało, że je wśród noworocznego optymizmu robiono. W Moskwie tymczasem zaszedł szereg wypadków, świadczących, jak mylnie są sugestie zamiarów dalszej „destalinizacji“, wysuwane w stosunku do rządzącej ekipy Breżniewa i Kosygina. Nazwisko Stalina zaczyna się pojawiać w oświadczeniach moskiewskich jako szacowne i zasłużone, a z okazji oficjalnego pokazu filmowego postać zmarłego satrapy spotkała się z owacją publiczności, bez wątpienia nie idącą przeciw woli rządzącej góry Kremla.

## REŻYM I SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE WOBEK ZACHWIANIA SIĘ „KOEgzYSTENCJI“

Niepokój z powodu pogorszenia się stosunków amerykańsko-sowieckich zanotowali również zachodni korespondenci w reżymowych kołach Warszawy. Według londyńskiego „The Times“ z 17 maja, dotyczy to przede wszystkim Gomułki, który na koegzystencji Zachodu z komunizmem i na „pomostach“, stwa-

rzających pozory usamodzielniania się naszego kraju, opierał w dużym stopniu swoją pozycję. Odrzucenie tych pozorów oraz półśrodków i odsłonięcie niezmiennego w istocie przeciwstawienia między komunizmem a światem wolnym, to obrót rzeczy szczególnie niewygodny przed wyborami, kiedy ludzenie społeczeństwa rzekomymi osiągnięciami na rzekomej drodze do narodowej wolności jest reżymowi najbardziej potrzebne. Próbowano więc między innymi mobilizować nastroje anty-amerykańskie i planowano nawet jakąś demonstrację przed ambasadą Stanów Zjednoczonych w Warszawie, która się nie udała.

Ta wstrzeźliwość polskiego społeczeństwa jest zrozumiała. „Koegzystencja zachodnio-komunistyczna daje mu czasem drugorzędne korzyści materialne i większy margines swobody, ale w głębi duszy naród nasz oczekuje od Zachodu czegoś więcej i czegoś innego: nie pomostów i rozluźnienia niewoli, ale rozwalenia żelaznej kurtyny i sytuacji międzynarodowej, w której mógłby zrzucić więzy całkowicie. Dlatego też obecne położenie światowe, które niepokoi Gomułkę i pogodzonych z uzależnieniem Polski od Sowietów nielicznych, jako tako urządzonych obywateli PRL, zawiera w sobie dla wierzących w odzyskanie prawdziwej niepodległości Polaków iskierki nadziei na przyszłość — na prawdę lepszą.

## EUROPA W DRUGIEJ LINII

Obecny kryzys światowy posiada swoje ogniska poza Europą. Główne znajduje się na obszarze pld.-wschodniej Azji, a nowe, tymczasem mniejsze, rozżarzyły się w krajach Ameryki Łacińskiej. Po Kubie i oprócz San Dominga, do rewolucyjnego wrzenia doszło ostatnio w Boliwii, Wenezueli, Guatemali i Kolumbii. Bezpośrednim przedmiotem komunistycznego ataku są więc tym razem na przekór geografii Stany Zjednoczone, chociaż na innej, niż Moskwa i Pekin, położonej półkuli.

Rządy zachodniej Europy próbują wyzyskiwać swoją korzystną pod względem taktycznym sytuację, rewanżując się w ten sposób Ameryce za powojenne jałtańskie zbliżenie do Rosji nad ich głowami. Robi to zwłaszcza Francja, ale przesadne wydają mi się obawy, że może to prowadzić do naruszenia przez nią zasadniczego przymierza Zachodu wobec komunistycznego imperia- lizmu.

*Zdzisław Stahl*

# A MOŻE MAO

ZASTANAWIAJĄC się nad aktualnymi wydarzeniami na Dalekim Wschodzie i nad często niejasną grą w politycznego pokera w trójkącie USA—Sowiety—Chiny trudno jest całkowicie pominąć chiński pogląd na zachodzącą ewolucję w zakresie zmian dotychczasowych reguł gry w polityce światowej. Pogląd ten został wypowiedziany przez Mao w znanym z prasy japońskiej sformułowaniu wobec japońskiej delegacji latem 1964, kiedy to Mao zmienił swój dotychczasowy podział strategicznych elementów świata i zamiast 3 głównych sił (imperializm zachodni pod przywództwem USA, obóz komunistyczny z Moskwą i Pekinem na czele oraz reszta państw świata w jednej grupie neutralistyczno-niezaangażowanej) wymienił tylko dwie: 1) państwa imperialistyczne — tj. USA i Sowiety oraz 2) reszta państw świata pod przywództwem Chin.

Na pozór może się to wydać nonsensem, ale trzeba pamiętać, że Mao jest ortodoksyjnym komunistą i osobą na pewno najlepiej poza Sowieciami poinformowaną o tym co się dzieje w partii sowieckiej, a więc i o sytuacji wewnętrznej ZSSR. Jeśli Mao zaryzykował tak na pozór sprzeczne z logiką i dotychczasową tendencją historyczną twierdzenie — to musiał mieć pewne informacje i poważne powody do tak zasadniczej zmiany swego światopoglądu. Wypowiedź jego miała miejsce w związku z krytyką „rewizjonizmu” i „polityki pokojowej koegzystencji” — (między Sowieciami i USA — bo tylko te dwa mocarstwa, oprócz Chin, są naprawdę niezależne). Mao używał języka doktryny komunistycznej — ale nie trudno jest za jego mętnymi sformułowaniami znaleźć istotę rzeczy: sowiecki rewizjonizm, czy narzucona przez konieczności wewnętrzne zmiana polityki partii pcha Kreml nieuchronnie na pozycje polityki koegzystencji, która musi, zgodnie z marksistowską dialektyką, doprowadzić stopniowo do ekonomicznego i politycznego (wg. doktryny nie ma między tymi pojęciami zasadniczej różnicy i linii podziału) zbliżenia między Sowieciami i USA. W końcowym wyniku oba te mocarstwa będą wspólnie reprezentowały imperializm zwrócony przeciw reszcie świata — a przede wszystkim Chinom, jako przywódcy wszystkich „nieimperialistów”.

Mao jest Chińczykiem, a w Chinach czas historyczny operuje inną skalą niż u nas, na Zachodzie. Mao nie powiedział, czy to nastąpi za 5 czy za 100 lat — stwierdził jednak, że decydujące czynniki ekonomicznego i politycznego rozwoju świata stwarzają tendencję, według modnego wyrażenia „trend”,

którego wynikiem musi być zbieżność celów polityki zagranicznej USA i Sowieców, celów osiągalnych tylko przy zastosowaniu przez oba mocarstwa instrumentów imperializmu. Zaznaczyć należy, że Mao wierzy, iż USA jest i będzie silniejszym partnerem w tym imperialistycznym duecie — stąd jego formuła, że koegzystencja prowadzi do kapitulacji Sowieców przed USA.

Zostawmy na chwilę na boku teorie strategii światowej i wizję historycznego rozwoju świata w przyszłości, jakich Mao nie szczędzi w swoich wypowiedziach, pismach i poematach. Zajmijmy się raczej próbą odpowiedzi na pytanie, czy Mao miał jakieś rzeczowe, mniej lub więcej wystarczające w jego polu widzenia, podstawy do nakrycia USA i Sowieców jedną czapką „imperializmu przyszłości”. W tym na wskroś spekulatywnym i operującym masą ogólników artykule — chciałbym się podzielić z czytelnikami własnymi refleksjami na temat wyżej wspomnianego „trendu” i w ten sposób przyczynić się może do naświetlenia konturów rzeczywistego obrazu, jaki się wyłania jako tło dzisiejszych wydarzeń w trójkącie: USA—Sowiety—Chiny.

Mao nie zmienił zdania w ciągu ostatnich miesięcy, mimo, a może właśnie z powodu, rozwoju sytuacji w Wietnamie. Warto się zastanowić czy Mao Tse tym razem nie ma więcej racji, niż to z pozoru wygląda.

## GŁĘBOKI KRZYŻYS ROLNY W SOWIETACH

Zastanówmy się przede wszystkim jak wygląda w tej chwili wewnętrzna sytuacja ekonomiczna Sowieców według najbardziej miarodajnych wypowiedzi Chruszczowa z r. 1963 i Breżniewa z r. 1965. Obraz katastrofalnego kryzysu rolnego przedstawiony przez tych obydwu przywódców różni się tylko w nieistotnych szczegółach. Ważna w tych wypowiedziach jest zgodność w stwierdzeniu, że rolnictwo sowieckie może być uratowane i zdolne do normalnego spełniania swych zadań dopiero po zainwestowaniu weń olbrzymiej sumy 71 miliardów rubli (ca 85 md.\$) w ciągu 5 najbliższych lat. Powiedział to w marcu r. Breżniew, Chruszczow zaś w 1963 wymienił sumę 42 miliardy rubli, ale miał na myśli prawie wyłącznie potrzeby inwestycyjne przemysłu che-

micznego dla wytwarzania dostatecznej ilości nawozów sztucznych, według niego uniwersalnego lekarstwa na wszystkie bolączki rolnictwa. Breżniew natomiast w swoim szacunku bezwzględnych potrzeb inwestycyjnych wymienił obok inwestycji w odbudowanie samej gleby, przede wszystkim pozycje rozbudowy parku maszynowego rolnictwa. W obydwu szacunkach potrzeb inwestycyjnych i Chruszczowa i Breżniewa pominięte, lub bardzo pobieżnie potraktowane są takie pozycje jak konserwacja i rozbudowa budynków mieszkalnych i gospodarskich na wsi (mało co nowego wybudowano po r. 1917 — a stare budynki są w rozpaczliwym stanie, zgodnie z wszelkimi dostępnymi świadectwami), środków transportowych, dróg, silosów, magazynów na przechowanie okopowych, fabryk przetworów rolnych — nie mówiąc już o szkołach, stacjach doświadczalnych etc. Nie wymienione przez Breżniewa potrzeby rolnictwa sowieckiego wraz z potrzebami przeszło 100 milionowej ludności rolniczej, bez zaspokojenia których rolnik sowiecki nie będzie dostarczał efektywnej pracy — można bez obawy popełnienia większego błędu oszacować na sumę co najmniej dwukrotnie wyższą od tej którą wymienił Breżniew.

Wśród sowieckich fachowców uchodzi za pewnik, że wyprodukowanie dostatecznej ilości nawozów i maszyn niewiele pomoże, o ile ilość, a zwłaszcza jakość wkładu pracy ludzkiej i w produkcję i w dystrybucję płodów rolnych nie ulegnie wyraźnej i szybkiej poprawie. Nie tu miejsce do zastanawiania się, czy taka poprawa może mieć miejsce w ramach dzisiejszej kolektywizacji rolnictwa — na pewno nie może — i o tym w Sowieciach wszyscy już wiedzą. Ale także nie może być mowy o poprawie jakości pracy ze strony ludności rolniczej, jeżeli domy mieszkalne, stodoły i obory się wałają, jeżeli na wsi poza wielkimi szosami nie ma prawie bitych dróg, jeżeli ilość ciężarówek w Sowieciach jest taka sama co w Skandynawii, jeśli nie ma telefonów, sieć kolejowa jest rzadka, poczta idzie długo, nie ma silosów (zboże w Kazachstanie do dziś magazynuje się w dołach) i jeśli 30 proc. okopowych co roku zostaje w ziemi, a 40 proc. gnije, bo nie ma ich gdzie przechować. Co tu dużo mówić o stanie wsi sowieckiej — jedna liczba z urzędowej statystyki wystarczy, aby



# MA RACJĘ ?

zrozumieć sytuację: rolnictwo sowieckie, wraz z przynależną do niego polową ludności kraju zużywa tylko 4 proc. produkowanej w Sowietach energii elektrycznej.

## NA KONIECZNE INWESTYCJE SOWIETY NIE MAJĄ POKRYCIA

Świety przez 35 lat stworzyły potężny przemysł ciężki, wojenny, wypuściły pierwszego Sputnika i wyprodukowały pierwszego wędrowca w przestrzeni, kosmonautę Leonowa. Chwała im za to, jeśli się nie zapytamy jakim to kosztem. Jeśli się postawi to pytanie, to okazuje się, że wyczynów tych dokonano na zasadzie gospodarki deficytowej, w której i koszt samych inwestycji i deficytów pokrywało dotychczas rolnictwo. Okazało się, że źródło to nie jest beczką bez dna — systematyczne wysysanie i wyżyłowanie rolnictwa, bez żadnych prawie wkładów i w ramach niewiarygodnie nieproduktywnego systemu kolektywizacji — musiało kiedyś osiągnąć kres. Właśnie stało się to teraz — na progu lat 60-tych widać dno tej beczki. Zamiast beczki jest „dziura inwestycyjna“ na jakieś głupie 250 miliardów dolarów — dziura, która według słów Breżniewa, przynajmniej jeśli chodzi o 1/3 część jej objętości musi być zapełniona w ciągu najbliższych pięciu lat. Musi... ale jak? — i kto ją będzie „wypełniał“. Breżniew sam cytował cyfry, które dobitnie świadczą o tym, że Sowiety na to nie stać.

Zatrzymajmy się przy cyfrach Breżniewa: 71 miliardów rubli przez 5 lat — to 14,2 miliardów rubli rocznie, czyli o około pół miliarda więcej niż cały oficjalny budżet wojskowy Sowietów. Struktura sowieckiego budżetu jest tego rodzaju, że na pokrycie ekstra wydatków prawie że nie ma innego sposobu, niż za pomocą obciążenia wydatków wojskowych. Jeśli nawet zgodzimy się ze zdaniem b. wielu ekspertów, że wydatki na siły zbrojne i zbrojenia we wszelkiej ich postaci wynoszą w Sowietach nie ca 14 a ca 35 md. rubli — to i w tym wypadku nie widać jak inaczej Sowiety same mogłyby dokonać tych naglących inwestycji w rolnictwie, niż za pomocą zmniejszenia wydatków na zbrojenia o około 40 proc. W epoce atomowej na dalszą metę — to dużo. Tak dużo, że zmniejszenie to musi doprowadzić do poważnych zmian w polityce zagranicznej.

Na pewno ta sytuacja stanowi jeden z ważnych powodów, dla których Kreml zdecydował się na wybór polityki pokojowej koegzystencji, w zasadzie sprzecznej z doktryną rewolucji światowej. Żadna kazuistyka i przekręcanie cytat z Lenina nic tu nie pomoże. Nie trzeba być kardynałem marksizmu, żeby przyznać Mao Tse na tym punkcie rację.

## RÓWNOWAGA TERRORU NA RAZIE ZACHOWANA

Nie należy z tego rozumowania wyciągać wniosku, że Sowiety już dzisiaj znajdują się w znacznie słabszej pozycji jako partner w równowadze terroru. To bardzo prawdopodobne, że przewaga USA w stosunku do Sowietów w broniach nowoczesnych ma się jak 4:1, jak to niedawno powiedział MacNamara. Ale doraźnie z tego niewiele wynika. Wyobraźmy sobie dwóch osobników, trzymających się wzajemnie „na musze“. Jeden ma 25 strzałowy automat, a drugi sześciostrzałowego Colta. Przewaga automatu jest pozorna — gdyż właściwie tylko jeden, albo dwa pierwsze strzały są ważne i rozstrzygające — inne mogą być i na pewno nie będą nigdy oddane.

Powyższa analogia do znaczenia przewagi ilościowej i jakościowej w broniach atomowych w równowadze terroru USA—Sowiety nie jest zupełna, ale daje dostateczne podstawy do twierdzenia że mając Colta, Sowiety nie muszą „kapitulować“ — jak to określa Mao Tse. W każdym razie mają czas na „pierdyszkę“ i szukanie wyjścia z zacieśniających się kleszczy kryzysu ekonomicznego.

## BEZSENS DALSZYCH ZBROJEŃ W U. S. A.

W języku propagandowym możnaby tu śmiało użyć wyrażenia: bankructwo systemu komunistycznego. Ale dopóki nie zostanie wynaleziona nowa „antyrakietą“ zdolna do strącania każdego pocisku balistycznego w drodze do celu — dzisiejsze prawa rządzące równowagą terroru nie ulegną zmianie. A do tego jeszcze daleko, a poza tym zbyt kosztowna droga prowadzi do tego wynalazku. Osiągnięcie zdecydowanej przewagi militarnej za pomocą rozbudowania techniki w kosmosie jest jeszcze odległe, a nade wszystko zbyt kosztowne, nawet dla USA.

Ale nie tylko w Sowietach zbrojenia więcej kosztują niż smakują. W Stanach Zjednoczonych problem zbrojeń wygląda na tle sytuacji w dzisiejszej równowadze terroru diametralnie różnie niż w Sowietach, ale też stanowi zagadnienie największej wagi, domagające się szybkiego rozwiązania. Zupełnie odwrotnie niż w Sowietach — USA przeżywa obecnie boom ekonomiczny, mimo drugiej rewolucji przemysłowej i 6 milionów bezrobotnych. Ekonomisci i politycy amerykańscy coraz bardziej zdają sobie sprawę, że kontynuowanie dotychczasowego tempa zbrojeń przestaje mieć jakkolwiek sens, zwłaszcza wobec zbliżającej się stagnacji lub zmniejszenia zbrojeń w Sowietach. Dalsze produkowanie bomb nuklearnych i rakiet, po to żeby je przechowywać w magazynach zanadto przypomina produkcję naboju, które nigdy nie będą wystrzelone w naszym przykładzie z automatem i Coltem. W języku ekonomicznym taką produkcję można przyrównać do np. produkcji milionów świetnych samochodów, po to żeby je utopić w morzu. Można bez przesady powiedzieć, że dzisiejsze zbrojenia w USA dadzą się porównać do procesu niszczenia znacznej części dochodu narodowego — bez żadnego pożytku dla kogokolwiek. Taki stan rzeczy można było wytłumaczyć dopóki istniał wysoki stopień zagrożenia ze strony partnera w sytuacji równowagi terroru. Ale prawdopodobieństwo zagrożenia ze strony Sowietów maleje — i kryzys ekonomiczny w Sowietach pozwala na przekonanie, że maleć będzie coraz bardziej.

Gdyby zmniejszenie tempa zbrojeń w USA zależało tylko od zmian w układzie sił w dziedzinie polityki światowej, zbrojenia te byłyby od kilku lat zmniejszone, przynajmniej jeśli chodzi o ich najkosztowniejszą i najbardziej pracochłonną część, w dziedzinie raketowo-nuklearnej. Ale pies zakopany leży w tym, że ograniczenie czy zaprzestanie tych zbrojeń musiałoby odbić się katastrofalnie na całej dzisiejszej sytuacji ekonomicznej USA. Oznaczałoby to zamknięcie szeregu fabryk i utratę pracy dla milionów ludzi, już i przy tak wysokim stopniu bezrobocia, unieruchomienie i nieproduktywne zamrożenie kapitału intelektualnego i materialnego tkwiącego w maszynach i urządzeniach przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego. W czasie, gdy USA zaczyna „zmieniać skórę“ w okresie nowej rewolucji przemysłowej na tle automatyzacji i mechanizacji przemysłu — groziłoby to mogło katastrofą wewnątrz-ekonomiczną porównywalną z katastrofą,

do której zbliżają się Sowiety — aczkolwiek z krańcowo różnych powodów.

## KREDYTY U. S. A. DLA SOWIETÓW

Jasne jest, że można część amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego w stosunkowo krótkim czasie przestawić na produkcję dóbr kapitałowych — maszyn, urządzeń i środków transportowych, fabrycznych itp. Ale pytanie co z tą produkcją zrobić. USA ma dziś już nadmiar dóbr kapitałowych, nie stanowi więc rynku dla tej nowej masy produkcyjnej. Istnieje tylko jedno wyjście: eksport. Ale eksport — nie darowizna, bo z punktu widzenia USA byłoby to też topienie kosztownych dóbr, tylko w innym morzu.

Kapitalista amerykański posiadający dziś przemysł zbrojeniowy (i w tym wypadku to wszystko jedno czy kapitalistą jest państwo czy reprezentanci milionów akcjonariuszy) szuka wyjścia z tego błędnego koła i stawia sobie pytanie zasadnicze: czy istnieje dziś możliwość opłacalnej sprzedaży zagranicę wielkiej ilości dóbr kapitałowych. Dobra takie z reguły sprzedaje się na warunkach kredytu długoterminowego — stąd następne pytanie: czy istnieje możliwość pewnego rentownego uplasowania gdzieś na świecie wielkich kredytów towarowych dotyczących dóbr inwestycyjnych. Obecna sytuacja ekonomiczna w Sowieciech i USA daje (i nie daje) odpowiedź na te pytania.

Przede wszystkim stwierdzimy pewne fakty: 1) tylko USA ma dostateczne możliwości pokrycia dzisiejszych sowieckich potrzeb w dziedzinie kredytów inwestycyjnych, jeśli chodzi o ich wymiary — żadne inne państwo nie ma tych możliwości. Mogłaby je mieć Europa zachodnia, ale dopiero po ekonomicznym i politycznym zjednoczeniu, 2) z udzieleniem tego typu kredytów jest związane „ryzyko polityczne“, czyli transakcje mogłyby gwarantować tylko państwo amerykańskie, pojedynczy kapitalista takiego ryzyka nie byłby w stanie ponieść, 3) ryzyko polityczne operacji kredytowej w tej skali musiałyby być oparte o gwarancje państwa importującego tj. Sowieciech na określonych warunkach politycznych. Przy ustalaniu tych warunków strona udzielająca kredytów miałaby przewagę.

Mówiąc w uproszczeniu — w USA znajduje się możliwość utworzenia „kolka“, który (i tylko on jedynie) będzie mógł wypełnić sowiecką „dziurę“ inwestycyjną, o której mówiliśmy poprzednio. Takie wypełnienie leży

w interesie obydwu stron, i obie strony zdają sobie sprawę z tego od kilku lat. Istnieją powody do przypuszczenia, że sowiecko-amerykańskie nieoficjalne kontakty i rozmowy na ten temat mają miejsce już od kilku lat. Ich intensywność została zwiększona szczególnie po kryzysie kubańskim w 1962 roku, po którym dla obydwu stron wyjaśniło się wiele, jeśli chodzi o mechanizm równowagi terroru. Wydaje się, że główny impuls w kierunku pogłębienia tych rozmów wyszedł od prez. Kennedy i kół jego doradców. Wiele świadczy o tym, że umowa o zaprzestaniu eksperymentów atomowych, za wyjątkiem podziemnych, podpisana w sierpniu 1963 r. w Moskwie była pierwszym owocem tych bilateralnych rozmów. Wszystko przemawia za tym, że z różnym nasileniem trwają one dotychczas i że obie strony traktują ich wynik jako problem nr 1 w polityce światowej. Obie strony starannie ukrywają główny nurt tych kontaktów. Z natury rzeczy muszą w nich brać udział obok polityków i ekonomistów również wojskowi technokraci reprezentujący przemysł raketowo-nuklearny. Tu zapewne należy też szukać częściowego wyjaśnienia wzrastającego znaczenia frakcji technokratów w partii sowieckiej. Dla strony amerykańskiej reprezentują oni w wyższym stopniu kompetentnego partnera do rokowań, niż opanowani przez dogmaty doktryny politycy z aparatu partyjnego.

## U. S. A. MOGĄ STAWIAĆ WARUNKI POLITYCZNE

Narastanie konfliktu z Chinami dało nowy impuls dla intensyfikacji tych rozmów. Amerykańscy businessmeni, mało czuli na zarzut, że udzielenie kredytów inwestycyjnych przez USA ratuje komunizm od bankructwa, postanowili zbadać sprawę na miejscu. Na jesień 1964 wyjechała z USA do Sowieciech największa w historii amerykańska delegacja ekonomiczna, składająca się z przeszło 100 osób reprezentujących przeszło 50 największych koncernów przemysłowych i finansowych USA, która bawiła w Sowieciech więcej niż miesiąc, odwiedzając fabryki, kolchozy i przeprowadzając setki rozmów z dygnitarzami i ekspertami sowieckimi. Delegacja ta opuściła USA w nastroju powszechnego optymizmu w kołach gospodarczych, optymizmu, który znalazł wyraz również w słynnym zwrocie o „przerzuceniu mostów na Wschód“ — w mowie prezydenta Johnsona w tym czasie. Wynik wizyty w Sowieciech był prawdopodobnie pozytywny pod wieloma względami.

Wielu amerykańskich managerów wróciło z Rosji z zamiarem natychmiastowej realizacji dostaw kredytowych do Sowieciech, w wypadkach kiedy to było możliwe, aby „puścić w ruch“ wielki business.

Wygląda na to (bo żadnych pewnych informacji nie opublikowano, ani w USA ani w Sowieciech), że większość tych managerów była albo nieczuła, albo mało obznajmiona ze stroną polityczną zagadnienia. Prezydent i Departament Stanu zapewne wylał wiele kubłów zimnej wody na głowy entuzjastów i zahamował ich zapał, powołując do życia w styczniu 1965 Komisję ekspertów dla zbadania całości zagadnienia — i od strony politycznej i ekonomicznej. Badania te wypadły pozytywnie. Amerykańskie agencje prasowe doniosły 7 maja 1965, że Komisja rekomenduje rozszerzenie handlu i współpracy ekonomicznej z Sowieciechami i całym blokiem sowieckim — rozumie się, na warunkach kredytów długoterminowych. Jest prawdopodobne, że Sowieciechom bardziej jest pilno, w świetle rewelacji Breżniewa, do pomyślnego wyniku, niż USA, jak również, że Sowieciechom bardziej zależy na nieprzerwaniu kontaktów i rozmów niż Amerykanom. Ta okoliczność zdaje się wiele tłumaczyć, jeżeli chodzi o politykę Moskwy w Wietnamie na przestrzeni ostatnich miesięcy.

Nie trudno się domyśleć, że głównym przedmiotem debaty są warunki polityczne. Ideą prez. Johnsona jest, aby państwo, w postaci istniejących czy nowo utworzonych organów było jedynym partnerem państwa sowieckiego, jako strony w transakcji, reprezentującym interesy wszystkich koncernów amerykańskich. Wynika to z roli państwa USA jako finansowego, a przede wszystkim politycznego gwaranta dobrego zakończenia tej nowej w okresie powojennym formy współpracy ekonomicznej z Sowieciechami — zarówno co do skali jak i specyficznych okoliczności politycznych.

Nie wiemy jakie warunki polityczne USA już postawiły Sowieciechom i jakie jeszcze postawią. Z mowy Breżniewa wynika, że Sowieciech są w sytuacji przymusowej, przede wszystkim dlatego, że możliwości kapitalizacji wewnętrznej kosztem nowego ograniczenia stopy życiowej obywatela w praktyce dziś nie istnieją. Istniały one za czasów Stalina, kiedy rolnictwo nie było jeszcze tak gruntownie jak dziś zrujnowane. Dziś sytuacja jest inna. W USA na pewno istnieje świadomość,

(Dokończenie na str. 39)



czy zastępują na nazwę „planu“ a tym mniej na nazwę „polityki“. Są to koncepcje, może wizje przyszłości. Dobrze by było, gdyby były jakąś podstawą do perswazji czy do negocjacji.

Lecz polityką nie są z tego przede wszystkim względu, że niczego z tych zamierzeń wykonać się nie da bez zgody Związku Sowieckiego. Ugoda — nawet gdy idzie bardzo daleko — wymaga zawsze dwóch partnerów. Nie wystarczy jednostronne oświadczenie, jednostronna deklaracja. Zwłaszcza gdy dotyczy obszarów pozostających poza zasięgiem praktycznego oddziaływania.

Polityką obie koncepcje stałyby się dopiero wówczas, gdyby strona przeciwna wyraziła na nie aprobatę. Choćby warunkową. Nic tego nie zapowiada.

Natomiast jedno wydaje się już dziś pewne. Mianowicie plan Brzezińskiego niepokoi komunistów znacznie więcej niż plan de Gaulle'a. Dowodem są wściekle na niego ataki, chociażby w prasie i radio warszawskim. Zapewne dlatego, że wprowadza ferment myślowy; choćby dlatego, że głosi coś nowego.

Paweł Zaremba

### „POLEMIKI“

Przed rokiem Stefan Mękarski omawiał na łamach „Orla“ pierwszy zeszyt „Polemik“. Wydaje je w Londynie „Polonia“ a redaguje zespół czterech dziennikarzy. Od tego czasu ukazały się dwa kolejne zeszyty, a czwarty jest w druku.

Na „Polemikach“ skupia się sporo uwagi kół intelektualnych i politycznych. W kraju znacznie więcej niż na emigracji, co jest zrozumiałe i stanowi dużą zachętę dla dalszej pracy redakcji. Inna sprawa, że w kraju nie komentuje się otwarcie poszczególnych numerów, czemu dziwić się nie można. Natomiast nie tylko „poczta pantoflowa“ daje znać o powszechnym zainteresowaniu tym wydawnictwem. Są także inne sprawdziany. Dla czytającego uważnie prasę nie jest tajemnicą, że wiele tematów omówionych w „Polemikach“ porusza się natychmiast na łamach gazet warszawskich z nerwowym zamiarem „odrobienia wpływu“.

Tytuł „Polemiki“ tłumaczy i ich cel i metodę pracy. Na okładce zeszytu III-go czytamy dwa zestawy nazwisk. Jeden obejmuje autorów piszących w kraju, drugi piszących na emigracji. Zbieżność między nimi polega na tematyce. Różnica na treści i dokumentacji. A więc w jednym zestawie: Dunin-Wąsowicz, Kuźmiński, Skarżyński, Gomulka, Lapter, Słodaczuk, Wysocki, Misiak. W drugim: Bregman, Korboński, Krok-Paszkowski, Ciołkosz, Koszaliński, Łobodowski, Pomian.

Tłumaczy to właściwie wszystko. Dość warto chyba tylko tyle, że także na emigracji każdy kto interesuje się poważnie współczesną rzeczywistością polską, powinien śledzić treść kolejnych zeszytów „Polemik“.

Odezwał się Kotwicz z Kalifornii. Przysłał „Drzazgi“, które pod tymże tytułem, by ich nie mieszać z Fraszkami, wydrukowaliśmy w numerze majowym. Dostało się tam i awansom „w dwudziestolecie zakończenia wojen“ i Stanisławowi Niezłomnemu Paczyńskiemu z Paryża.

Z tego dwa wnioski: Kotwicz z dalekiej (to pojęcie względne, „dalekiej“ od czego i od kogo?) Kalifornii śledzi pilnie i czuwa co się dzieje i na świecie i w „Orle“. Wniosek drugi: można się znaleźć nie tylko w korcu maku ale i na łamach „Orla“.

Oczywiście, gdy Kotwicz mieszkał w Paryżu znalezienie się było sprawą łatwiejszą. Wystarczyło zejść do Kombatantów na Legendre i zamówić Beaujolais Village (trunek popierany przez Claude'a, Claudine, Mariana Czarneckiego i jeszcze kilku zasłużonych współpracowników). Dziś potrzebne listy a czego jak czego, ale listów Polacy unikają namiętnie a im kto więcej pisze „w ogóle“ tym mniej pisze listów.

Z powyższych uwag dwa tematy mam już na patelni! Jeden to sprawa listów, w drugi, niedokończony, sprawa Kotwicza. Skończymy naprzód z Kotwiczem.

Otóż napisał on, poza drzazgami, list. Bardzo krótki: Cytuję: „Ten wasz nowy „Orzeł“ to wcale niczego. Grafika, dobre pióra, nawet się pokłócić można. Ale taki mi się jakiś wydaje smutny“.

Skoro smutny — jedyna rada wznawiamy Kotwicza i wznawiamy „plotki“.

### O WZGLĘDNOŚCI CZASU

Einstein o tym pisał i jeszcze kilku mędrców. Napiszę więc i ja. Dlaczego? By dać łzawo-historyczne wprowadzenie w odnowione „plotki“.

Wzrusza mnie to wołanie o „plotki“. Wzrusza już od kilku miesięcy, a wykręty w rodzaju „może tego dosyć, po tylu latach“ nie znajdują u nikogo zrozumienia. Na moje: wypisałem się — ludzie odpowiadają: pisz dalej. Na moje: o czym mam pisać — odpowiadają — na co ci ochota.

A więc... Siadam znowu przy tym samym biurku i przy tej samej maszynie i piszę. Biurko ma karby powycinane nożem na blacie. U lewego słupka jedna z szuflad nie ma przedniej ścianki i widać w niej stare szpargały, poukładane równo i porządnie, choć paskudnie zakurzone. Brak przedniej ścianki, to dowód silnych rąk i częstego zniecierpliwienia kolegi Hęcia. Wyrwało mu się kiedyś i tak już zostało. A ślady po nożu to wspomnienie pijawki na zaimprovizowanej uroczystości biurowej. Kiedy? O rany! Zaraz po wojnie, pewno gdzieś w r. 1946...

Ile? Dziewięćnaście lat. Ileż się przez ten czas zmieniło na świecie i w „Orle“. A ja nic. Wiecznie ten sam, siedzę i piszę „plotki“.

Za to piszę na „nowej“ maszynie. Nazwa „nowa“ przylgnęła do niej i nikt się z nią nie chce rozstać. Była nowa. Kiedy? Mniejsza z tym.

Wiadomo, że najstarszy mur obronny w Anglii, w Yorku, też nazywa się „New Wall“. Zbudowano go na miejsce starego w roku Pańskim 1122. A „Pont Neuf“ w Paryżu? Najstarszy most Paryża.

Więc nie to jest stare co jest stare, tylko to co się za stare uważa.

Jestem pewien, że gdziekolwiek nie zajdę na popijawę w najbliższym miesiącu, w każdym polskim domu nastawią mi płytę

# MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

z „Wesołe jest życie staruszka“ z „Kabaretu Starszych Panów“. Lubię tę płytę, niech grają. Ale co za gaffa z tą popijawą! Przecież popijawa to wyrażenie z czasów zamierzchłych: z „dwudziestolecia“. Z „międzywojnia“. Dziś ta instytucja w języku „krajowym“ nazywa się „ubaw“, co w języku „niepodległościowym“ tłumaczy się „party“.

### O PISANIU LISTÓW

Kotwicza załatwiłem, przed starością się wygalem, pozostają listy. A raczej sprawa listów.

Osobiście co mogę załatwiam przez telefon. Szybciej i śladu nie zostaje. Drożej? Oczywiście, ale cóż nam pomogą oszczędności, nam Polakom z których część tak znakomita żyje pod rządami dwóch Węgrów z Debreczyna. Jakich Węgrów? No tych co wymyślili Wilsonowi planowanie socjalistyczne. „Im więcej zaozczędzisz, tym ci łatwiej płacić podatki“ — powiedział mi jeden bardzo rozumny Szkot. Także socjalista.

Ja wolę telefonować zamiast pisać listy. W myśl maksymy naszych pobratymców z Zbrucza (zza Sanu jak kto woli), że „jak poszła karouka nech ide wirouka“.

Lecz niekiedy „nachodzi“ mnie i siadam do pisania listów. Zwykle w niedzielę, gdy się zgodnie z przykazaniem nie chce robić. Piszę i piszę. Listy konieczne i listy na nic nikomu nie potrzebne. To daje ogromną satysfakcję. Obklejam porządnie koperty i nosię dumny do skrzynki. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści. Każdy zaczyna się nieodmiennie od przeproszeń, że „nie pisałem dawno“, ale... Przysięgnę, że odpowiem jeśli je dostanę zaczyna się od tychże słów „nie pisałem dawno“.

### NIEPISANIA LISTÓW CIĄG DALSZY

W poprzednim numerze (majowym) wydrukowaliśmy artykuł pomieszany z nowelą Romualda Kubisza, pt. „Konflikt Pokoleń“. Że to niby młody starego a stary młodego nigdy nie zrozumie. Zdziwiająco dobra reakcja. Podobało się. Albo „poruszyło“ jak się to mówi w żargonie gazeciarskim. „Ciekawe“. „Odważne“. „Trafne“. „Bez sensu“. „Apodyktyczne“. Itd. Itp.

Każdy, z którym rozmawiałem, lub z którym rozmawiali moi koledzy, stwierdzał, że zagadnienie poruszone przez Kubisza konieczne, ale to konieczne, należy przedyskutować, rozszerzyć, uzupełnić, wyjaśnić, obalić, poprzeć.

Nie tylko w rozmowach, lecz i w listach, tych suchych, rzeczowych, o zaległej prenumeracie na przykład, były takie opinie. No i co?

Jak dotychczas nic. Stwierdzono, że „trzeba“.

On jednak w piętę goni — pomyśli sobie niejeden z „drogich czytelników”, który dobrnął do tego miejsca mojej pisani. Narzeka, że nie piszą, potem pisze że piszą, a zaczął od tego, że sam nie pisze, tylko telefonuje (z wyjątkiem niedzieli gdy pisze, bo mu się nie chce robić). A więc, jak to jest z tymi listami?

Odpowiem na to słowami wieszczą, że są listy i listy.

Są listy, które można tylko przeczytać i są takie co można drukować. Tych jest mało. Bo na przykład: „Rawicz jest genialny”. „Paczyński zerwał maskę”(?). Co z tym zrobić? Można, oczywiście można. Jako rubryka: Czytelnicy o „Wiadomościach”, przepraszam, o „Orle”.

Ale czy nie byłoby lepiej, gdyby piszący uzasadnił jakoś swój pogląd. Dla czego Rawicz jest genialny i dla czego Paczyński zerwał maskę? Bo tak na wiarę...

Także odwrotne strony medalu wyglądały by bardziej przekonująco, gdyby towarzyszyło im wyjaśnienie. Bo na przykład: „skończę z Paczyńskim”, albo „co ten Stahl sobie myśli”, też nie wiele tłumaczy.

Jak mamy z kimś skończyć? Udusić go? A skądże mamy wiedzieć co kto sobie myśli? Dziennikarz, o którym wiadomo co sobie myśli przestaje być dziennikarzem. Cały smak publicystyki w tym, by nie tylko autor ale i czytelnik trochę się pogłowił.

#### „ODPOWIEDZIALNOŚĆ I „DUMA“

Ponieważ „Orzeł” puchnie z numeru na numer i niezadługo zamieni się w miesięczną książkę więc i druk trwa dłużej. Ja dopiero kończę pisać, a arkusz z recenzjami książkowymi już jest wydrukowany jak również wspomnienia osobiste „maman” króla Stasia. Mam zresztą nadzieję, że są to wspomnienia osobiste. Pewności nie mam bo to strasznie trudno czytać w tak zwanych arkuszach, gdzie numery stron nie mają ze sobą żadnego związku i co druga jest do góry nogami.

Lecz przeczytałem recenzję o książkach pisanych przez „młode pokolenie” czterdziestolatków, co i Ciebie czytelniku czeka, gdy dobrnieś w tym numerze do odpowiedniej „paginy”.

Dowiesz się tam m.in., że pokolenie owych czterdziestolatków nie ma powodu poczuwać się do „odpowiedzialności za wrzesień” i czuć „dumą z powodu Gdyni”. Może to inaczej jakoś napisane, ale sens ten właśnie.

Przyznam się, że nie rozumiem tych „dum” i „odpowiedzialności”. „Odpowiedzialność” za wrzesień ponosić może każdy z Hitlerem i Stalinem na czele z wyjątkiem Polaków, każdego wieku, pokroju, przekonania, inteligencji i mocy charakteru lub jej braku. A z tą dumą za Gdynię to też radziłbym ostrożnie. Owszem był i jest duży i dobry port i duże obroty towarowe. Byłoby bardzo dziwne gdyby było inaczej. Lecz obok portu zbudowano nad wyraz brzydkie miasto pełne „pensjonatów” na Kamiennej Górze, w których grano w bridią i w remi w sezonie letnim. Wszystko razem dawało asumpt do pisania wzniosłych reportaży, nędznych powieści i zupełnie tragicznych operetek w rodzaju „Nad polskim morzem”. Ogłądałem to paskudztwo w Teatrze Nowym w Poznaniu i nawet towarzystwo hożej Hanki nie rozwiślało nastroju ponurego przygnębienia.

Ale jeśli autorowi chodziło o obronę Gdyni w roku 1939, to cofam wszystko com złośliwego o tym mieście napisał.

#### „INCZ” = CAL = ? CENTYMETRÓW?

Koniec świata musi się zbliżać szybkimi krokami i będzie to koniec świata ponury. Powodem nie jest bomba jądrowo-ciepna czy termojądrowa jak kto woli. Powodem, przynajmniej w świecie anglosaskim, będzie zamiana łatwo dla każdego zrozumiałych szesnastu kresek w „inczu” i dwunastu „inczów” w stopie, zamiana tajemniczych „furlongs”, mil „nautycznych” i mil zwykłych, jardów i pretów (rods) na prozaiczne centymetry i ich mnożniki.

Znikną „avoirdupoisy”, gille w trunkach, galony w benzynie, dramy w proszku, kamienie w wadze. Tu czegoś-dziewięć składa się na jedno, gdzie indziej jedno dzieli się na cztery i pół. Jeszcze w innym wypadku czegoś w czymś jest dwieście dwadzieścia albo dwa tysiące dwieście czterdzieści.

Teraz wszystko stanie się bezbarwne jednakowe, po prostu dziesiętne.

Dzieciom łatwiej w szkole... być może, ale dopiero za dziesięć lat. Bo tymczasem będą się uczyć obu systemów. W przemysle ułatwienie. Być może. Ale ileż to miar i miarek, wag i ważek, skal i skalek trzeba będzie zmienić. Będzie łatwiej dla kontynentu. No tak. „Ale my na szczęście nie jesteśmy Francuzami ani żadnymi Europejczykami tylko Brytyjczykami”, powiedział sam lord — marszałek Montgomery of Alamein w Izbie Lordów, co prawda w debacie na temat homoseksualizmu.

Jestem wstrętny konserwatysta i każde głaszaltowanie napawa mnie smutkiem. Protestowałem gorąco, co prawda tylko w miejscowym „pubie”, przeciwko zamianie Fahrenheita na Celsjusza. Bo wiadomo, że Celsjuszem można mierzyć albo temperaturę własnego ciała albo temperaturę w słonecznym klimacie. W Anglii 59 stopni to nie tak źle, ale 11 „centigrades” (w końcu maja) to zupełnie zimno.

Ułatwienie. Być może. Co prawda Ameryka nie wybiera się na te centymetry, o ile mi wiadomo. Co prawda 75 procent wszystkiego co jest mechaniczne i technologiczno-elektroniczno-handlowe na świecie, posługuje się językiem angielskim i angielskim systemem miar i wag.

No, ale nie moje zmartwienie. Moje zmartwienie natomiast jak to będzie wyglądało w drukarni, gdy nam wszystko każą w centymetrach i milimetrach, zamiast dobrych starych emsów, ensów, cicerów, nonpareli i kochanych starych punktów.

Rozpacz.

#### „ŚPIĄCA KRÓLEWNA” I FILM O KATYNIU

20 kwietnia br. w Buenos Aires gala co się zowie. Ambasador sowiecki zaprosił cały korpus dyplomatyczny i kilkuset czołowych notabli metropolii nad La Plata na pokaz filmu sowieckiego. Clou pokazu — kolorowy film o śpiącej królownie.

Bardzo proletariacki temat.

Dostojne zgromadzenie siedzi we frakach i przy orderach, wyściskawszy uprzednio gościnne dłonie ambasadora.

Przed Śpiącą Królowną, ot, tak dla wprowadzenia w nastrój, dziennik filmowy. Bombardowanie przez imperialistów Północnego Wietnamu, agresja na spokojną Dominikę, budowa kolchozu w Kazachstanie, popis „gopaka” w operze charkowskiej. I nagle, jakież dziwne zdjecia. Rowy i doły i rzędy ciał pomordowanych. To lasek katyński — mówi komentarz hisz-

pański — miejsce kaźni tysięcy oficerów polskich, zamordowanych strzałem w kark na rozkaz Stalina. Wspomnijmy w dwudziestą piątą rocznicę tej potwornej zbrodni sowieckiej... Na sali jest cicho.

Mało kto z gości żegnał się z ambasadorem sowieckim po pokazie.

Wrażenie ogromne w całej Argentynie.

Jak to się stało? „Uchodźcy polscy wykazali nieładną energię i zmysł organizacyjny” — komentuje prasa. Słuszny komentarz.

#### 500-NY NUMER „MYŚLI POLSKIEJ“

Bez rozgłosu ukazał się pięćsetny numer dwutygodnika „Myśl Polska”. Rozpoczął się ukazywać w r. 1940, w różnych postaciach, nie kryjąc nigdy swego charakteru pisma politycznego, służącego ideologii swojego ruchu. Przechodził różne koleje, w okresie jałtańskim doczekał się zakazu, miał wysoki poziom publicystyczny i utrzymał go do dzisiaj. Ma swych wiernych czytelników, ma i przeciwników. Przeciwników politycznych czy ideowych, tak jak każde pismo tego rodzaju. Lecz i pośród nich cieszy się szacunkiem. A to już bardzo wiele, zwłaszcza, gdy się pamięta, że redaktorzy nigdy nie silili się na układność.

Z redaktorów Rojek, Wyrzykowski, Wasiuński i dzisiaj Antoni Dargas, z piszących długa plejada czołowych przedstawicieli narodowej-demokracji. Mówią o nim pismo „endeckie”. Słusznie. Jest pismem endeckim. Byłoby szkoda wielką, gdyby ruch polityczny o tak dużym wpływie na współczesne dzieje Polski nie miał swego organu. Stąd znaczenie dokumentarne, pismo jest potrzebne nie tylko dla zwolenników Stronnictwa Narodowego, ale i dla badacza dziejów polskiej myśli politycznej.

I tak jak każdemu polskiemu pismu, każdemu bez wyjątku pismu polskiemu, życzymy jubilatce by drukowała kiedyś w wolnej Warszawie.

#### „OJCZYŻNA EUROPA“

Obok, na stronie 9-ej bodaj, ogłaszamy dziś drugą część rozdziału o Włoszech z pracy Zbigniewa Grabowskiego, pt. „Ojczyzna Europa”. Inne rozdziały o mniejszych krajach naszego kontynentu drukowały w swoim czasie „Wiadomości”. Rozdział o Hiszpanii zamierza wydrukować paryska „Kultura”. W „Orle” ukaże się jeszcze jeden — dziewiąty — traktujący o Grecji.

Dowiadujemy się, że całość w postaci książkowej ukaże się w przyszłym roku nakładem „Gryfu”.

Będzie to ważna pozycja w naszym piśmiennictwie. Tym ważniejsza, że nie mamy podobnych już od bardzo dawna. Jest to studium, w którym synteza psychologiczna idzie o lepsze z rzetelnym reportażem socjologicznym i kulturowym. Sądzymy, że rozszerza znacznie horyzonty każdego czytelnika. Jest na wskroś nowoczesna pomimo, a może właśnie z powodu, głębokiego wczucia się w sens historii. Mówi konkretnie o Europie jako o jednej całości tak różnej w swych częściach składowych a tak nieodwołalnie zależącej do zcalenia psychicznego.

Jeśli nazwę Grabowskiego „patriotą kosmopolityzmu” sądzą, że nie minę się z prawdą. Wiem też, że określenie to uzna za najwyższy komplement na jaki mnie stać.

J. P. H.



# WŁOCHY (II)

## 15. GAMA BARW, DEMOKRACJA PIĘKNA I SEKRET SZCZĘŚCIA

Rozmaitość krajobrazów — oto pierwszy, naoczny cud Włoch. Jest to rozmaitość inna od Francji: bo brakuje technienia oceanu. Rozmaitość ta jest w skali bardziej intymnej, subtelnej. W ramach bardziej dyskretnych — jakież pokaz: od jezior aż po Taorminę! Krai-ny ogrodów, zieloności, łagodnego światła — Toskanii i Umbrii — i dziedziny dzikości, prymitywu, oschłości: Abruzzi, okolice Taranto, pewne partie Sycylii. I wielkie widoki Europy: Capri i perspektywa ku Etnie z Taorminy.

Rozmaitość mapy, plastyki ziemi, jej koloru — albowiem przechodzi ona w czerwień na Sycylii — jest niesamowita, ale zawsze utrzymana w ryzach, w ramach: nawet jeżeli krajobraz ten jest „dramatyczny“ jak na Sycylii, to nie należy do kategorii krajobrazów Hiszpanii: Toledo, mesa środkowa, od ludzka pod Granadą, pustkowie pod Sewillą. Krajobraz stara się ściszyć zbyt krzykliwe tony. Dąży on zasadniczo do harmonii, do owej słodyczy, która brzmi w mowie włoskiej, tej muzyce per se, *musica pura*, w której uderza przede wszystkim jej powłoka dźwiękowa, a potem dopiero myślimy o sensie słów.

Jest także rozmaitość ludzka, typów ludzkich: inny jest Włoch z Mediolanu, inny Rzymianin, inny Neapolitańczyk — a inny Sycylijszy (który pod pewnymi względami stanowi zaprzeczenie natury włoskiej: jest on ponury, uroczysty, czarny w kolorystyce). Ale w tej rozmaitości, w tej pstrokaciznie obyczajów, form, istnieje jedność języka i poczucia kultury. Istnieje pewna utajona hierarchia wartości, którą się ceni, pewne wspólne nastawienie do życia.

Przychodzą mi zawsze na myśl trzy opowiadania z trzech rozmaitych rejonów Włoch, które dowodzą, że przez cały ten naród biegnie jednak wspólna kultura i część dla tej kultury. Przyjacieli naszego dzieciństwa, człowiek, którego uważaliśmy za członka niemal rodziny, w starszym wieku oszalał na temat Włoch. Chemik z zawodu, jeździł co roku do Włoch i zanurzał się w tym kraju, mówiąc, że jeżeli czego żałuje w życiu, to tego, że tak późno Włochy odkrył. Opowiadał mi, że wychodził z opery w jednym z miast Włoch północnych i że doczepił się do niego pewien Włoch, który także był na przedstawieniu. Poszli do trattorii i kolację

podlewali suto winem. Po kolacji chodzili po Weronie, albowiem była to bodaj Werona — do późnej nocy, zaglądając od czasu do czasu na kieliszek wina tu i tam. Przygodny znajomy podchmielił sobie, co jest rzeczą rzadką we Włoszech, (gdzie rodzimych pijaków jest tyle co na lekarstwo; podobnie dzieje się w Hiszpanii: we Włoszech jest to wyrazem zasadniczego umiaru włoskiego). Nie chciał wracać do domu: i upierał się, że dopiero wtedy wróci jak mój przyjaciel zaśpiewa poprawnie arię z usłyszonej właśnie opery. „Zrobiłem wszystko co mogłem i dałem mój najlepszy popis śpiewaczy w życiu“, opowiadał potem nasz przyjaciel. „I tak zgodnie zawędrowaliśmy przed dom mojego przygodnego znajomka“.

Opowiadał mi mój ojciec, że za swego pierwszego pobytu w Rzymie mówił po włosku bardzo literackim stylem, albowiem uczył się tego języka z ksiązek. Któregoś wieczoru wracał do domu i zaczepił go dorożkarz zapytując, czyby nie chciał podjechać do hotelu? Ojciec wdał się z nim w rozmowę i w czasie rozmowy zacytował początek jednej z tercyn Dantego: dorożkarz natychmiast podjął nic i wyrecytował tercynę do końca.

Karol Frycz, znakomity dekorator, opowiadał mi przed wojną, że bawił w Neapolu w dobie kiedy Hitler złożył wizytę we Włoszech. Miasto było udekorowane i iluminowane. Frycz był tak zdegustowany tym pokazem, że udał się wieczorem, kiedy miasto przeżywało feerię ogni sztucznych, w stronę Posillipo. Po pewnym czasie posłyszał za sobą kroki: była to para robotników, którzy szli w jego stronę. Zagadnął ich co tu robią i odpowiedzieli mu, że woleli wyjść z miasta, albowiem nie mogą „patrzeć na tryumf barbarzyńcy“. Frycz zapytał ich, czy nie znają w okolicy jakiejś trattorii gdzie możnaby coś zjeść? Odpowiedzieli mu, że znają wcale dobrą restaurację i że mu ją pokażą. Gdy doszli do niej, Frycz zaprosił obu robotników na kolację. „Wybrali sobie dania jak prawdziwi panowie, doradzili mi jakie wino należy wybrać do naszego posiłku, rozmawiali ze mną o sztuce, o malarstwie — i była to kolacja w gronie kulturalnym... Ci ludzie znali się na sztuce życia i nie czułem ani przez chwilę przedziału klasowego“.\*)

Frycz utrafił tu w sedno. Istotnie, nie czuje się we Włoszech różnic kla-

sowych tak jak w krajach Północy, a szczególnie w Anglii. Można rozmawiać we Włoszech z analfabeta, gdyż ma on zawsze coś ciekawego do zakomunikowania, a opowie to w języku zrozumiałym, pełnym polotu i barwy. Dla tych także rozkoszy jedzie się do Włoch: że oto w rozmaitych miejscowościach zanikają różnice rasowe, klasowe, że nikomu nie imponują tytuły — Włoch nie jest na ogół snobem — i że każda wieśniaczka, każda *contadina* mówi jasno, rozsądnie, potrafi zaciekać się wszystkim. Jest to demokracja, którą nazwałby można demokracją piękną. Potwierdzenie tej prawdy miałem kiedyś na Capri, kiedy pod Monte Telegrafo patrzyłem ku zachodowi słońca nad zatoką neapolitańską. Koło mnie stały trzy wieśniaczki równie jak ja zachwycone.

I jeszcze jedno wspomnienie: kiedyś w Waszyngtonie złapałem taksówkę, której kierowcą był Murzyn. Zaczęliśmy rozmawiać i Murzyn powiedział mi, że jego marzeniem jest zebranie pewnego kapitału, któryby mu umożliwił wyjazd z Ameryki i przeniesienie się do Włoch. Ta uwaga zastanowiła mnie. Dlaczego? Czy zna Włochy? Tak, zna z czasów wojny. A dlaczego chce wrócić? Murzyn zastanowił się, a potem powiedział: „Mieszkałem przez kilka tygodni na wsi, w chacie wieśniaka... tam byłem zakwaterowany. I przypatrzyłem się ich życiu. Spodobało mi się to życie, tak dalekie od pośpiechu, od pogoni za pieniędzem. Ich życie miało, jakby to powiedzieć...? Głębiej... chyba tak? „Such depth“

Dla tej właśnie głębi życia osiedla się pewnie we Włoszech tylu ludzi zmęczonych mechanizacją i hałasem miast: dla tej głębi życia i dla sekretu szczęścia.

## 16. MIŁOŚĆ WYROZUMIAŁA

Tea magnes Włoch — podobnie jak Hiszpanii — staje się coraz to bardziej potężny w naszej erze, coraz głębiej w sobie wewnętrznie skłóconej, coraz bardziej uległej wobec mechanicznych podmiot. Ta miłość do Włoch nie jest żadnym nowym odkryciem. Za dawnego Rzymu była to siła atrakcyjna największego ośrodka basenu Morza Śródziemnego. Potem był to magnes Koś-

\*) Już po napisaniu tych uwag przeczytałem w książce Herlinga-Grudzińskiego „Drugie Przyjście“ jego wzruszające wspomnienie o pierwszej wizycie u Benedetto Croce. Zaprowadził go tam prosty braciśzek franciszkański, który wszedłszy z polskim gościem do pracowni znakomitego myśliciela, przykląkł przed Benedetto Croce i ucałował jego rękę, co było wspaniałym gestem uznania prymatu ducha przez skromnego mnicha, wiedzącego chyba dobrze, że Croce nie był przyjacielem Kościoła. Jest to jedna z najbardziej rewelacyjnych scen, która oddaje prawdziwego ducha Włoch.

ciola, były to odpusty, były to pielgrzymki do grobów apostołów. Pielgrzymki te nie były łatwym przedsięwzięciem, gdyż na przełęczach górskich zaczajali się łupiescy bandyci. I potem czyhał oni na turystów i przejezdnych w paradnych karocach. Podróż do Włoch w dawnych czasach nie była rzeczą błahą: a relacje z tych ryzykownych wypraw dowodzą najlepiej, że bardzo silny musiał być magnes włoski, skoro podejmowano tego rodzaju „hazardy“.

Goethe i Schliemann, Stendhal, który mówił, że „tylko we Włoszech smakuje miłość“, Henry James, który powiedział, że „dopiero w Rzymie żyć zaczął“ i że „urok Włoch pokrewny jest uczuciu zakochania“. Henry James uważał, że jest to zasługa ludzi, ich żywości, ich dynamiki, ich bezpośredniości. Można by złożyć całą księgę z tych cudzoziemskich zachwyty nad Włochami — od zachwyty bez żadnego zastrzeżenia aż po zachwyty z zastrzeżeniami (jak u Byrona), albo potępieniami wszystkiego poza architekturą, jak u Ruskina, autora „The Stones of Venice“. W tym studium znalazłyby się uwagi krytyczne, co więcej, złorzeczenia: a jednak mimo tych przekleństw i złorzeczeń, mimo oskarżeń Włochów o wszystkie grzechy i przewinienia, o dziedzictwo, cynizm, brak dobrej woli, podstępność, ludzie wracają, jada, mieszczą latami, albowiem zniewoleni są urokiem tego kraju.

Podobnie jak we Francji, darujemy tyle Francji gdyż rozbraja nas swoim czarem, tak samo we Włoszech: uczymy się tu sztuki przebaczenia. Nie zaznajemy tego uczucia ani tej pokusy w takim kraju jak Hiszpania. I nie chce ona tego od nas, nie żąda tego od nas.

### 17. UROK „FAR' L'AMORE“

Tajemnica tego uroku leży także i w swobodzie życia (to samo ma Paryż). Nikt nie interesuje się zbytnio we Włoszech względami moralnymi, nikt nie pyta o paszporty, pokrewieństwa, stosunki domowe. Mężowie jada z cudzymi żonami i vice versa od wieków. Przygodne romanse odprawiają się pod przyjaznymi skrzydłami hotelarzy. Włochy są na pewno dalej — jak musiały być od wieków — wielką przystanią miłości, schronieniem dla zakochanych. Jest tu miłość spontaniczna, odruchowa, wywołana słońcem i urodą świata; jest i miłość sprzedajna, miłość za pieniądze — kobieca i męska. Mężczyźni sprzedają swoje fawory, młodzieńcy chłopcy swoje wdzięki. Nie widzi się w tym niczego zdrożnego i klientela z całego świata nie skarży się. Podsta-

rzałe damy kupują sobie miłość ślicznych chłopców na Capri czy w Taorminie czy w setkach innych portów miłości. Starzejące się ciała z całego świata starają się przywołać jeszcze ostatnie płomienie młodości. I tu, we Włoszech, nie tylko ta miłość jest dozwolona i uznana, ale nawet sprzedajna miłość podana jest w formie piękna. Pięknego słowa, pięknego frazesu.

Miłość we Włoszech ma przede wszystkim cudowne ramy. Ale powiadają, że nawet dziewczęta uliczne Włoch — pisze o nich z wielkim sentymentem Barzini — są inne niż dziewczęta uliczne innych krajów i miast. Mają one wiele serdeczności, macierzyńskich uczuć, są dobrymi kompaniami. Jest to bowiem część składowa tej *innocence* jaka tkwi w naturach łańskich, w rasach, które kierują się dalej instynktem. Rasy te są na tyle mądre, iż uznają, że skoro pewne sprawy — jak płęć i pragnienie — są wieczne, są niezmiennalne, to lepiej jest starać się zmienić je w rzecz piękną, nawet całkowicie opartą na złudzeniu, aniżeli wdeptywać je w błoto.

Do jakiego stopnia Włochy są takim przedpokojem miłości, na to dowodem liczne powieści i relacje przede wszystkim anglosaskie: weźmy powieść „Surprise in Cremona“ — a takich „niespodzianek“ można zaznać nie tylko w Cremonie, ale w każdym miasteczku włoskim — czy relacje wdowy po poecie Dylanie Thomasie, która nie wstydziała się opisać swoich miłosnych turniejów z włoskim chłopcem, który był przyjacielem jej syna i mógłby być jej własnym synem. Sprawy płci traktowane są we Włoszech naturalnie: zaczyna się karierę seksualną wcześniej, a kończy jak najpóźniej (vide powieść Roger Vailant „La Loie“ o jednym z najbardziej fascynujących rejonów Włoch). Nawet film anglosaski dopuścił tego rodzaju sprawy by przytoczyć dwa obrazy: „Midsummer Madness“ i „Light in the Piazza“, a po dziś dzień nieprześcignione pozostają pamiętniki Casanowy: i kiedy zapytujemy się, dlaczego te jego wspomnienia są dalej czytane — chociaż zawierają na każdej prawie stronie powtórkę jego poprzedniej przygody — to dojdziemy do wniosku, że przyczyną jest jego niefałszowany entuzjizm dla spraw płci. Każda przygoda była dla niego jakby pierwszą, do każdej odnosi się z niesłabnącym zapalem (jest rzeczą ciekawą, że Casanova wraca często do swojego pierwszego wzoru, a zatem kochania równocześnie dwóch siostr i ten wzór powtarza się w jego późniejszych awanturach miłosnych wcale często). I ten właśnie zapal, to nieustanne odnawianie się pragnienia, ten brak zblazowania, żywe przejście się kobietą, ta wiel-

ka uwaga jaką poświęca wszelkim detalom stroju kobiecego, to na pewno działa w jego pamiętnikach. Czytamy je z uśmiechem: nie ma w nich niczego co by nas raziło, są one niemal dziecinne, rozbajające w swoich wynurzeniach. Oto Eros-Feniks, oto Eros, który nie żąda Psyche, któremu wystarczy rozkosz ciała.

Może dlatego Stendhal miał rację, mówiąc, że to Włochy a nie Francja są krajem idealnego *faire l'amour*? Może uważał, że we Francji ta czynność jest zanadto zabarwiona intelektem, nadmiernie wyrafinowana? Że tu właśnie, we Włoszech, pragnienie jest jeszcze prymitywne, pogańskie, upajające? Że tutaj można się cieszyć samą powierzchnią ciała?

Jakkolwiek było, musimy uznać, że ta sprawa, ten urok płci i *faire l'amour* po włosku, stanowi jeszcze jedną atrakcję dla krajów Północy, wygodniaków zmysłowo, uważających, że miłość u nich w domu nie ma ani części tego czaru co na ziemi włoskiej. *Fare l'amore* nabiera dopiero sensu, głębi na tle tej pogańskiej przyrody, w naporze słońca, w nastroju siesty. Tam dopiero, we Włoszech, odkrywamy w nas samych naszą pogańską naturę: jest to niespodzianka dla wielu, co pojechali do Włoch ażeby być w Rzymie, ażeby zajrzeć do kościołów. I oto czar, stary Pan czy młody Faun, nawiedza ich w tej świętej pielgrzymce i odwozi do lasu, w gaje i krzewy, pokazując starą radość, radość odwieczną, która zachowała się nieskażona pod niebem Włoch.

### 18. POGARDA KULTU WIELKOŚCI

Powiedziano słusznie, że geniusz włoski rozsiał swoje dzieła i prace wszędzie: gdzie bowiem w Europie nie spotykamy twórców architektów włoskich — to oni przecież budowali tysiące pałaców, kościołów i rezydencji aż po Pałac Zimowy w Petersburgu. Lista sław włoskich jest na pewno imponująca: wszędzie prawie, w każdej dziedzinie geniusz włoski pozostawił swoje ślady — mówi się, że Włosi uczyli sztuki wojennej Niemców, kuchni Francuzów, a muzyki wszystkich. A jednak, ostrzegają nas historycy, naród włoski odnosił się do geniuszów albo obojętnie, albo wrogo: Barzini stawia tezę, że wielcy ludzie skazywani byli na śmierć we Włoszech „z pełną regularnością“. Reformatorzy, prorocy, trybuni ludu, zdani byli na zmienną łaskę tłumu. Ale co więcej — niejeden przywódca włoski, chociaż pełen dynamiki, zachowywał się w chwili rozstrzygającej, krytycznej wahająco, nie okazywał charakteru.

Jest też rzeczą znamioną, że w tym kraju niewielka jest ilość auto-analiz. Francesco Guiccardini w dawnej epoce,



Francesco de Sanctis za naszych czasów — oto dwaj najpotężniejsi badacze narodowej psychy włoskiej. Tym dwu badaczom przeciwstawić można imponujący legion analityków obcych — od Niemców poprzez Anglików po Amerykanów.

19. UWIELBIENIE DLA WŁOCH — POGARDA DLA WŁOCHÓW

Czyż ten fakt nie świadczy, że Włoch unika analizy, auto-analizy, że woli się nie zastanawiać nad swoim charakterem i narodowym i osobistym? W tej mierze przypomina on Anglika starej daty, — z tym, że skłonność włoska przetrwała epokę psychoanalizy.

Ocena obca, cudzoziemiska, Włochów, była przez wieki nieżyczliwa: chwalono klimat jak czynił Stendhal, a podobne uwagi wypowiadał Heine — opiewano zabytki, szukano śladów dawnej świetności, ale „prasa“ jaką mieli Włosi w wieku 18-tym i 19-tym była zdecydowanie ujemna. Można by nawet powiedzieć, że podczas gdy ziemia włoska i jej monumenty wychwalane były pod niebiosa, to do samych Włochów odnośno się niemal z pogardą.

Ten stosunek — wyznawany przezważnie przez Anglików, którzy często korzystali z uciech Włoch po to, ażeby szkalować potem te radości w przystępie purytańskiej obłudzie (nie był od tego wolny nawet Byron) — wynikał w dużej mierze z tego, że Włochy wieku 18-go, a potem 19-go były pod obcą władzą, że okazywały wszelkie schorzenia właściwe krajom okupowanym. Poza tym w wieku 19-tym Anglia płynęła już na fali rewolucji przemysłowej, wysuwała hasła komfortu. Na tym tle Włochy wyglądały bardzo prymitywnie.

Dopiero w wieku 20-tym zaczęto lepiej oceniać istotne wartości Włoch. Dopiero wtedy gdy cywilizacja materialna dopieklea niejednemu, gdy spostrzeżono, że istnieje różnica między cywilizacją a kulturą i że wysoka cywilizacja materialna bynajmniej nie pociąga za sobą wysokiej kultury, dopiero wtedy zaczęto oceniać Włochy jako rezerwar *way of life*, którą ma w sobie sekret *serenité*. Z tej jakże trafnej oceny życia włoskiego wiedzie się pytanie poety brytyjskiego W. H. Audena: „Is there any other country in Europe where the character of the people seems to have been little affected by political and technological changes?“

20. ZIEMIA CIĄGLEGO CUDU

Ta ziemia pogańska jest także ziemią świętych — aż po dzień dzisiejszy, po Padre Pio da Pietralzina, Kapucyna z miejscowości San Giovanni Rotondo

w Apulii. Włochy od wieków były ich przybytkiem: a cuda odprawiały się tutaj od czasów pogańskich — od posągu Apolla z Cuma, który płakał krwawymi łzami — aż po naszą erę, po przemianę krwi św. Januarego w Neapolu, które to zjawisko witane jest w kościele jego imienia okrzykami radości i oklaskami, jak w teatrze. Historycy powiedzą nam, że św. January wiąże się zapewne tajnymi niemi z Janusem rzymskim, podobnie jak po dziś dzień wielbiona na Sycylii Santa Venerina jest pozostałością kultu Wenery i kultu rodności. Ale to nie umniejsza tego kultu: przeciwnie, dowodzi raz jeszcze jak głęboko prowadzi nas historia we wszystkim niemal czego we Włoszech dotkniemy.

Włochy żądają cudów, żądają namacalnego dowodu interwencji Boga czy świętych: nie dla nich jest *Deus absconditus*, pascalski *le Dieu qui se cache*.

21. ZAPACH ŻYCIA GROMADNEGO

Jak się już rzekło, przy wszystkich ziorzeczeniach i zarzutach, przy wszystkich oskarżeniach o nieuczciwość, zło-dziejstwo, naciąganie — miliony wracają co roku do Włoch, ażeby nasycić się tym głośnym, wrzaskliwym życiem, kolorami *mercato*, barwami owoców i kwiatów, zapachem tej ziemi, całą gamą zapachów, które tutaj nie są ukrywane, ale przeciwnie wciskają się w nasze nozdrza, przyzwyczajone do aseptyki anglosaskich czy innych krajów. Pachną tu owoce, sklepy, ludzie — i ten zapach, ziemski, zapach samej ziemi, stanowi jeden z uroków Włoch. Albowiem nadmiar higieny w krajach Północy, walka z B. O. — *body odour*, uważany za coś niemal haniebnego — sprawiły, że jesteśmy wygłodniali tego zapachu prostego życia.

Cudzoziemiec jest zafascynowany także ruchliwością Włocha, n'eposkromioną jego gestykulacją, wyrazem jego twarzy, jego umiejętnością zmiany wyrazu tej twarzy. Wiemy i jest to banał, że Włosi są wspaniałymi aktorami: ale w życiu, nie na scenie (teatr włoski jest dalej marginesem życia kulturalnego kraju: a nie jest na pewno dziełem przypadku, że oryginalnym tworem i wkładem Włoch była *Commedia del'Arte*, a zatem rzecz improwizowana). Wiemy, jak doskonale grają w filmach włoskich wszelacy komparrowie, tłum — jak nieomylnie ma on poczucie teatru.

Włoch jest istotą nieskończenie towarzyską. Nie czuje się on dobrze w obliczu samej natury, nie lubi samotności. Kocha rozmowę, kocha kontakt z człowiekiem. Sztuka rozmowy postawiona jest w tym kraju bardzo wysoko, chociaż nie umywa się, jeżeli cho-

dzi o poziom intelektualny, finezję i dowcip do Francji: znakomitość jej jest innej kategorii czy klasy — pozostaje ona w sferze wyobraźni, barwy, żywości reakcji. Przeważnie jest to plotka, ale plotka kolorowa, przeważnie są to spostrzeżenia dorywcze, ale jakże barwne. Włosi mają na to własne wyrażenie: *cose all'italiana* — to są pogaduszki, które tylko Włochom są wiadome i znane, jeżeli chodzi o ich sens i urok.

Stendhal powiedział, że cechami życia włoskiego jest „miłość, zmysłowość i szczerość“. Co do dwóch jego właściwości możemy się zgodzić — ale co do trzeciej? Czy istotnie mamy do czynienia ze szczerością czy ostentacją? A może Stendhal ma rację: może istotnie Włoch jest szczery za każdym razem — nawet wtedy jeżeli kłamie? Że wierzy za każdym razem, że mówi prawdę? Włoch jest na pewno o wiele bardziej otwarty aniżeli Francuz — ale nie potrafiłem jeszcze zgłębić jego szczerości.

Rację bodaj mają ci, co sądzą, że w tej rasie spoczywa głęboko ukryte pragnienie zrobienia z życia czegoś na wzór dzieła sztuki, że istnieje poczucie, że życie jest sztuką, że trzeba je wyreżyserować i kształtować. Każdy Włoch ma o sobie wysokie pojęcie, a jego ambicje są nieograniczone. W zestawieniu z Anglią, gdzie ludzie godzą się na swój los i status, gdzie nie ma na ogół ochoty robienia kariery po za własną sferą, Włochy wydają się nam krajem megalomanów, ludzi genialnych jeden w drugiego.

Nie tylko Włosi mają wysokie pojęcie o swoich zdolnościach i nie ma tutaj na ogół ludzi skromnych (ale czy Goethe nie powiedział, że „tylko łotrzykowie są skromni“?) Mają oni wielką skłonność do życia nad stan. Utrzymywanie tak zwanej fasady, czy twarzy jest nieraz ulubionym zajęciem zbankrutowanych rodzin: znany jest fakt, że pewne rodziny arystokratyczne, które nie stać już na własne powozy, zaspokajały swoje ambicje w ten sposób, że w drzwiach wypożyczonej karocy wstawiano w pewne dni herby i wyjeżdżano na promenadę. Niektórzy mieli własne drzwi z herbami i drzwi te wmontowywano w bok karocy. Ileż osób żyje we Włoszech nędznie we wspaniałych pałacach i rezydencjach! Ileż takich rezydencji utrzymuje się na bardzo wątej nici finansowej, iluż biedaków jest wśród tych znakomych rodzin!

Ale teatralny gest, wystawność, teatr — są we krwi tej rasy. Przejawiają się one w architekturze — cytuje się tutaj często Bazylikę Św. Piotra na-

## WŁOCHY (II)

zwaną przez kogoś bez wielkiej rewerencji „God's own holy playhouse“ — ale we wszelkich uroczystościach, w akcentowaniu pompy, w zamilowaniu do obchodów, festynów. Włosi byli często wirtuozami, aby przytoczyć chociażby Paganiniego. Wielbią wirtuozję i mają na to wyrażenie: *virtuosismo*. Ich żądza wspaniałości wyżywa się w monumentalnej architekturze — nieraz nawet niesmacznej jak pomnik Wiktora Emanuela w Rzymie — a także we wszelkiej ceremonii, w ogniach sztucznych, fajerwerkach, w czym są nieprześcignieni (przypomnieć należy doskonałą scenę w relacji Carlo Levi pt. „Chrystus zatrzymał się w Eboli“ kiedy opisuje jak uboga wioska przeznaczyła ogromne na jej możliwości fundusze na ognie sztuczne). Tworzą oni typy kabbotyńskie jak D'Annunzio, jedną z najciekawszych postaci jakie Włochy wydały, albowiem w nim właśnie, w tym dobrym poecie i o wiele gorszym prozaiku, skoncentrowały się wszystkie prawie cechy, nieraz w patologicznym nasileniu, natury włoskiej — zmysłowej, hedonicznej, niespokojnej, żyjącej nad stan, zdolnej do teatralnego gestu.

### 22. KRAJ UBÓSTWA W BOGATEJ SZACIE

A jednak ten kraj bogactwa architektury, która dowodziłaby pozornie, że mamy do czynienia z krajem bogatym jest w tym sensie *trompe l'oeil*. Jest to bowiem dalej kraj ubogi. Jest to wciąż jeszcze kraj niedostatecznego wykształcenia. Szkoły włoskie nie są dobre, a co więcej, nie trafiają wszędzie. Biurokracja włoska jest martwa, jest źle płatna, a włoski wymiar sprawiedliwości jest powolny i kulawy. Są to dalej jeszcze pozostałości rządów obcych.

BIBLIOTEKA „KULTURY“  
Tom XCIX

### Wincenty Witos MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego  
wodza chłopów polskich  
i czołowego męża stanu Polski  
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości  
1,325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w  
GRYFIE — 171, Battersea Church  
Road, London, S.W.11, oraz we  
wszystkich księgarniach polskich

Włoch nie wierzy w wymiar sprawiedliwości, jak wierzy Anglik. Nie ufa swojej biurokracji, która jest głupia i dokuczliwa. Nie ufa swojej policji.

Tworzy to, jak słusznie podkreślono pewien podkład strachu i lęku, braku poczucia security: o ile kraje Północy a szczególnie Anglia to państwa security, Włochy są dla samych Włochów ziemią niepewną, — od polityki poprzez finanse do biurokracji i sądownictwa. Włoch nie wierzy organizacji państwowej, natomiast ufa na pewno takiej organizacji jak Mafia. Mafia jest po dzień dzień potęgą, z którą nie uporał się Mussolini ani też rządy powojenne. Opiera się ona dalej na wierności klanów, na dyskrecji swoich członków, na absolutnym posłuszeństwie. Wzory mafijne zostały wywiezione do Ameryki a dopiero niedawno odkryto, że po dzień dzień zachowały się nici między Mafią na Sycylii a gangsterami w Stanach Zjednoczonych.

Mafia pozostaje dalej tworem tajemniczym, chociaż mamy na jej temat coraz więcej książek i analiz. Od czasu do czasu policja zabija tego czy innego wybitnego działacza Mafii — ale jej kierownicy istnieją dalej, a wiadomo dzisiaj, że wojska amerykańskie przed opanowaniem pewnych punktów na Sycylii weszły naprzód w kontakt z przywódcami Mafii. Policja czyni wypadki, a ludność na Sycylii patrzy na te dokonania obojętnie: dla niej bandyci i Mafia to bohaterowie a ich prawo okazało się dokładniejsze i pewniejsze aniżeli sądy państwa.

Strach i lęk — dziedzictwo okupacji, zmiennych rządów, niepewności doli — nie zostały wytrzebione z tego słonecznego kraju. Stanowią one niepokojące tło. I dopóki państwo nie stanie się przedmiotem zaufania, dopóki sądy nie zaczną działać jak należy, dopóki w życiu zbiorowym nie będzie się rugować rozmaitych „mafii“, *combinazioni* i popolitych „siucht“ i „sitw“ — dopóty nie przegoni się dawnego strachu.

### 23. TYRANIA ZWALCZANA OSZUSTWEM

Psychologowie, którzy zastanawiają się nad charakterem włoskim, powiadają, że dlatego właśnie, że życie włoskie jest tak podminowane niepewnością, że dlatego iż nie ma wiary w stabilność życia, dlatego umysł włoski kocha wszystko to co jest pełne ładu. Powiadają, że tym tłumaczy się pasja do formalnych ogrodów, do prostych jak strzała alei, do prostoty perspektyw. Że tym tłumaczy się fakt, iż u Daniego piekło i niebo są tak doskonale rozplanowane, że można ułożyć bez trudu przewodnik po obu tych sferach. Powiadają oni także, że manią, obsesją

wielu Włochów a zwłaszcza Włoszek jest „urządzenie“ swoich synów i córek, co określa się mianem *sistimare*. „Systematyzacja“ jest hasłem milionów, które daremnie chciałyby zaznać stability, ale na to się nie zanosi.

Państwo włoskie jest dalej tworem niedoskonałym. Oświata włoska jest kulawa. Sprawiedliwość włoska jest słaba. Nepotyzm panuje dalej. Niedarmo w wieku 16-tym Castiglione napisał „Il Libro del Cortegiano“: a ten dworak zależny od łaski pańskiej tkwi dalej w atmosferze włoskiej. Ten „yesman“, jak to zjawisko zowie język amerykański, jest typem bardzo włoskim. I dlatego tyrania może się przyjąć we Włoszech i stanowić przez lata pożywkę dla mas. Historycy pocieszają nas, że tyrani zawsze doigrywują się swojego kresu i że lud pozbywa się ich prędzej czy później. Że nawet w wypadku Mussoliniego taki był właśnie odwieczny wzór rzymski: skoro nie można się go było pozbyć, wprowadzono go w wojnę i katastrofę. Mussolini oszukiwał naród pod wielu względami, powiadają jego przeciwnicy, ale i naród go oszukał: albowiem zawiódł go w wojnie.

Dowodzenie tego rodzaju wydaje mi się bardzo ryzykowne. Istotnie, naród włoski zawiódł w wojnie narzuconej mu przez Mussoliniego. Istotnie, pozbył się tyrana przez wojnę. Ale powstaje pytanie czy ta kuracja nie była zbyt kosztowna?

### 24. CHAOS ŹRÓDŁEM KULTURY?

Chodzi jednak tutaj o rzecz inną: jeżeli struktura państwowa stanie się o wiele silniejsza, jeżeli państwo będzie coraz bardziej państwem z prawdziwego zdarzenia, jeżeli jego ingerencja ponunie się dalej — to czy Włochy staną się jako przybytek sztuki życia? Czy nie stracą one przez ingerencję państwa, czy zamiast nastroju pogodnego zamętu nie przyjdzie surowa jednolitość? Czy właśnie życie włoskie nie dlatego kipi i przelewa się, bo jest jeszcze nie ugodzone jak na Północy, bo jeszcze burzy się przeciwko nadmiernej przemocy państwa? Ci co chcieliby, ażeby Włochy były bardziej spoiste, ażeby scementowały się, zapominają o tym, że może w tej decentralizacji leży ich siła, że kultura włoska stała najwyższej wtedy — podobnie jak niemiecka — kiedy państwo było rozbite na księstwa. Czy w swoim zapale montowania państwa scentralizowanego i silnego nie zapominają o tym, że urok Włoch to urok swobodnej jednostki, to urok swobody struktury zbiorowej i że ten chaos dopiero pozwala na to, ażeby jednostka nie była ujednoliconą, nie była sztancą i cyfrą?

Zbigniew Grabowski



# CO PRZYNOŚI ROCZNIK STATYSTYCZNY 1964 ROKU?

NOWE wydanie *Rocznika Statystycznego PRL* niesie zawsze ważnemu czytelnikowi trochę radości i trochę smutku, nawet w oderwaniu od przemian w życiu Kraju, odbitych w tym mnóstwie liczb. O nich mówią nam już wcześniej *Biuletyn Statystyczny* i prasa. Gdy jednak głębsza analiza wymaga szczegółów, ważna jest większa lub mniejsza rzetelność *Rocznika*, stopień obciążenia propagandą, poziom fachowy.

Pierwsze wrażenie — dodatnie. Tomy *Rocznika* obiecująco pęcznią. Ten już liczy ponad 700 dużych stron, ciasno zapelnionych liczbami i wyjaśnieniami. Do tego mapa i 34 barwne wykresy. Druk, układ tablic — celowo przemysłane. Obszerny indeks rzeczowy. Jest nieco balastu, ale i treść istotna coraz bogatsza. Kilka działów rozbudowano, w wielu tablicach uzupełniono szeregi retrospektywne.

Grzechy obciążają zapewne nie tyle Główny Urząd Statystyczny (GUS), ile jego politycznych mocodawców. Ich zakazom przypisuję rażące i bolesne luki, jak stałe pomijanie bilansu płatniczego i jego elementów. Tylko partia mogła nakazać zestawienie stanu obecnego z przeszłością w sposób urągający wymaganiom obiektywizmu. Niestety, są także grzechy, o które trudno winić partię, gdyż nie mają wartości propagandowych.

Dział *ludności* zawiera nareszcie wyniki ostateczne Spisu Powszechnego z 6 grudnia 1960 r. Ujawniono po raz pierwszy skład ludności według stanu cywilnego. Nawet dwa razy: raz wśród żywych, drugi raz wśród samobójców. Ciekawostką jest duża tablica podająca liczby Polaków w 50 krajach obcych, według szacunku tow. „Polonia“. Tym bardziej razi pomieszczenie wszystkich liczb na temat ruchów migracyjnych zewnętrznych dla 9 lat w 2 wierszach, bez słowa o kierunkach tych ruchów. Tajemnica tym bardziej niedorzeczna, że wiele dat ogłosiła już prasa.

Nadal nie istnieją dla GUS takie zjawiska jak dzieci nieślubne i zabiegi przerywania ciąży, jedno i drugie ważne dla demografa i socjologa.

Tabl. 11 tego działu, „Ludność według wieku i płci w dniu spisu 1960 r.“, to pułapka na czytelnika. Już w sierpniu 1962 r. Zeszyt specjalny *Biuletynu Statystycznego* przyniósł wyniki opracowania tego tematu metodą reprezentacji. Pisałem o nich (1), że zostały

wykoszlawione przez użycie nietypowej zbiorowości próbnej: Wyłączenie bowiem dwu dużych grup o wybitnej przewadze młodych mężczyzn sztucznie zmniejszyło ich udział. Nadzieja, że ostateczne opracowanie spisu naprawi błąd — zawiodła. *Rocznik* nie wyłącza wprawdzie, jak tamta próba, mieszkańców kwater zbiorowych, jednakże: „W podziale według wieku oraz w podziale terytorialnym nie uwzględniono 392,8 tys. osób, w tym 23,0 tys. w wieku nie ustalonym“. Z rzetelnością jest tu jeszcze gorzej niż w *Biuletynie*, gdzie przynajmniej podano skład grup wyłączonych według płci. *Rocznik* i tego ostrzeżenia zaniedbał. Ogłasza po prostu, że grupa 20-24 lat, tak ważna dla tworzenia rodzin, liczyła 6 grudnia 1960 r. 862,8 tys. mężczyzn i 1087,9 tys. kobiet, a więc na 100 mężczyzn 126 kobiet. Na szczęście dla tych ostatnich liczby te są dalekie od prawdy. Już w tabl. 12 sam GUS szacuje, że w końcu 1963 r. tak w grupie 20-24 lat jak i 25-29 lat nieco przeważali mężczyźni. Przykra kompromitacja nie tylko tych, którzy zakazali włączenia wieku żołnierzy do ogólnego zestawienia, ale i GUS, który ogłasza błędne liczby nie ostrzegając, że są fałszywe.

Dział *dochodu narodowego* wzrósł o 5 tablic, w tym zestawienie sum inwestycji brutto i netto oraz amortyzacji dóbr trwałych, dla lat 1960-63. W tym ostatnim roku nakłady na środki trwałe i kapitalne remonty wyniosły w cenach 1961 r. — 140,1 mld zł., amortyzacja 58,5 mld, nakłady netto 81,2 mld złotych. Potrącenia amortyzacyjne są więc dużo wyższe od stosowanych dawniej.

Ważna tabl. 23: Bilans wytwarzania i podziału produktu globalnego oraz dochodu narodowego nie jest, niestety, dalszym ciągiem tablicy sprzed roku, ale jej powtórzeniem dla tego samego 1961 r. Tablica zaś: Podział ostateczny produktu globalnego i importu — znikła zupełnie.

Oba wykresy przy str. 80, dotyczące inwestycji, jak i parę dalszych, mogą służyć za wzór, jak nie wolno przedstawiać graficznie rozwoju zjawisk silnie się różniących w wielkości absolutnej. Rozwój nakładów od 1950 do 1963 roku wyrażono w postaci krzywych prowadzonych przez punkty odległe od osi poziomej w stosunku arytmetycznym do wysokości nakładów w danym roku. Dzięki temu dynamika wygląda znikomo w działach o skromnym udziale w całości nakładów, choćby w nich właśnie nakłady rosły szybciej niż w

innych i odwrotnie. Jeśli GUS nie chce stosować skali logarytmicznej, mógł przeliczyć liczby absolutne na wskaźniki o wspólnej podstawie albo zrezygnować z krzywych na rzecz słupków.

Dział VI, *Środki trwałe*, różni się znacznie od zesporocznego. Tam podano „ostateczne wyniki powszechnej rejestracji środków trwałych, przeprowadzonej według stanu w dniu 1 stycznia 1961 r., w cenach z 1 lipca 1960 roku“. Obecnie do liczb osiągniętych przy rejestracji dodano liczby szacunkowe dla nieobjętych przez nią środków trwałych i to nie tylko w gospodarce „uspołecznionej“, ale i prywatnej. Gdy więc ogólna wartość odtworzenia środków trwałych objętych w R. St. 1963 wyniosła 951.880,6 mln złotych, urasta ona w R. St. 1964 do 2.321.421 mln zł, z czego na gospodarkę państwową przypada 1.545.813 mln zł., na spółdzielnie (prócz rolniczych) 65.961 mln zł. i na gospodarkę prywatną 709.647 mln zł. W tej ostatniej pozycji 434.341 mln zł stanowią domy mieszkalne poza rolnictwem, a 266.307 mln zł budynki i urządzenia w gospodarstwach chłopskich.

Ważnym uzupełnieniem „wartości odtworzenia“ jest rozbięcie wartości środków trwałych na 5 grup wieku (w odsetkach całości), podane w tabl. 5., niestety, tylko dla przedsiębiorstw „uspołecznionych“.

Brak informacji bardziej szczegółowych nadaje wszystkim liczbom tego działu charakter niesprawdzalnych abstrakcji, co dotkliwie umniejsza ich użyteczność dla analizy ekonomicznej.

W dziale *Rolnictwo* powtórzono raz jeszcze ważną dla oceny polityki agrarnej komunistów fałszywą informację, jakoby w czerwcu 1946 r. aż 93,2 proc. użytków rolnych, ponad 19 mln ha, na leżało do gospodarstw indywidualnych i spółdzielni produkcyjnych. Tych ostatnich w 1946 r. nie było, niewielką ilość tzw. spółdzielni osadniczych można śmiało pominąć. Liczby te „wyliczono“ w ten łatwy sposób, że od pełnej powierzchni użytków rolnych, 20.864,2 tys. ha, odjęto 1.392,9 tys. ha — obszar tych użytków w przedsiębiorstwie Państwowe Nieruchomości Ziemskie. Przypisując całą resztę chłopom GUS obdarza ich, niestety tylko na cierpliwym papierze, co najmniej 2 milionami ha Państwowego Funduszu Ziemi i kilkuset tys. ha należącymi w owym czasie do różnych instytucji państwowych i społecznych.

To nie błąd czy niedopatrzenie GUS. W tablicy wszystko się zgadza, zgadza

(1) *Rocznik Polskiego Tow. Naukowego na Obczyźnie*, r. 1963-64, str. 61-2.

się także z podanym sposobem obliczenia, ale właśnie dlatego nie może się zgadzać z prawdą. Nie trudno też wskazać polityczną rację zmuszenia GUS do nieuczciwego zabiegu. Oto we wrześniu 1939 r. w „obszarniczej“ Polsce na chłopów (gospodarstwa do 50 ha) przypadało prawie 80 proc. użytków rolnych, a w Polsce „ludowej“, po radykalnej reformie i przejęciu gruntów poniemieckich — około 83 proc. (dokładnego szacunku liczby GUS nie umożliwiają). Nie jest to żadnym cudem, ale skutkiem zatrzymania przez państwo niewiele mniejszego udziału w użytkach rolnych, jaki przed wojną mieli obszarnicy i państwo razem. Ogłoszenie jednak tych liczb wykazywałoby kłamliwość hasła „Ziemia dla chłopów“ i wielu sloganów propagandy komunistycznej. Kazano więc GUS „wyliczyć“ większy obszar chłopski.

Wymowę polityczną ma chyba także zupełne pominięcie w **Roczniku** doniosłego zjawiska rozproszenia ziemi w szachownicy. To pominięcie razi tym bardziej, że właśnie w ciągu 1964 r. GUS wydał 23 zeszyty wyników ostatecznych Spisu Powszechnego z 1960 r., serii „R“, gdzie podano ciekawe liczby na temat szachownicy. Oto 1,2 mln gospodarstw chłopskich składa się z 4 lub więcej kawałków, w tym 557 tys. gospodarstw z 6 lub więcej. Ale serię „R“ mało kto czyta, ogłoszenie zaś tych alarmujących liczb w **Roczniku** nie sprzyjałoby polityce dalszego pielęgnowania szachownicy.

Ani **Rocznik**, ani zeszyty serii „R“ nie podają obszaru ogólnego gospodarstw indywidualnych, ani obszaru użytków rolnych tych gospodarstw według wyników Spisu Powszechnego, chociaż materiały Spisu zawierają te liczby. Nigdy też nie ogłasza się tych wielkości na podstawie corocznych czerwcowych spisów rolniczych. Mogą one nie być dokładne, część gruntów może

nie trafić do zeznań, ale są też sposoby kontroli i szacunku możliwych błędów, stosowane przez GUS przy innych okazjach.

Leśnictwo wyodrębniono jako dział X i uzupełniono kilku ważnymi tablicami, w ten jednak sposób, aby nie dać podstaw dla szacunku rozmiarów zniszczenia wynikającego z prowadzenia od początku wojny po dzień dzisiejszy gospodarki rabunkowej w lasach.

Rozszerzono działy dotyczące budownictwa i gospodarki mieszkaniowej. Tu, podobnie jak dla lasów, największą tajemnicę stanowią skutki gospodarki rabunkowej. W lasach wycina się więcej niż przyrasta, w miastach buduje się mniej niż wynoszą według ostrożnych szacunków ubytki plus potrzeby rosnącej ludności. Czytelnika cieszy na pierwszy rzut oka nowa tablica 23 działu XIV: „Bilans zasobów mieszkaniowych w miastach“. Zawiera dla lat 1961, 1962 i 1963: stan z końca roku poprzedniego, przyrosty, ubytki, stan w końcu roku. Podano zmiany tak w liczbie budynków jak mieszkań i izb. Omal nie rewelacja, gdyż dotąd nigdy, o ile wiem, GUS nie podawał wielkości ubytków. Ale nie cieszymy się przed przeczytaniem wyjaśnień. Jedno zdanie non parelem przekreśla wartość tablicy. Brzmi ono: „Ubytki obejmują wyłącznie budynki całkowicie rozebrane oraz całkowicie zniszczone wskutek pożarów, powodzi itp.“ Dzięki tej metodzie ubytek izb mieszkalnych w 1962 roku wynosi 13.268 izb, w 1963 roku 16.386 izb, gdy zasób izb w tych latach wynosił odpowiednio 9.420 tys. i 9.760 tys. Gdyby ubytek stanowił rzeczywiście 0,14 do 0,17 proc., należałoby czas ich trwania określić na 600-700 lat. O to ich nawet urzędowi optymiści nie posądzą.

Nie na tym koniec cudów. Inne wyjaśnienie do tabl. 23 poucza, że „izby uzyskane z kapitalnych remontów“ zaliczono do przyrostu zasobów. Gdy tedy zniszczony dom poddaje się odno-

wieniu, pojawia się on wśród nowych domów, chociaż nie został spisany z liczbą starych. Ta metoda pozwala nie budując, ale remontując domy co 50 lat potroić w ciągu stulecia zasoby mieszkań w statystyce skazując zarazem cały przyrost ludności na bezdomność.

Handel zagraniczny uzyskał znaczne rozszerzenie tablicy „Eksport niektórych towarów według krajów sprzedaży“ — z jednej strony na siedem, a co ważniejsze, nową obszerną (17 stron) tablicę: „Obroty handlowe z niektórymi krajami według towarów“. Dla 1962 r. podano tylko ilości, dla 1963 r. także wartość każdej pozycji. Oznaczenie towarów jest wprawdzie zbyt ogólne, by można na tej podstawie wyliczać ceny płacone i uzyskiwane, nie wszystkie te obroty znalazły się w tablicy, niemniej wzbogaca ona nasze wiadomości; a stanie się bardziej użyteczna, jeśli porównywalne liczby będą ogłaszane corocznie.

Niepokoje mnie w tej tablicy wyjaśnienie, że wartość podaje się w niej „w cenach bieżących“. Wolalibyśmy wiedzieć, że jest to suma rzeczywiście zapłaconą, albo otrzymaną, a nie wynik jakichś przeliczeń.

Jak zawsze, a wbrew zwykłej praktyce krajów zachodnich, wartość nie tylko wywozu, ale i przywozu GUS podaje „franco granica kraju dostawcy“. Logika nakazuje podawać tylko eksport f. o. b., ale import c. i. f., gdyż chcemy wiedzieć ostatecznie co nas towar kosztuje we własnym kraju. Chcąc np. porównać wpływy dewizowe z wywozu z tym, co musimy zapłacić za towary przywiezione, musimy do wartości importu podanych przez GUS dodać koszty transportu do naszej granicy, których nie znamy.

W dziale międzynarodowym widnieje tabelka: „Polityczny podział świata w latach 1919, 1938, 1950 i 1962“. Świat podzielono oczywiście na kraje „socjalistyczne“ i „pozostałe“. Udział pierwszych wzrasta w powierzchni z 16,0 proc. w 1919 r. do 25,9 proc. w 1962 r., a w ludności świata z 7,8 proc. do 35,5 procent. Ale wśród krajów pozostałych wydzielono osobno kraje „zależne“. Wśród „socjalistycznych“ — nie ma mowy o zależności. Ale sęk w tym, że wina tego braku nie obciąża GUS, ani jego mocodawców. Przynajmniej nie bezpośrednio. GUS przytacza źródło podziału krajów na zależne i niezależne — **Rocznik Statystyczny Narodów Zjednoczonych**. Źródło nie bez autorytetu. GUS nawet rzetelnie podnosi, że podziału dokonały N.Z. „według kryteriów formalnych“. Mucha nie sładzie.

Józef Poniatowski

LWÓW
1782
WIENIEN

# J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY  
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik	St. Bernhard	Wiśniak

Przedstawiciel

## J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 5808

(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)





# G R Y F I C E

## Z czarnych plam dwudziestolecia P. R. L.

Z początkiem kwietnia br. centralny komitet PZPR, wyznaczając na posła do nowego sejmu ludowego, z okręgu piotrkowskiego, wiceprzewodniczącego prezydium rady narodowej (wiceprezydenta miasta) Łodzi, Jerzego Prymę. Nazwisko jego umieszczono na jednym z pewnych miejsc, toteż w dniu 30 maja towarzysz Pryma, zgodnie z decyzją KC wszedł do sejmu. Młodszym wyborcom nazwisko Prymy było zupełnie nieznane, za to starsi pamiętają, że przez jakiś czas był on pierwszym sekretarzem egzekutywy partii w Łodzi. Przyszedł ze Szczecina, gdzie podobno miał coś na sumieniu.

A co miał na sumieniu, o tym pamięta dobrze ludność rolnicza województwa szczecińskiego, szczególnie ludność powiatu gryfickiego. Do maja 1951 r. Pryma był bowiem pierwszym sekretarzem egzekutywy partii na województwo szczecińskie. Gdyby Gomułka nie wyznaczył go teraz, przeszłość Prymy nie byłaby tematem naszego dzisiejszego artykułu.

\* \* \*

Około 80 kilometrów na północny-wschód od Szczecina leżą powiat i miasteczko powiatowe Gryfice. Miasteczko liczyło niedawno około 12.000, powiat około 50.000 mieszkańców.

Gdy w 1945 r. armia niemiecka pod naporem dywizji sowieckich wycofywała się na zachód, miasteczko i powiat wyludniły się. Niemcy odeszli za swoją armią. Na miejscu pozostały domostwa opróżnione z wszystkiego. Co pozostało, zostało zarekwirowane przez armię sowiecką. Powstała tam, podobnie jak na całym zachodnim Pomorzu próżnia, która wymagała zaludnienia.

Tę próżnię zaczęła natychmiast wypełniać ludność polska, repatriowana z Bugu, z ziem, zagrabionych na podstawie układu jałtańskiego przez Sowietów. Po zniszczonych przez wojnę drogach, dniem i nocą, ciągnęły karawany polskich chłopów, ofiar Jałty, kierowane na ziemię północno-zachodnie.

Po przybyciu na miejsce i przydzieleniu mu opustoszałego gospodarstwa, chłop polski z całą rodziną zabrał się do pracy, w przekonaniu, że zgodnie z przyrzeczeniem, ziemia stanowić będzie jego własność i że będzie na niej gospodarował jako indywidualny rolnik. W stosunkowo krótkim czasie zaczęła napływać pomoc amerykańskiej UNRY w postaci inwentarza żywego, ziarna i

sprzętu gospodarskiego. Dzięki tej pomocy i prawie nadludzkiej pracy chłop-repatrianta, egzystencja ludności rolniczej zachodniego Pomorza zdawała się być zapewniona i już po kilku latach, ludność samego miasteczka urosła do 7.000.

### Po trzech latach.

Jednak sytuacja, w jakiej znaleźli się repatrianci miała niedługo ulec gruntownej zmianie. Wprawdzie Hilary Minc, dyktator gospodarczy nowej komunistycznej Polski — dwukrotnie, publicznie, zaprzeczył pogłoskom, jakoby reżim miał zamiar wprowadzić kolchozy, ale sprawa jakoś przeciągała się do końca 1948 r., tj. do czasu tzw. zjazdu zjednoczeniowego, kiedy PPR. połączyła się z PPS w jedną PZPR. Od tego czasu komuniści poczuli się w siłę i od tego właśnie czasu datuje się zastosowanie w różnych dziedzinach gospodarki narodowej wzorów sowieckich.

Pierwszą dziedziną, którą miała odczuć zmiana było rolnictwo. Pod koniec 1948 r. centralny komitet partii wydał cztery statuty o rolniczych spółdzielniach produkcyjnych, jak nazwano w Polsce kolchozy. Jednocześnie ten sam Minc nagle oświadczył, że przyszłość polskiego rolnictwa leży wyłącznie w gospodarce zespolowej. Statuty wydane przez KC nie posiadały mocy prawnej, bowiem nigdy nie zostały ogłoszone w Monitorze Polskim.

W tym samym czasie Roman Zambrowski, uważany za eksperta od robienia wyborów i kolektywizacji, rozpoczął organizować pierwsze kolchozy. Podległym jednostkom administracji lokalnej i sekretarzom partii, Zambrowski wydał instrukcje, które zawierały nie tylko powiaty ale i ilość kolchozów, która miała w nich powstać w oznaczonym czasie. Ostrze tej instrukcji skierowane było przede wszystkim przeciw tzw. kulakom czyli „bogaczom wiejskim“, bo z ich właśnie strony spodziewano się opozycji przeciw kolchozom. Organizatorzy niższych instancji otrzymali nawet wskazówki jak przemawiać do chłopów. Najczęstszym było ultimatum: „Wybieraj! Kolchoz albo komornika!“

W dniu 7 stycznia 1951 r. „Trybuna Ludu“ przyniosła sprawozdanie Zambrowskiego, w którym przedstawił wyniki organizacji kolchozów. Z począt-

kiem 1949 było ich 40, z końcem 1950 już 2.200. Zambrowski przy tym dodał szyderczo, że dokonano tego czego Gomułkowszczyzna nie miała odwagi się podjąć.

### Wypadki w Gryficach.

Organizatorom kolchozów pozostawiono ponadto wolną rękę w stosowaniu i innych środków gdyby rozmowa z chłopem nie dała pożądanego rezultatu. Te środki zastosowano w Gryficach.

W lutym 1951 r., a zatem w czasie ostrej zimy, szajka, złożona z dyrektora skupu na powiat gryficki, kierownika sekcji ekonomicznej egzekutywy PZPR w Szczecinie, sekretarza partii w Gryficach, komendanta UB na powiat gryficki, prezesa związku młodzieży (ZMP) oraz ośmiu urzędników, w tym trzy kobiety, uzbrojona w kije i pałki wtargnęła do 15 gospodarstw chłopskich, których właściciele odmówili przystąpienia do kolchozu. Po wkroczeniu do domu, szajka, już bez dyskusji i w oczach całej rodziny obita chłopca do krwi, jak również każdego kto próbował stanąć w jego obronie. Po pobiciu dom zupełnie splądrowano, a dobytek rozkradzono.

Wiadomość o najeździe huliganów urzędowych rozeszła się lotem błyskawicy po całym województwie szczecińskim. Jednak czynniki partyjne i komenda UB wpłynęły na prokuratora i sprawę dzięki jego pomocy, chwilowo zatuszowano. Jednak kilku ciężko poranionych chłopów udało się do Warszawy, do komitetu centralnego partii i od tej chwili KC trudno było zatuszować barbarzyńskie zajścia. Do Gryfic wydelegowano innego prokuratora, który przeciw sprawcom wygotował oskarżenie.

W wyniku rozprawy zasądzono dyrektora skupu Grossingera na 5 lat, komendanta UB Muszyńskiego i prezesa ZMP Majcherka na 4 lata więzienia. Resztę szajki skazano albo na krótkie kary więzienia albo kary pieniężne. Partia ponadto nakazała zwolnienie ze stanowisk: przewodniczącego prezydium woj. rady narodowej (wojewody) oraz prokuratora.

Za to główny sprawca i organizator barbarzyńskiego najazdu, pierwszy sekretarz szczecińskiej egzekutywy partii, Jerzy Pryma nic nie ucierpiał. „Trybuna Ludu“ z 25 maja 1951 r. wyjaśniła, że Pryma złożył wobec władz

partii szczerą samokrytykę. Przeniesiono go na równorzędne stanowisko pierwszego sekretarza, wpięto do Krakowa, później do Łodzi, a wreszcie do Warszawy. W 1952, tj. w rok po zajęciach, Komitet centralny partii wybrał go do sejmu, zaś na II zjeździe partii wybrano go zastępcą członka komitetu centralnego. Po „polskim październiku“ wprawdzie kolejno te stanowiska utracił, otrzymał jednak zaszczytną nominację na wiceprezydenta miasta Łodzi. A ci, których sąd zasądził na więzienie wyszli na wolność po amnestii w 1952 roku i wszyscy otrzymali stanowiska w innych częściach kraju.

Teraz główny sprawca barbarzyńskich najazdów w Gryficach został przez KC partii ponownie wybrany do sejmu.

### „LUDOWY WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI WZOREM DLA ZACHODU...“

Wydawało się, że barbarzyńskie napady na chłopów-repatriantów i kroki podjęte przeciw sprawcom pod naciskiem opinii publicznej, reżim starać się będzie zdjąć jak najprędzej z programów radia i łamów prasy. Ale stało się wręcz coś przeciwnego. Zasadzenie huliganów niższego rzędu postanowiono przedstawić całemu światu jako dowód, jak wygląda ludowy wymiar sprawiedliwości. A oto lekcja dla sądownictwa na zachodzie:

W dniu 26 maja 1951 r. radio warszawskie nadało streszczenie artykułu z „Życia Warszawy“, w którym stwierdzono, że „fakt, iż partia i rząd wyciągnęły konsekwencje wobec funkcjonariuszy, świadczy o sile partii i władz. Tylko zgniłe rządy burżuazyjne ukrywają nadużycia, tak często zdarzające się w państwach kapitalistycznych.“

A w drugiej audycji, nadanej w języku serbo-chorwackim dla Jugosławii i w języku polskim dla słuchaczy w Ameryce, komentatorzy radia przypomniał:

„Ile to radiosłuchaczy doznało już niesprawiedliwości ze strony systemu kapitalistycznego. Musieli oni bowiem słyszeć o nadużyciach popełnianych w Stanach Zjednoczonych Ameryki przez najwyższe czynniki państwowe, przez prezydenta Trumana i innych. Ale takie sprawy tam się szybko odkłada na bok i szybko się o nich zapomina, a sprawcy uchodzą bezkarnie. Takie to jest życie obywateli w krajach wyzyskiwaczy kapitalistycznych.“

„A w Jugosławii“, tłumaczył komentator „sprawy takie jak gryficka zostały potraktowane jako drobny incydent, nie zasługujący w ogóle na publiczną uwagę.“

„Ale w Polsce ludowej jest inaczej. Tu się karze ludzi!“

Hm! Karze i wynagradza. Sprawa Prymy jest klasycznym przykładem tej ludowej sprawiedliwości. Ale poco sięgać w przeszłość. Ostatnia afera mięsna dostarczyła raz jeszcze dowody. Sprawcę, który nagromadził najwięcej pieniędzy powieszono, innych skazano na długoletnie więzienie, za to odpowiedzialny za całość gospodarki miejskiej, pierwszy sekretarz egzekutywy sto-

ecznej Walenty Titkow, uzyskał promocję na wiceministra zdrowia, a zawikłani w nieporządku, jego sekretarze zostali wydaleny z partii, do której oczywiście mogą powrócić po upływie pewnego czasu. Te przykłady ilustrują doskonale dwuramienny wymiar sprawiedliwości, stosowany w krajach demokracji ludowej.

W. Opolski

## FRANCUSKIE STUDIUM O JAŁCIE

Arthur Conte: „Jałta ou le Partage du Monde“. Robert Laffont, 6 Place Saint Sulpice, Paris 6ème.

**P**RACA Artura Conte'a „Jałta — podział świata“ (Jałta ou le partage du Monde), wydana w Paryżu w kwietniu 1964 roku, zasługuje na to, aby znalazła się w Bibliotekach Polskich, jako zbiór faktów, opartych na dokumentach, które zdecydowały o losach Polski w momencie zakończenia działań wojennych ostatniej wojny.

W załączniku podającym zbiór dokumentów przestudiowanych przez autora pracy (osiem stron wymienionych dokumentów) znajdujemy kilka bezpośrednio dotyczących sprawy Polski:

Pamiętniki Generała Andersa, Bliss-Lane'a „J'ai vu la Pologne trahie“, Mikołajczyk — Pamiętniki.

Pierwsza część pracy poświęcona jest opisowi w jakim stanie znajdowały się politycznie i wojskowo: narody i państwa w chwili gdy postanowiono zwołać Konferencję na Krymie.

Rozdział pod tytułem: „Dzień Generała Andersa“ (La Journée du Général Anders) jest poświęcony sprawie Polski. Stara się on obiektywnie i dokładnie przedstawić stan sprawy polskiej, na terenie międzynarodowym w momencie zwołania Konferencji.

Trzecia część pracy poświęcona jest sprawozdaniem przebiegu obrad w Jałcie, które trwały od 4-go lutego do dnia 11-go lutego 1945 roku, jest ona niejako dziennikiem starającym się ująć sens prac oraz rezultat codziennych osiągnięć Konferencji.

Sprawę Polski poruszono po raz pierwszy w trzecim dniu Konferencji i rozpatrywano ją już codziennie od zakończenia Konferencji, odkładając z dnia na dzień definitywne jej załatwienie. Jak wynika ze sprawozdań, była ona jedyną której załatwienie zarysowało się od początku: w nieustępliwości Stalina, chwiejnym i niezdecydowanym stanowisku chorego Roosevelta, ulegającemu swemu doradcy Hopkinsowi, którego sympatie pro-sowieckie zarysowały się od pierwszego dnia, wreszcie

w impulsywności Churchilla, który brońąc sprawę polskiej, miał zawsze na uwadze interesy Anglii, w końcu uległ przy pobieraniu ostatecznych decyzji.

Niezmiernie interesującym jest przestudiowanie tych pięciu Konferencji, w czasie których Stalin oraz delegacja sowiecka, z całą świadomością umiejętnie przeprowadzała swój z góry ustalony plan zaanektowania Ziemi Wschodnich i uznania Komitetu Lubelskiego, jako prowizorycznego Rządu oswoobodzonej przez wojska sowieckie Polski.

Tekst ostateczny dotyczący Konferencji i jej rezultatów, podpisany w dniu 11-go lutego 1945 został ujęty w dwóch dokumentach:

1) W komunikacie z dnia 11-go lutego 1945 i noszącym podpisy Stalina, Roosevelta i Churchilla.

2) W Protokóle z Konferencji z dnia 11-go lutego 1945 podpisanym przez trzech ministrów spraw zagranicznych: Mołotowa, Stettinius'a i Eden'a noszącym nazwę „Układy Jałtańskie“ (Les Accords de Jałta).

Obydwa teksty są identyczne w treści. Odsyłając czytelnika do przestudiowania tych tekstów, które są ukoronowaniem polityki sowieckiej w stosunku do Polski, podkreślam dwa zasadnicze historyczne fakty, które przesądziły ostatecznie o obecnej okupacji Polski.

Sprawa reorganizacji istniejącego w tym momencie Komitetu Lubelskiego, przez uzupełnienie go: przedstawicielami „poważnymi“ Polaków w Polsce, oraz również mieszkającymi poza granicami Polski i polecenie tej reorganizacji trzem osobom: Mołotowowi, Harimanowi i A. Clark-Kerr, ambasadorom Stanów Zjednoczonych i Anglii w Moskwie — przesądzała ostatecznie sprawę na niekorzyść Polski.

Tak zorganizowany nowy rząd polski — pod nazwą: Prowizoryczny Rząd Jedności Narodowej miał zająć się zorganizowaniem „wolnych i tajnych wyborów“. Sprawa granic zachodnich ujęta dość niewyraźnie została odesłana do opinii nowego rządu polskiego oraz do decyzji ostatecznej przyszłej Konferencji Pokojowej. Bohdan Samborski



# O pamięć i sprawiedliwość

S.D.I.C

Z sowieckiej odpowiedzialności za Katyń wszyscy dziś zdają sobie sprawę i jedynie polityka koegzystencji przeszkadza to ujawnić i postawić przed sądem morderców, co niemniej pozostaje nadal naszym, polskim celem.

W 25-tą rocznicę zbrodni, w czasie obchodu o którym pisaliśmy w numerze majowym dr Stahl wygłosił prelekcję, której tekst drukujemy dzisiaj. Stwierdził on na wstępie, że jako „byli więźniowie sowieccy, później żołnierze armii, która pod dowództwem gen. W. Andersa wyszła z Rosji na Środkowy Wschód i przekształciła się w 2-gi korpus — czuliśmy się zawsze szczególnie blisko związani z ofiarami Katynia. Byli to nasi dawni i niedoszli towarzysze broni, byli to współwięźniowie w sowieckiej niewoli, którzy nie doczekali się wolności.

Kiedy zastanawiałem się, jak ująć to, o co w tych obchodach przede wszystkim chodzi, doszedłem do przekonania, że najlepiej oddadzą tę treść dwa słowa: pamięć i sprawiedliwość. Pamięć osobista należy się zmarłym od rodziny i przyjaciół, pamięć także narodowa tym, którzy padli w służbie dla ojczyzny, a sprawiedliwość, sąd i kara należą się zbrodniarzom, jeśli śmierć zadano ręką morderczą.

Powszechnie to uznane ludzkie zasady i obowiązki, a przecież ofiarom Katynia zostały odmówione. Pamięć o nich nie jest święcona w Polsce, w ich kraju rodzinnym, a sprawiedliwość ich oprawcom dotychczas nie została wymierzona. I chociaż wciąż słyszemy o karaniu zbrodniarzy wojennych, chociaż szczególnie ostatnio słusznie znaczna część światowej opinii domaga się najdalszego przedłużenia okresu odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie, żądanie sądu dla zbrodniarzy katyńskich, do głosu — naprawdę — jakby wołających na puszczy. Wniosek o skierowanie sprawy poprzez Organizację Narodów Zjednoczonych do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, postawiony w roku 1952 przez Amerykańską Komisję Kongresową, leży zapomniany w biurze kongresowym, rządu i wszelkie humanitarne organizacje światowe milczą i wyjątkowo tylko podnosi się jakiś głos o Katyniu, pozostający bez echa i bez skutku.

## TRAGICZNY PARADOKS

Szczególnym i tragicznym paradoksem jest, że pamięć o kilkunastu tysiącach Polaków wymordowanych w Sowieciech nie jest święcona właśnie w Polsce. Od roku 1950 wszędzie niemal,

gdzie są nasi rodacy rozsiadani w krajach wolnych na uchodźstwie, urządzane są nabożeństwa za dusze ofiar Katynia i obchody ku ich pamięci. Wszędzie, tylko nie w samej Polsce.

Dla nas, przekonanych, że Katyń był zbrodnią sowiecką, to przemilczenie go przez dzisiejsze władze komunistyczne uzależnione od Moskwy wydaje się zrozumiałe. Ale przemilczanie to ma swoją dodatkową wymowę, którą się na ogół pomija i którą chciałbym się dziś zająć.

Przecież to, że bolszewicy wymordowali polskich jeńców Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska w roku 1940 to jest teza nasza i częściowo zachodnia. Teza komunistyczna natomiast, a więc Moskwy a za nią komunistycznego reżymu Warszawy, mówi o sowieckiej niewinności i o tym, że Katyń zalicza się do zbrodni hitlerowskich.

Otóż biorąc ten komunistyczny punkt widzenia pod uwagę, punkt widzenia, że Katyń jest jeszcze jedną zbrodnią hitlerowską, przemilczania go nie możemy sobie tak prosto wytłumaczyć. Dlaczego nie czcić jego ofiar, jak Oświęcimia, Palmir czy Majdanka, Dachau i Mathausen czy tylu innych niemieckich obozów śmierci? Dlaczego nie urządzać nabożeństw publicznych i pielgrzymek na miejsca stracenia, dlaczego nie stawiać pomników, tablic pamiątkowych, nie urządzać corocznych obchodów? Dlaczego ta jedna zbrodnia, uważana także za hitlerowską, ma być przemilczana i jedynie w oficjalnych, wyjątkowo składanych oświadczeniach publicznych, wspomniana?

## DLACZEGO MILCZENIE?

Odpowiedź jest bardzo prosta: przywódcy komunistyczni doskonale wiedzą, że Katyń jest zbrodnią ich własną — sowiecką. Wiedzą to i zdają sobie sprawę z kłamliwości własnej tezy, która znów paradoksalnie — jedynie chyba gdzieś na Zachodzie znajduje wiary. Komuniści natomiast możliwie unikają wdawania się w jej rozważanie, aby kłamliwości jej i fałszu nie podkreślać. Coroczne obchody bowiem, wyjazdy na miejsce zbrodni, to wszystko wymaga niebezpiecznego dla kłamstwa wdawania się w szczegóły.

Pierwszy szkopał, to sprawa daty. Stosując tezę sowiecką, trzeba by obchody urządzać w rocznicę jesieni 1941, a tymczasem wszystkie rodziny wymordowanych w Polsce wiedzą, że bliscy ich zamilkli, przestali pisać listy, na wiosnę roku 1940. Po wtóre, jeszcze dodatkowy kłopot inny z miesiącami,

w ciągu których likwidowano jeńców. Z okazji obchodów, więc referatów i przemówień, artykułów, ktoś zabrawszy się do ustalania tej kwestii musiał by stwierdzić, że w samym komunikacie sowieckim miesiące są podane sprzecznie — raz sierpień i wrzesień, a dalej wrzesień — grudzień. Doszło do tego, kiedy okazało się, że korespondenci zachodni zauważyli ciepłą odzież na zwłokach, której w miesiącach letnich, podytkowanych świadkom sowieckim, jeńcy by nie nosili. Zmieniono więc dodatkowo w orzeczeniu terminy na późniejsze, ale zapomniano już zmienić zeznania t. zw. świadków.

Wreszcie sprawa ilości zwłok w mogiłach pod Smoleńskiem: Sowiety podjęły fałszywą w tym wypadku, a wygodną dla nich tezę niemiecką o kilkunastu tysiącach, podczas gdy w samym Katyniu stracono tylko jeńców z Kozielska w liczbie powyżej czterech tysięcy. Ciekawi więc polscy uczestnicy pielgrzymek mogli by zapytać, gdzie leży pozostałych około 10 tysięcy zwłok i wyłoniła by się jeszcze jedna, arcydrażliwa dla Rosji kwestia, gdzie leżą jeńcy Ostaszkowa i Starobielska.

Powstało by jeszcze wiele innych problemów, co wszystko uniemożliwia komunistom urządzenie rocznic i obchodów, dających okazję do bliższego rozpatrywania sprawy Katynia. Pozostaje więc możliwe przemilczanie zbrodni katyńskiej i jej ofiar, próba pogrążenia jej w niepamięć i zapomnieniu. Próby te i całe to przemilczanie ma natomiast tę oczywistą wymowę, że jest pośrednim przyznaniem sowieckiej winy. Gdyby przywódcy komunistyczni nie byli tego świadomi, nie mieliby żadnego powodu zacierać w pamięci polskiej i ludzkiej Katynia, jako rzekomo jeszcze jednej zbrodni hitlerowskiej. Mogli by pozwolić swobodnie pisać o niej, mogli by stawiać mauzolea i pomniki, dopuszczać polskie pielgrzymki pod Smoleńsk. Ale tego nie czynią.

## O SĄD I KARĘ

Rozważając sprawę stosunku komunistów do Katynia, chciałbym omówić krótko jedną sugestię, wysuwaną od kilku lat ze strony niektórych kół zachodnich i podjętą przez niektórych Polaków. Jest to sugestia wysuwania pod adresem Moskwy i komunistów wezwania, aby przyznali się publicznie do zbrodni katyńskiej. Ze swojej strony uważam taki postulat za błędnie postawiony.

Pod względem prawnym przyznanie się nie jest aktem rozstrzygającym o

winie, tylko wtórnym i jeśli nie jest dokonane przed sądem, nie prowadzi do żadnych konsekwencji. Zbrodniarzy stawia się przed sądem, a nie prosi się ich o przyznanie się. Nie słyszałem, aby ktoś wysuwał postulat przyznania się zamiast stawiania przed sądem i karnia — w stosunku do zbrodniarzy hitlerowskich. Skąd więc wypłynęła taka formułka moralistyczna czy moralizatorska, zupełnie niestosowna wobec jakichkolwiek zbrodniarzy? Co tkwi na jej dnie, a czego — jak sądzę — polscy jej wyznawcy nie biorą pod uwagę? Moim zdaniem zrozumieć ją można tylko na tle znanej polityki koegzystowania z Sowietami i normalizowania z nimi stosunków, zbliżenia Zachodu do Rosji. Po śmierci Stalina prowadzi się ją w świecie wolnym pod hasłem „destalinizacji“ czyli zwalania wszystkich zbrodni sowieckich na Stalina osobście i oczyszczania w ten sposób dla „pokojuwej koegzystencji“ z Zachodem — Rosji postalinowskiej.

Otóż takie obecne „przyznanie się do Katynia“ przez Moskwę czy reżym warszawski, mało zresztą prawdopodobne, ponieważ następcy potępił Stalina jedynie za zbrodnie popełnione na innych członkach partii — takie przyznanie się miałyby być właśnie obarczenie mordem katyńskim zmarłego Stalina, czy straconego Berii, a przez to uniewinieniem żyjących i współodpowiedzialnych przywódców Kremla oraz bezpośrednich sprawców mordu, wreszcie całego ludobójczego systemu sowieckiego. Byłoby zamknięciem sprawy bez sądu i kary. Przenosząc tę zasadę na hitlerizm, mogłoby to oznaczać, że po śmierci Hitlera i straceniu głównych zbrodniarzy wojennych niemieckich w Norymberdze, po zamknięciu innych w Szpandawie, należałoby dalsze sądownictwo hitlerowców zarzucić, a wzywać ich tylko do przyznania się. Tej zasady jednak nikt w świecie zachodnim nie wysuwa i słusznie w dalszym ciągu sądzi się zbrodniarzy wojennych.

Z tych przyczyn uważam, że nasza polska zasada domagania się — prócz pamięci o ofiarach — sprawiedliwości, czyli sądu i kary na zbrodniarzy katyńskich, jest jedynie słuszna i jej powinniśmy się trzymać w dalszym ciągu, jakiegokolwiek są szanse jej bliskiej realizacji.

Bilans naszych wysiłków, naszej polskiej pracy uchodźczej, w mię pamięci o ofiarach Katynia i sprawiedliwości dla winowajców, posiada swoje dodatnie pozycje, ale z pewnością mógłby być lepszy. Mógłby zwłaszcza, gdyby więcej osób, liczniejsze grona objawiały zainteresowanie sprawą; gdyby lepiej czy szerzej rozumiano, że w odniesieniu do Katynia, bardziej niż w

wielu innych sprawach, musimy zastępować kraj najmocniej tu skrepowany.

Jakżeż skromnie wygląda wobec tego nasza dzisiejsza choćby uroczystość w 25-tą rocznicę, zwykle na większą skalę urządzaną! Obojętność szerszych kół emigracyjnych nieraz przykro się objawia. Zdarza się nam stwierdzić, że nawet rodziny ofiar Katynia mało się pamięcią o nich interesują. Nie znają czasem książki „Zbrodnia Katyńska“, (która niedługo ukaże się w Londynie po angielsku nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej), ani spisu ofiar trzech obozów, wydanego w Londynie. Spotyka się też rodaków, którym rzekomo zbyt delikatność uczuć nie pozwala czytać i słuchać o Katyniu, ani choćby raz zobaczyć, film o nim. Myślę, że to raczej egoizm niż delikatność dochodzą w tych wypadkach do głosu. Egoizmowi temu i obojętności na sprawy narodowe sprzyjają też nastroje „koegzystencji z Sowietami“, otaczające nas na Zachodzie, popiera je w tym zakresie propaganda, a może czasem infiltracja komunistyczna. Płyniemy my, którzy tu w tej chwili jesteśmy, płyniemy przeciw zmęczeniu i obojętności swoich i przeciw silnemu teraz w świecie prądowi.

#### O POMNIKI OFIAR KATYNIA

Dwudziestą piątą rocznicę, myślę, powinniśmy uświęcić apelem, którym chciałbym zakończyć. Myśl ta była już wysuwana z kilku stron i wydaje się, że pora z nią szerzej wystąpić: o utrwalenie pamięci ofiar Katynia i innych sowieckich obozów śmierci z wiosny roku 1940 pomnikami, czy choćby tablicami pamiątkowymi — póki w kraju to niemożliwe — gdziekolwiek Polacy mogli tego dokonać. Byłby to hołd, na który z pewnością stać materialnie uchodźstwo w krajach wolnych i z pewnością projekty te będą mogły być urzeczywistnione. Dotychczas była tylko Matka Boska Kozielska, teraz w polskim kościele londyńskim Andrzeja Boboli, jest przed rokiem ufundowana, obok oświęcimskiej, urna w kościele polskim w Manchester.

Myślę, wszyscy zgodzimy się, że dwa tylko artystyczne symbole materialnej pamięci o ofiarach Katynia, to mało. Że straceni tam pod Smoleńskiem i w innych niewykrytych miejscach rodacy nasi, niezłomni żołnierze polscy, warci są liczniejszych dowodów pamięci i powszechnego odczucia ich ofiary. Póki suwerenny rząd polski i niepodległa Polska nie uczci pamięci Katynia, obok tych symboli męczeństwa narodowego ubiegłej wojny, które są teraz w kraju czczone, utrwalajmy tę pamięć na obcych ziemiach. Pomniki te będą mogły kiedyś powrócić do Polski, wzbogacić

jej skarbnicę narodowych pamiątek, a tymczasem niech znaczą etapy naszego uchodźstwa. Niech choć by spoza kraju rodzinnego utrwalają i przekazują dalszym pokoleniom krwawy, katyński fragment narodowej martyrologii.“

★

Z kolei Feliks Konarski recytował swój, napisany z okazji 25-lecia Katynia piękny wiersz okolicznościowy, po czym wyświetlono film dokumentarny z polskim komentarzem Stowarzyszenia B. Sowietkich Więźniów Politycznych.

Jak dowiadujemy się, powyższy apel o pomniki dla ofiar Katynia znalazł już przychylnie echo w polskiej opinii. Na łamach prasy codziennej zaczęto ogłaszać listy, popierające inicjatywę, a do Polskiego Stowarzyszenia B. Sowietkich Więźniów Politycznych w Londynie wpływają już hojne ofiary na ten cel.

Rodzaj pomników zależeć musi od materialnych warunków i sumy zebranych ofiar w środowiskach, które przystąpią do urzeczywistnienia inicjatywy. Mogą to być, według niektórych, odpowiednie rzeźby na cmentarzach polskich żołnierzy, poległych w ostatniej wojnie, albo pamiątkowe tablice czy urny — jak w polskim kościele w Manchester. Członkowie Stowarzyszenia B. Sowietkich Więźniów w Leicester zamierzają ufundować w nowym kościele polskim tego miasta tablicę pamiątkową.

Jeśli chodzi o Londyn, to — jak się dowiadujemy — przewidywany jest komitet, złożony z przedstawicieli Stowarzyszenia B. Sowietkich Więźniów oraz głównych organizacji kombatanckich, który zajmie się realizacją projektu. Komitet ten, z jednej strony zwrócił by się do wszystkich środowisk emigracyjnych o akcję na ich własnych terenach, a z drugiej — pokierował by pracą nad urzeczywistnieniem projektu w samym Londynie.

(a.)

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI:

#### WOJNA I SEZON

Stron 308. Cena 22/6.

Nowy tom „Biblioteki Kultury“ jest dalszym ciągiem „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego“. Autor opisując losy bohatera do 18 września 1939 r. wykazuje jak lata pierwszej wojny i rewolucji rosyjskiej przechodzą w „sezon“, czyli „pierdyszkę“ między dwiema wojnami. Do nabycia w księgarniach polskich.

„GRYF“ — 171 Battersea Church Road, LONDON, S. W. 11.



# Ustawa o sądach społecznych w Polsce

**W** DNIU 30 marca br. uchwalono w Polsce ustawę o sądach społecznych. Pod tą jednolitą nazwą ustawa rozróżnia dwie instytucje: sądy społeczne w zakładach pracy i społeczne komisje pojednawcze w miastach, osiedlach i na wsi.

Idea sądów społecznych nie zrodziła się w Polsce. Kolebką ich była Rosja Sowiecka, skąd zostały one następnie przeniesione i do innych państw bloku komunistycznego. Zorientowanie się w ich działalności ułatwi ocenę uchwalonej w Polsce ustawy.

W Rosji Sowieckiej już w 1919 r. Lenin podpisał dekret o robotniczych dyscyplinarnych sądach koleżeńskich. Celem ich było wzmacnianie dyscypliny pracy przez stosowanie sankcji karnych: nagany, przenoszenia do pracy niżej płatnej, lub przymusowego kierowania do pracy cięższej.

W drodze szeregu kolejnych zmian ustawodawczych rozszerzono znacznie zakres ich działania, kompetencje rzeczowe i katalog kar. Zwane od 1929 r. sądami koleżeńskimi (towariszczeskije sudy) działają one obecnie w zakładach produkcyjnych, w urzędach, instytucjach, w wyższych i średnich zakładach naukowych, w kolchozach, przy komitetach blokowych, we wsiach i w osiedlach. W artykule „Prawdy“ z listopada 1963 r. podano, liczbę 197 tysięcy sądów koleżeńskich na terenie Związku Radzieckiego.

Sądy te obejmują bardzo szeroki zakres spraw: dyscypliny pracy, kradzieży, wykorzystania mienia państwowego, spraw o chuligaństwo, pijaństwo, pobicie, nawet o obrazę i obmowę, a także o paserstwo, pędzenie napojów alkoholowych, nieokazanie pomocy choremu, bezprawne leczenie itd., itd., z tym ograniczeniem jednak, że są to sprawy drobne, nieprzedstawiające dużego niebezpieczeństwa społecznego. Należą też do nich spory, wynikające z rozdziału majątku małżonków lub zagrody kolchozowej.

Jak widać z tego wyczenia sądy te sięgają głęboko w życie codzienne obywateli i łatwo mogą być wykorzystywane dla celów porachunków

osobistych, szantażu, denuncjacji, jak też i kontroli politycznej (np. oskarżenia o kontakty z cudzoziemcami).

Szeroki jest też zakres sankcji karnych, zwanych „środkami oddziaływania wychowawczego“. Są to — oprócz przeproszenia, ostrzeżenia, nagany — kary grzywny, jak również wnioski do kierownictwa zakładu o czasowe przeniesienie do pracy niżej płatnej, lub niewykwalifikowanej (czytaj cięższej). Wspomniany artykuł „Prawdy“ podkreśla, że rozszerzenie uprawnień sądów koleżeńskich sprzyja wypełnieniu wielkiego i złożonego zadania „przewyciężenia przeżytków przeszłości“, wychowania obywateli w socjalistycznych zasadach współżycia społecznego, a przenoszenie do pracy niewykwalifikowanej (cięższej) „stwarza możliwości reedukacji naruszycieli prawa“. Tego typu „reedukacja“ trwa już w Rosji Sowieckiej ponad lat 40.

Za przykładem sowieckim podobne zasady sądownictwa społecznego zaczęto stopniowo wprowadzać i w innych państwach bloku, w których odnośne ustawy obowiązują przeważnie od 1961-1962 r. (w Rumunii od 1958).

Nie ominęły one i Polski. Pierwszej próby dokonano już w 1946 r.: ukazał się dekret z 22 lutego o sądach obywatelskich, które miały powstać we wszystkich gminach miejskich i wiejskich. Nie łatwo było jednak w tym wczesnym okresie narzucić społeczeństwu tego typu sądownictwa, nie odpowiadającego ani tradycjom ani psychice polskiej. Mimo że dekret nie został formalnie odwołany, nie próbowano go realizować i sądy te zmarły śmiercią naturalną.

Drugą próbę podjęto w końcu tzw. „okresu kultu jednostki“. Tym razem, wbrew wszelkim zasadom praworządności, podstawą prawną była nie ustawa, a uchwała Centralnej Rady Związków Zawodowych (CRZZ), zatwierdzona uchwałą Prezydium Rządu, a więc ciała, nieprzewidzianego w konstytucji. W myśl tej uchwały miały być powołane z dniem 1 stycznia 1956 r. sądy koleżeńskie we wszystkich zakładach pracy, zatrudniających ponad 100 pracowników i zająć

się głównie sprawami dyscypliny pracy.

Była to jednak próba spóźniona; przyszedł „październik“, chwilowe niezależnienie się związków zawodowych od dyrektyw partii i nowo wybrane władze związkowe na IX Plenum CRZZ w listopadzie 1956 r. podjęły decyzję: „Plenum postanawia uchylić uchwałę CRZZ o powołaniu i działaniu sądów koleżeńskich“.

Przez jakiś czas wydawało się, że po tych dwóch nieudanych próbach zaniecha się narzucania Polsce sowieckiego typu sądów społecznych, jak zaniechano kolektywizacji rolnictwa, licząc się z oporem mas włościańskich. Stało się jednak inaczej. W kilka lat później inicjatywę tworzenia tych sądów podjęła bezpośrednio partia, działając jednak tym razem bardziej ostrożnie. Nie wydano z góry ustawy, ani obowiązującej uchwały, pozostawiono sprawę decyzji lokalnej.

Początek dał Wrocław, gdzie z inicjatywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, uchwalono w końcu 1960 r. powołanie sądów, zwanych teraz sądami robotniczymi, w 18 dużych zakładach pracy na terenie województwa. Powoli zaczęto je organizować i w innych województwach tak że w końcu 1963 r. liczba ich w całej Polsce wynosiła 44. Opierając się na lokalnie uchwalonych regulaminach, zajmowały się one początkowo głównie sprawami drobnych kradzieży, obejmując następnie i sprawy z zakresu dyscypliny pracy, wyjątkowo kradzieży mienia prywatnego, czy zaniedbania obowiązków rodzinnych.

W tym pierwszym okresie podkreślano nieraz, że sądy robotnicze działają tytułem próby, wyłącznie w dużych zakładach pracy, a dalszy ich rozwój jest uzależniony od ich akceptacji przez środowisko pracownicze. Dla zorientowania się w ich działalności i zbadania stopnia tej akceptacji przeprowadzono badania ankietowe: w 1961 r. w 6 zakładach, gdzie istniały sądy, w 1963 r. w 44, z których jednak odpowiedzi otrzymano tylko od połowy, a wypełnienie formularzy było nieraz niedokładne i nasuwało wiele wątpliwości. Nic

dziwnego więc, że autorzy ankiet wy- prowadzali z nich wnioski ostrożnie, mówiąc wprawdzie, na podstawie ankiety pierwszej, że stopień akceptacji wydaje się być poważnym, że jednak dopiero po dłuższym okresie będzie można ustalić, czy są one akceptowane w szerokim zakresie i czy spełnią pokładane w nich nadzieje. Ta ostatnia wątpliwość ukazała się w prasie nie dawniej, jak w lutym br., a więc bezpośrednio przed uchwaleniem ustawy.<sup>1)</sup>

Zarówno jednak z ankiet tych, jak i z innych głosów w prasie wynika szereg faktów i ocen krytycznych. W jednych zakładach pracy stwierdza się już wkrótce zanik zainteresowania rozprawami wśród załóg (rozprawy przeprowadza się przy udziale pracowników, co ma mieć znaczenie wychowawcze), w innych, że sądy te nie przejawiają w ogóle działalności, lub też że efekty ich są znikome (choć były i pozytywne odpowiedzi), nie wpłynęły one bowiem ani na zmniejszenie się liczby kradzieży, ani na poprawę współżycia społecznego. Podawano też opinie, że duża część załogi wypowiada się przeciw sądom, ponieważ godzą one w interes robotnika.<sup>2)</sup>

Obok sądów społecznych w zakładach pracy powstają w 1962 r. społeczne komisje pojednawcze. Inicjatywa wyszła z Łodzi na tle bardzo ciężkich warunków mieszkaniowych, które doprowadzają do nieustannych konfliktów. Aby im zapobiec zaczęły działać przy niektórych komitetach blokowych grupy ludzi, które podjęły się jednania zwaśnionych, a nie rzadko i usuwania źródeł zatargów.

Inicjatywę tę podchwycił natychmiast komitet łódzki partii i roztoczył patronat nad tym ruchem. Wkrótce uchwalono regulamin nowej instytucji, nadając jej nazwę społecznych komisji pojednawczych. Uwzględniając jednak dotychczasowe doświadczenie ustalono, że działają one wyłącznie na podstawie dobrowolnego poddania się ich czynnościom i że celem ich jest godzenie w drodze perswazji, a nie sądzenie i stosowanie represji w jakiegokolwiek formie.

Inicjatywę łódzką przeniosła wkrótce partia i do innych miast, próbo-

wała też organizować te komisje w osiedlach i na wsi, a więc w zupełnie odmiennych warunkach. Już z terenu Łodzi notowano w prasie po jakimś czasie o pewnych błędach w działalności niektórych komisji o ich zurzędniczeniu, a jeśli chodzi o inne tereny, stosunek ich do sądów społecznych naświetla ankieta, przeprowadzona w grudniu 1964 r. w województwie warszawskim.<sup>3)</sup> Objęła ona 197 wybranych prezydiów rad narodowych: gromadzkich, miejskich i osiedlowych, z których przeważająca większość bądź nie odpowiedziała wcale (91), bądź też poinformowała krótko, że sądów społecznych u nich nie ma (21), wiele natomiast pozostałych uważało, że są one celowe tylko w dużych zakładach pracy, a więc nie na ich terenie, a były i uwagi, że w środowisku wiejskim nie ma zrozumienia dla tej instytucji.

Partia nie dała jednak za wygraną, ba, pojawiają się już w prasie artykuły gorliwych jej członków, że konieczne jest upowszechnienie sądownictwa społecznego i objęcie nim nawet wyższych zakładów naukowych.<sup>4)</sup>

Jasnym jednak było, że upowszechnienia nie da się przeprowadzić bez dyrektyw i nacisków z góry, a do tego potrzebna była ustawa.

Ustawa nie wprowadza wprawdzie obowiązku tworzenia sądów społecznych, które mają powstawać z inicjatywy środowiska, ale źródłem tej inicjatywy mają być organizacje społeczno-polityczne: w zakładach pracy związki zawodowe,<sup>5)</sup> w miastach, osiedlach i na wsi — komitety Frontu Jedności Narodu. Organizacje te mają nie tylko udzielać pomocy sądom, ale i ustalać wytyczne ich działalności oraz uchwalać dla nich wzorcowe regulaminy.

Rejestr spraw, podlegających sądom społecznym nie jest tak szczegółowy, jak w przepisach sowieckich, ogólnikowe natomiast sformułowanie niektórych punktów może powodować szeroką ich interpretację.

<sup>3)</sup> „Prawo i Życie“, nr 7/65.

<sup>4)</sup> „Praca i Zabezpieczenie Społeczne“, nr 1/64.

<sup>5)</sup> Naświetleniem charakteru tej oddolnej inicjatywy środowiska może służyć uchwała Zarządu Głównego Związku Zaw. Prac. Handlu i Spółdzielczości, która zobowiązuje wszystkie zarządy okręgowe, aby do dnia 30 czerwca br. powołały sądy społeczne we wszystkich placówkach, zatrudniających co najmniej 100 pracowników. — „Głos Pracy“ z 15. marca 1965.

Są to sprawy: o naruszenie zasad współżycia społecznego,<sup>6)</sup> o lekceważenie obowiązków obywatelskich(?), rodzinnych, pracowniczych, o zakłócanie spokoju i porządku w miejscu pracy lub miejscu zamieszkania. Dalej sprawy o naruszenie mienia społecznego i zasad jego ochrony (czy są to kradzieże, niszczenie, niedbalstwo, marnotrawstwo?), o naruszanie mienia obywateli, niedozwolone korzystanie przez pracowników dla celów osobistych ze środków, należących do uspołecznionego zakładu pracy jak też i spory na tle wspólnego zamieszkania i na tle stosunków na wsi.(?).

Sankcje przewidziane w ustawie nazywają się, tak jak i w przepisach sowieckich „środkami wychowawczymi“. Należą do nich — obok przeproszenia, upomnienia, nagany, nie tylko zobowiązanie do naprawienia szkody, ale i kara grzywny do wysokości 300 zł., lub też do 10 proc. miesięcznego, a nawet dwumiesięcznego zarobku. Kara grzywny nie była przewidziana w dotychczasowych regulaminach sądów robotniczych, co, jak pisano, odróżniało je korzystnie od analogicznych sądów w innych krajach obozu. Wprawdzie wyraz „grzywna“ nie jest użyty w ustawie, a pieniądze mają iść na cel społeczny wskazany przez sąd, dla oskarżonego jednak nie jest ważna nazwa, ale konieczność zapłacenia wyznaczonej sumy.

Ponadto jeszcze ustawa przewiduje, że sąd społeczny w zakładzie pracy może wystąpić do kierownika o zastosowanie środków, ustalonych w regulaminie pracy, a więc o wstrzymanie premii, przeniesienie na niższe lub mniej płatne stanowisko, lub też dyscyplinarne zwolnienie.

Sankcje przewidziane w ustawie stosują się i do społecznych komisji pojednawczych, które dotychczas ani nie sądziły, ani nie karały. Toteż kiedy w prasie ukazał się projekt ustawy, powstała wielka burza na terenie Łodzi; domagano się stanowczo wyłączenia komisji z systemu sądownictwa społecznego, ale, jak widać, bez żadnego skutku.

Trzeba też wziąć pod uwagę, że od orzeczeń sądów społecznych nie ma

<sup>6)</sup> Warto zanotować, że w projekcie ustawy była mowa o naruszaniu zasad „socjalistycznego“ współżycia społecznego. Wyraz ten został wstydliwie opuszczony.

<sup>1)</sup> Dane z drugiej ankiety ogłoszono w „Państwie i Prawie“, nr 2/65.

<sup>2)</sup> „Nowa Kultura“ z 21. X. 1962.



odwołania.<sup>7)</sup> Tylko prokurator, w drodze nadzoru, może — ze względu na uzasadniony interes społeczny lub naruszenie prawa — skierować sprawę do sądu powszechnego. Nadzór ten, przy upowszechnieniu się sądownictwa społecznego będzie iluzoryczny, szczególnie na terenie wsi czy osiedli, i zresztą nie zastępuje on prawa obywatela do odwołania się do innej instancji sądowej.

I jeszcze jeden ważny moment. Jak niejednokrotnie podkreślano w prasie, sama koncepcja sądownictwa społecznego wyklucza zaoczne ferowanie wyroków. Zasadę tę stosowały dotychczas sądy robotnicze, a komisje pojednawcze w Łodzi ustaliły nawet, że dwukrotne niestawiennictwo jednej ze stron stanowi domniemanie, iż nie wyraża ona zgody na prowadzenie postępowania, lub zgodę wycofała. Ustawa natomiast ustala, że sąd społeczny może wydać orzeczenie także w wypadku, gdy osoba, której sprawa dotyczy, uchyla się, bez uzasadnionych powodów, od udziału w posiedzeniu. Przepis ten zmienia zasadniczo dotychczasową praktykę i zastrzega niezmiernie postępowanie w sądach społecznych. Tak przedstawiają się ważniejsze momenty uchwalonej ustawy.

W miarę organizowania sądów robotniczych w zakładach pracy, pojawiały się nieraz w prasie krajowej wzmianki, że istnieją i zdecydowani ich przeciwnicy. Przytaczano opinie prawników, że wprowadzenie dwu rodzajów sądownictwa godzi w zasadę równości obywateli, że będzie ono powodować szkodliwe różnice w orzeczeniach sądów społecznych i sądów powszechnych w analogicznych sprawach, a brak znajomości przepisów prawa i wyrobienia wśród członków sądów społecznych doprowadzi do wydawania różnych orzeczeń za te same przewinienia, uzależnione nie od różnicy okoliczności, ale od składu sądu, atmosfery w danym zakładzie pracy itp. Krytykowano też brak prawa odwołania się od ich orzeczeń.

Jest jednak i inna, niezmiernie

ważna strona tego zagadnienia. Zakres spraw, poddanych orzecznictwu sądów społecznych i możliwość różnorodnej ich interpretacji, rozpowszechnienie tej instytucji na różne, małe nawet zakłady pracy, na małe miasteczka, osiedla i wieś, może łatwo doprowadzić do wykorzystywania tych sądów zarówno dla porachunków osobistych czy klikowych, jak i dla nacisków politycznych i być powodem wielu krzywd.<sup>8)</sup> Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że nie jest możliwe znalezienie dostatecznej liczby odpowiednich kandydatów na członków tych sądów, ludzi poważnych, wyrobionych, bezstronnych i znających przepisy prawa; przeszkolenie ich nie jest w praktyce możliwe. W badaniach ankietowych stwierdzono też objawy niechęci do pełnienia funkcji sędziowskich.

A jeśli chodzi o bezstronność członków sądów, z góry można przewidzieć, jak będzie się ona przedstawiać. Już ankieta z 1963 r. stwierdziła „upartyjnienie“ sądów robotniczych, podając, że w większości badanych zakładów pracy sędziami byli w przeważającej ilości członkowie partii. Tak było i tak będzie z pewnością nadal w zakładach pracy, gdzie członków sądów wybiera załoga lub jej delegaci — przedtem w tajnym głosowaniu, ale wyraz „tajnym“ został w ustawie opuszczony. A cóż mówić o składzie społecznych komisji pojednawczych, w miastach, osiedlach i na wsi, które wyznaczać będą właściwe komitety Frontu Jedności Narodu.

Próbuje się dziś w kraju udowodnić, że idea sądownictwa społecznego wyrasta z samych podstaw władzy ludu, że sądy te są wyrazem demokracji państwa, a sam fakt przyjęcia ich przez wszystkie państwa obozu „socjalistycznego“ jest potwierdzeniem ich pozytywnej oceny.

Argumenty takie nie przekonają nikogo. Społeczeństwo w Polsce, zdając sobie dobrze sprawę czym mogą grozić sądy społeczne, odrzuciło je już dwukrotnie. Tylko że teraz nie łatwo by to było zrobić.

Janina Miedzińska

<sup>7)</sup> Analogiczna zasada obowiązuje w Związku Radzieckim i innych państwach. Wylamała się z niej jednak Czechosłowacja, dopuszczając odwołanie do sądów powszechnych w każdej sprawie i Węgry, ograniczając je do niektórych spraw, a inne mogą być rozpatrywane ponownie przez sąd społeczny.

<sup>8)</sup> Nawet w dyskusji sejmowej nad ustawą poseł Stomma ze „Znaku“ podkreślił, że „nasuwają się wątpliwości, czy sądy te nie przekształcą się w aparat represji karnej“. — „Trybuna Ludu“ z 31 marca 1965.

STEFAN WÓYCICKI

## MIĘDZYNARODOWY SEZON TEATRALNY

**D**RUGI międzynarodowy sezon teatralny, zorganizowany znowu w Londynie przez Daubeny'ego przy udziale Królewskiego Teatru Szekspirowskiego i „Sunday Telegraph'u“, potwierdził wrażenia zeszłoroczne, podkreślając przodujące obecnie stanowisko teatru brytyjskiego w świecie. Powstanie Teatru Narodowego i wzrastające poparcie finansowe rządu dla Teatru Szekspirowskiego stworzyły nareszcie w Anglii korzystne warunki dla rozwoju teatru artystycznego o ambicjach, sięgających daleko poza chęć zaspokojenia potrzeb rozrywkowych szerokiej publiczności. Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Chociaż niemal wszystkie teatry zagraniczne, oglądane w Londynie w ciągu obu międzynarodowych sezonów, oparte są o subwencje z funduszy publicznych i o zespoły, pracujące razem od wielu lat, porównanie artystycznych osiągnięć wypada zdecydowanie na korzyść dwóch stałych zespołów brytyjskich. Takich przedstawień, jak „Król Lear“ Teatru Szekspirowskiego, czy „Otello“ Teatru Narodowego, czy też niezwykle kolorowe i zabawne „Wiele Hałasu o Nic“, grane obecnie w Teatrze Narodowym, nie oglądaliśmy w wykonaniu przybywszy z zagranicy. Ale wiele pokazowych nam sztuk było doskonale zagrane i ciekawie wyreżyszerowane.

\* \* \*

Drugi międzynarodowy sezon teatralny w Londynie otworzyli znowu „z wieku i z urzędu“ Francuzi, tym razem reprezentowani przez oficjalną konkurencję Komedii Francuskiej, oglądanej w roku ubiegłym, a mianowicie przez Teatr Francuski Barrault. Być może, że dużą rolę odegrał tu nieszczęśliwy — w moim przynajmniej mniemaniu — dobór repertuaru, ale mimo doskonałego poziomu gry aktorskiej i poprawnej reżyserii Teatr Francuski nie pokazał nic naprawdę interesującego teatralnie. „Andromacha“ Racine'a wystawiona zdumiewająco statycznie, nużyła nie-

skończonymi tyradami, wygłaszanymi — poza Genowefą Page w roli tytułowej — raczej monotonna, a zupełnie brak akcji usypiał widza, którego francuszczyzna nie pozwalała mu w pełni rozkoszować się ceremonialnym pięknem języka Racine'a. „Satynowy Pantofelek“ Claudela jest zdecydowanie sztuką dla wielbicieli mniej lub więcej przereklamowanego talentu tego autora, ale poza tym bardzo zamkniętym gronem nie może wywołać oddźwięku. Jedyne przedstawienie „Pięknych Dni“ Becketta obliczone było wyłącznie na nałogowców, zdolnych do entuzjastycznego wysłuchania przez dwie godziny monologu zagrzebanej najpierw po pas, a potem po szyję, aktorki — nawet jeżeli tą aktorką jest tak świetna przedstawicielka teatru francuskiego, jak Madeleine Renaud. Zdecydowanie najciekawszym przedstawieniem Teatru Francuskiego były zestawione razem dwie krótkie sztuki: „Nie Chodź Nago!“ Feydeau i „Powietrzny Piechur“ Ionesco. Farsa Feydeau miała właściwy klimat i tempo, a chociaż symbolika Ionesco w „Powietrzny Piechurze“ jest jeszcze bardziej zawikłana, niż w jego innych sztukach, ale Barrault w roli przechadzającego się w powietrzu Berenguer'a wart był wizyty w Aldwych.

\* \* \*

Teatr Młodych z Włoch nie jest naprawdę teatrem młodych; swoją nazwę otrzymał w r. 1954, kiedy szóstka młodych podówczas aktorów i aktorek założyła teatr, który przetrwał do dnia dzisiejszego. Obecny zespół tego teatru, uchodzącego za najlepszy we Włoszech, składa się z aktorów o normalnej rozpiętości wieku, na czele których stoją Rossella Falk, Romolo Valli i kierownik trupy De Lullo. W Londynie „Młodzi“ pokazali lekką komedię Fabbriego „Kłamca“, dającą wielkie pole do popisu Valliemu i Falk, i „Sześć Postaci Sceniczných w Poszukiwaniu Autora“ Pirandella. Słynna sztuka największego dramaturga włoskiego, wyreżyserowana i zagrana rozwlekłe, z namaszczeniem, zrobiła o wiele mniejsze wrażenie, niż niedawne wystawienie tej samej sztuki przez zespół brytyjski. Trudno powiedzieć, czy o „przegranie“ sztuki Pirandella zdecydowała naturalna włoska skłonność do przesadnego, uzewnętrznia-

nia swych uczuć, czy też pietyzm, dążący do uwypuklenia każdego słowa i gestu w sztuce laureata Nobla, ale efekt końcowy przedstawienia był słabszy, niż oczekiwaliśmy.

\* \* \*

Grecki Teatr Artystyczny złożył w tym roku drugą wizytę Londynowi po zeszłorocznym sukcesie „Ptaków“ Arystofanesa w reżyserii Kouna. „Ptaki“ podobały się nie mniej, niż rok temu; jest to istotnie znakomite przedstawienie popularne (w najlepszym tego słowa znaczeniu), żywe, kolorowe, zajmujące i zrozumiałe dla każdego — słowem, idealne widowisko „eksportowe“. „Persowie“ Ajschylosa są dla cudzoziemca znacznie cięższym orzechem do zgryzienia; ta najstarsza z zachowanych sztuk greckich opiera się, naturalnie, stuprocentowo na słowie, na długich, niczym nieurozmaïconych recytacjach bohaterów i chóru. Reżyser Koun rozwiązał ten problem świetnie, wypełniając pierwszy plan sceny kapitalnie skomponowanym chórem starców, których stylizowane ruchy stanowiły znakomitą ilustrację i podkreślenie statycznych przemówień indywidualnych postaci sztuki. Taka np. scena wywoływania ducha Dariusza, w której starcy wydają się być opętani własnymi wezwaniami i zaklęciami, pozostanie na zawsze w pamięci widza. Naturalnie, tego rodzaju ujęcie nie ma nic wspólnego ze sceniczną interpretacją „Persów“ z czasów Ajs-

chylosa; ale w takich zmianach interpretacyjnych leży właśnie magia żywego teatru.

\* \* \*

Narodowy Teatr Izraela, Habimah, pokazał Londynowi wierną aż do najdrobniejszego szczegółu imitację pierwszego wystawienia melodramatu Ańskiego „Dybbuk“ z r. 1919 w reżyserii znakomitego ucznia Stanisławskiego, Wachtangowa. W swoim czasie wystawienie to było prawdziwą sensacją teatralną, i nawet dzisiaj dobitnie świadczy o wielkim talencie Wachtangowa. Gra światła w zbiorowych scenach w synagodze, a zwłaszcza makabryczne tańce ułomnych żebraków w drugim akcie robią i dzisiaj duże wrażenie, ale celowość polityki teatralnej, opartej na „zamrażaniu“ tego czy innego wystawienia sztuki, jako ostatecznego i najlepszego, wydaje się wątpliwa. Najlepszym tego dowodem jest zestawienie trzech sztuk z obecnego sezonu: „Andromachy“, wyraźnie stylizowanej na przedstawienie z czasów Racine'a — i bardziej nudnej; „Dybbuka“, w którym świetne pomysły reżyserskie pomieszane są z chwytami, trącącymi dziś zdecydowanie myszką; i „Persów“ Kouna, w których dawna treść wlna jest w zupełnie nową formę — i w których ta nowa forma godzi współczesnego widza ze znakomitym utworem, który w przeciwnym razie ze względów czysto formalnych musiałby go znużyć i znudzić.



Scena ze sztuki Pirandella „La Bugiarda“ z Rossellą Falk w roli głównej



Największym rozczarowaniem sezonu międzynarodowego była niecierpliwie wyczekiwana wizyta głośnego Studia Aktorskiego Strasberga z Nowego Jorku, które zdobyło wielki rozgłos swoim sukcesem we wprowadzeniu „metody“ Stanisławskiego na rynek amerykański. Chociaż niektórzy z nas mieli już poprzednio duże wątpliwości co do zalet „metody“ na podstawie demonstracji jej wyników przez jednego z czołowych jej eksponentów, Marlon Brando, w filmach (np. przerażająco spaskudzone przemówienie Marka Antoniusza w „Juliuszu Cezarze“), ale mało kto mógł się spodziewać aż tak tragicznych rezultatów. Falszywie rozmieszczone akcenty psychologiczne, nieskończenie długie pauzy, uporczywe wydobywanie tanich efektów melodramatycznych, i — co najgorsze — po prostu kiepski poziom gry aktorskiej wywoływały w widzu wrażenie drugorzędnego teatru objazdowego, a często wręcz trąciły amatorszczyzną. Nie dziwnego, że galeria reagowała śmiechami na uczuciowe sceny w „Trzech Siostrach“ Czechowa! Oprócz ciężko pokrzywdzonego przez zespół Czechowa Amerykanie pokazali „Blues for Mister Charlie“, kiepsko, rozwlekłe i melodramatycznie napisaną sztukę czołowego murzyńskiego powieściopisarza amerykańskiego, J. Baldwina, na bardzo interesujący temat położenia murzynów w południowych Stanach. Widzów, którzy mieli niedawno okazję oglądania w Londynie znakomicie zagranej przez zespół amerykański drapieżnej sztuki Albee'go „Kto się Boi Wirginii Woolf?“, musi zdumiewać amerykański sukces Studia Strasberga. Jedynym wytłumaczeniem wydaje się być bałwochwalcza cześć, jaką znaczny odłam zachodniego świata teatralnego ma dla wszystkiego, co jest związane ze Stanisławskim. Niemniej, nie ulega wątpliwości, że wielki reżyser rosyjski nie przyjąłby żadnej odpowiedzialności za to, co w jego imieniu robią członkowie Studia Strasberga.

Chociaż oficjalny sezon międzynarodowy jest już zamknięty, w sierpniu Londyn oczekuje dawno spodziewanej wizyty zespołu Brechta ze wschodniego Berlina. Z poprzedniej wizyty tego teatru wiemy, że będzie to bardzo ciekawe i bogate przeżycie teatralne.

S. Wóycicki



„Persowie“ Ajschylosa — Próba chóru nad zatoką Salamis, w miejscu skąd przed wiekami widać było panoramę bitwy.

ALINA CYBULSKA

## DRZEWO ŻYCIA czyli ŻYWOT CZŁOWIEKA SIEDZĄCEGO

**D**RZEWO ŻYCIA — tak starożytni nazywali kręgosłup. Jakże słusznie jeżeli się pomyśli, że służy nie tylko jako oś, wzdłuż której rozpięte jest rusztowanie kostne, ale jako ochrona i zbroja „mózgu przedłużonego“ — rdzenia, od którego, między wyrostkami kręgowymi, odchodzą nerwy rządzące czuciem i ruchem całego skomplikowanego aparatu, jakim jest ciało człowieka.

Przedziwna to konstrukcja. Budowa segmentowa i system sprężystych „poduszeczek“ międzykręgowych daje elastyczność i giętkość. Lekkie wygięcie w kształcie litery S — amortyzuje szoki (przy sztywnej konstrukcji każdy krok dawałby wstrząs mózgu). Wreszcie połączenie kręgow z zespołem krótkich, mocnych mięśni i więzadeł, w liczbie ponad 1000 tworzy budowę przystosowaną do ruchu, do szybkiej reakcji mięśniowej, do wysiłku.

Niestety nasza wspaniała cywilizacja materialna, z której jesteśmy tak dumni, którą za cenę ogromnych wysiłków usiłujemy narzucić ludom na niższym, według nas, poziomie kulturalnym — wystawia mechanizm ludzki na ciężką próbę. Odkąd człowiek utracił Raj usiłujemy oszczędzić

trudu mięśniom, wysiłek ludzki zastąpić narzędziem, czy jak obecnie pracą coraz bardziej mądrych maszyn. Ale czy nie poszliśmy w tym kierunku za daleko?

Prawdę mówiąc wszyscy prowadzimy życie bez ruchu. Od najmłodszych lat, maleństwo posłane do przedszkola uczy się przede wszystkim siedzieć i bawić spokojnie, wtedy, kiedy niesłuchana ilość energii młodego ciała i rozwijający się układ kostny i mięśniowy wymagają ruchu, jak najmniejszej pracy. Lata szkolne? lepiej o nich nie mówić. Nieliczne godziny przeznaczone na sport i gimnastykę, nie rekompensują czasu spędzonego w pozycji siedzącej, w niewygodnych, nieprzystosowanych do wzrostu ani układu mięśniowego ławkach czy krzesłach. Dodajmy do tego godziny spędzane przed telewizją w domu... Życie człowieka dorosłego nie wymaga komentarzy. Auto, autobus, kolejka... co najwyżej spacer od przystanku do biura czy do domu. Stała, przez kilkadziesiąt lat pochylona pozycja — nad biurkiem, nad warsztatem... Stale ten sam powtarzany ruch, którego wymaga od nas praca... Wszystko to deformuje i niszczy układ kostny i mięśniowy. Stawy

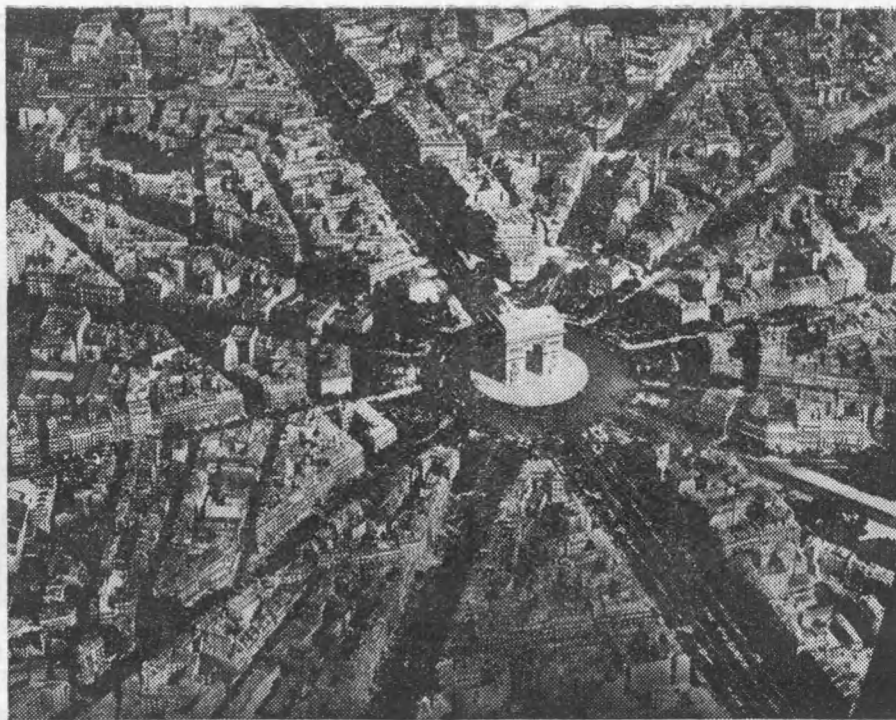
sztynieją, wiązadła i mięśnie wiotczeją i tracą elastyczność — kręgosłup ustala się w wadliwej pozycji.

Tymczasem kręgosłup to nie tylko wspierała konstrukcja kostna — to także stacja centralna większości przejawów życia i funkcji naszego organizmu.

Dawno temu, w 1842 r. dr. J. Evans Riadore, członek brytyjskiego Royal College of Surgeons — pisał w swojej książce o chirurgii: „każdy organ, każdy narząd, każdy mięsień — mniej lub więcej zależy od rdzenia kręgowego i odchodzących od niego nerwów“. W pismach dr. Meyerdinga — wybitnego chirurga tzw. Mayo Clinic czytamy: „Wadliwa postawa kręgosłupa, czy to na skutek złych przyzwyczajzeń, czy wypadku lub defektu organicznego — pociąga za sobą zmiany strukturalne i funkcjonalne całego ciała“. Nowoczesna medycyna coraz bardziej skłania się do tego że stan kręgosłupa, pozycja kręgów, stopień elastyczności mięśni i wiązadeł międzykręgowych, może dać odpowiedź na wiele trudnych zagadnień diagnostycznych.

Nigdy szpitale i gabinety lekarskie nie były tak zapelnione pacjentami skarżącymi się na zmęczenia, nerwobóle, migreny, bóle reumatyczne. Dysponujemy ogromnym arsenałem środków leczniczych, olbrzymim aparatem lekarskim i coraz więcej jest chorych, którzy zużywają całe masy takich czy innych maści, całe apteki preparatów przeciwbólowych — i cierpią dalej na te same dolegliwości. Coraz częściej wtedy po badaniach, rentgenach i eksploracji kręgów pada diagnoza: subluksacja, czy nawet dyslokacja kręgu, przesunięcie dysku, ucisk na korzonki nerwowe.

Kręgosłup — to mimo wszystko bardzo solidna konstrukcja. Dyslokacja kręgu — to sprawa niezmiernie rzadka, przeważnie następuje na skutek wypadku, lub poważnej choroby kostnej. Ale każdy krąg posiada, dzięki elastyczności wiązadeł i obecności dysku międzykręgowego, pewną fizjologiczną ruchomość w stosunku do dwóch kręgów z którymi się styka. Czasami na skutek wadliwej pozycji, fałszywego ruchu, upadku, dużego wysiłku, szczególnie przy słabych i niewyćwiczonych mięśniach — następuje nadmierne przesunięcie kręgu



**PARYŻ: Panorama gwiaździsta „Etoile“, dzieło Hausmana**

„Kto mówi, że ma dosyć Londynu — ma dosyć życia“, powiedział dr Johnson... „Zobaczyć Neapol i umrzeć“ — powiedział ktoś inny.

Byron ukochał Wenecję, Utrillo — Paryż, Runyon — Nowy Jork. Setki

i zablokowanie go w fałszywej pozycji. Rezultatem jest ucisk na nerw przechodzący przez otwór międzykręgowy i bóle albo zaburzenia funkcjonalne organów wewnętrznych.

Ciekawa jest lista chorób, które liczni już obecnie badacze przypisują zaburzeniom statycznym kręgosłupa: od uporczywych migren, bólów w uszach, przez powszechnie znane bóle pleców, (najpopularniejsza obecnie dolegliwość) drętwienie rąk, lumbago, torticollis, pewne formy reumatyzmów aż do astmy, zaburzeń układu trawiennego, zaburzeń sercowych.

Nigdy w ciągu tysięcy lat żadne walki i ciężkie próby jakie przechodziła ludzkość nie dokonały w budowie człowieka takich zmian jakie spowodowały ostatnie 100 lat cywilizacji mechanicznej. Tworzy się nowy typ człowieka z otłuszczonymi lub częściowo zanikającymi mięśniami, mniej lub więcej zniekształconym kręgosłupem, leniwą przemianą materii, niedotleniony, niezdolny do wysiłku typ Człowieka siedzącego — Homo Sedentarius.

Alina Cybulska

jeśli nie tysiące ludzi da się porąbać w obronie subiektywnie pojmowanych zalet Rzymu, Lwowa, Warszawy, Sztokholmu czy Lizbony.

Każdy z nich, gdy go przycisnąć do muru i kazać wyjaśnić co właściwie ma na myśli, zacznie rozprawać o „atmosferze“, o ludziach, o parkach i pomnikach, o teatrach i galeriach. Rzadziej o architekturze. Wszystkie argumenty będą natury estetycznej lub emocjonalnej.

Trudno więc będzie odmówić im prawdziwości. Nikt nie zdołał jeszcze rozstrzygnąć sporu estetycznego i emocjonalnego. Bo nie to jest ładne co jest „ładne absolutnie“ tylko to co się komu podoba. Pocóż na przykład urządzać głosowanie na „królową piękności miast świata?“ Lepiej zadowolili się wyborami „królowej piękności“ myśląc o kobietach i dać spokój miastom. Bo w przeciwieństwie do kobiet miast nie można porównywać według jednolitego kryterium. Wiemy jak ma wyglądać piękna kobieta — nie wiemy jak ma wyglądać „piękne miasto“. Bo każde jest nie tylko inne, ale ma także inne uzasadnienie swego wyglądu. Każde jest wynikiem innego splotu warunków klimatycznych, ekonomicznych i historycznych i jest odbiciem charakteru i temperamentu swych mieszkańców.



# O P O W I E Ś Ć

Przeciętne miasto europejskie, nawet te które dzieje swe nawiązać mogą do starożytności, powstawało pod kątem obronności. Obronność była też przez długie wieki problemem decydującym. W obrębie murów czy obwarowań, w oparciu o twierdzę czy zamek, czy tylko murowaną wieżę, powstawał średniowieczny „shopping centre” — targowisko. Zmieniało się w rynek, wokół którego budowano domy. Jeszcze parę ulic biegnących od rynku i na tym kończył się plan miasta. Reszta zabudowywała się jak mogła w obrębie murów póki starczyło miejsca, by wylać się z czasem poza mury, na przedmieścia i osady podmiejskie, gdzie już o żadnym planie mowy nie było.

Czas płynął, ludności przybywało, przybywało środków materialnych i potrzeb kulturalnych. W obrębie murów i poza ich obrębem powstawały kościoły i rezydencje pańskie. I nowe siatki ulic i uliczek; lokalne, dzielnicowe targowiska; powstawała specjalizacja ulic i dzielnic: dzielnice handlowe, rzemieślnicze, rezydencjalne, dzielnice „dobre” i dzielnice „złe”. Niekiedy pożar niszczył całe miasto lub połowę, kiedyindziej jakiś mecenas sztuki burzył część miasta by zdobyć miejsce na nowy pałac lub nowy kościół. Lecz zmiany w planie były małe albo żadne. Miasto ciągle rosło, ciągle w ten sam chaotyczno-praktyczny sposób. Po wielkim pożarze Londynu w r. 1666 powstało kilkanaście projektów odbudowy planowej, między innymi projekt Wrena. Wszystkie one zdobią muzea i archiwa — Londyn odbudował się dokładnie tak jak wyglądał przed pożarem.

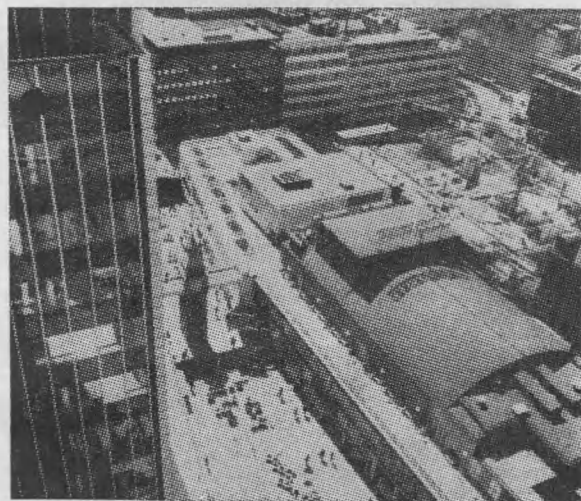
Inaczej powstawały miasta Nowego Świata. Tam mechaniczny plan wyprzedzał budowę. Znana z filmów „kowbojskich” szeroka ulica z drewnianymi domami i barami po obu stronach, była naprawdę początkiem większości miast amerykańskich. Przecinano ją pod kątem prostym kilkoma przecznicami. Potem dodawano szersze od przecznicy ulice równoległe. Powstawała regularna krata

**MANHATTAN:** Przystanek helikopterów komunikacji miejskiej.

## O WIELU

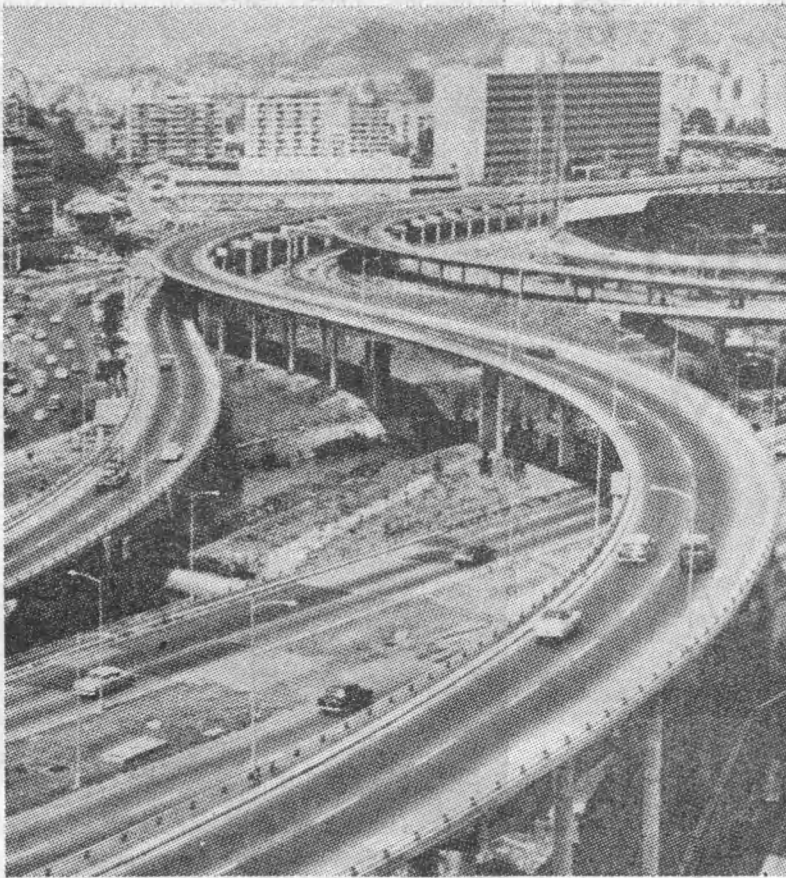
## M I A S T A C H

Napisał  
**Stefan Osiecki**



**SZTOKHOLM:** Nowe centrum mieszkalne z wyłącznie pieszym ruchem.





CARACAS: Panorama arterii przelotowych

podłużnych „avenues“ i poprzecznych „streets“, która do dziś jest typowym schematem większości miast w obydwu Amerykach. Architekt zjawiał się późno, po pionierach i osadnikach. Planu miasta nie naruszał, po prostu zamieniał drewniane budy na domy murowane, potem na „drapacze chmur“. I tylko wysokość, ilość i dostojność budynków różniło metropolię od zapadłej dziury.

\* \* \*

Jeżeli wrócimy na chwilę do walców poszczególnych miast — granica czasu zarysuje się wyraźnie. Spierając się o specjalne ich „uroki“, będziemy zawsze mieli na myśli miasta albo dzielnice powstałe niewiele przed końcem 18-go wieku. Do tego czasu miasta rosły chaotycznie, ale malowniczo i do nich ciągną dzisiaj rzesze turystów i estetów. Wyjątkiem będzie może Paryż Napoleona III-go i Hausmana, na ogromną skalę zakrojona, ale anachronistyczna próba zmiany oblicza miasta. Anachronistyczna — bo w czasie kiedy już prawie można było mówić o „racjonalizacji“ planu i kiedy skutki

rewolucji przemysłowej i przeludnienia były już widoczne — Hausman burzył całe dzielnice, zakładał geometryczną siatkę szerokich alei i gwiaździstych placów budując pyszne, teatralne tło dla parad wojskowych i estetycznego zadowolenia bez trosk widzów.

\* \* \*

Pod koniec 19 wieku, miasta „wybuchowały“. Wtargnął do nich przemysł i pociągnął za sobą masowy napływ ludności. Miejsce Medyceuszów i Hausmanów zajął spekulator budowlany. Zaczęły pospiesznie rosnać całe dzielnice jednakowych, szarych domów rozciągające się wzdłuż planowanych na chybeika ulic. Dawne miasto zamieniło się w piękną centralną wyspę otoczoną morzem zadmioną brzydotą z którego jako jedyna ozdoba sterczały wiadukty kolejowe i kominy fabryk.

\* \* \*

Twierdzenie, że sztuka planowania i budowy miast jest dzieckiem 20-go wieku, byłoby niesłuszne. Miasta były, na swój sposób, planowane od czasów rzymskich — jedynie

zespół problemów był inny. Poza obronnością i poza szeregiem zagadnień ściśle inżynierskich, jak woda, mosty, komunikacja — wreszcie kanalizacja, wysiłek architektów szedł raczej po linii tworzenia wspaniałych budynków, placów i perspektyw, parków i pomników ku większej chwale miasta i jego patronów.

Faktem jest jednak, że dopiero nasze stulecie stworzyło problemy, które zrobiły z planowania konieczność — konieczność opanowania sytuacji, ujęcia jej w jakiś rygor i nadania rozwojowi miast jakiejś świadomej formy, już nie tylko estetycznej, ale praktycznie umożliwiającej życie.

\* \* \*

„Urbanistyka“ jest wiedzą nową, trudną do zdefiniowania — trochę architekturą, trochę statystyką — w znacznej mierze przewidywaniem i zgadywaniem. Nie mając żadnych tradycji ani wzorów w przeszłości, musiała zaczynać od podstaw, od studium życia miasta, określenia tempa wzrostu i prawdopodobieństwa przyszłych zapotrzebowań. Dopiero na podstawie tych danych, mógł urbanista przygotować praktyczny plan, poprawiający w miarę możliwości istniejące zło i wytyczający linie rozwoju. Zanim plan taki wszedł w życie i zaczął wywierać jakikolwiek wpływ na kształtowanie miasta, trzeba go było przedyskutować, wywalczyć i uzyskać aprobatę władz miejskich, na których terenie ścierały się wpływy i interesy różnych grup ludności, handlu, przemysłu i własności gruntowej. Poza tym, równoległe z zabudową, musiały się rozwijać ulice, komunikacja, gaz, elektryczność i setki innych udogodnień, bez których życie w dzisiejszym mieście jest nie do pomyslenia. Jednocześnie, musiało być opracowane nowe prawo dawstwo regulujące przepisy ogniowe, sanitarne, określające wysokość budynków, wymagania konstrukcyjne — nawet ich wygląd. Prócz tego, planowanie aby być skuteczne, musiało wyprzedzać rozwój i przeganiać naturalny wzrost miasta.

\* \* \*

Jedną z najtrudniejszych przeszkód w planowaniu miast — jest człowiek, jego charakter, upodobania i jego system życia. Marzenie każdego Brytyjczyka o własnym domku z ogródkiem, jest koszmarem urbanisty. Rezulta-



tem tego „antyrurbanizmu“ jest anormalny rozwój przestrzenny miast. Nawet przy dzieleniu, krajaniu i redukowaniu ogródków do patetycznych kilku metrów, miasto rozdyma się, wchłania okoliczne wsie i grunty uprawne stając się niezgrabnym olbrzymem, w którym codzienne dostanie się do miejsca pracy zajmuje więcej czasu niż wiele podróży międzymiastowych. Nie pomagają również najrozmaitsze lokalne „tradycje“; klasyczne „dwie kwadratowe mile“ w Londyńskiej City, w które musi się wcisnąć każdy szanujący się „business“ ubezpieczeniowy, ani obowiązująca świat lekarski Harley Street. Nie pomaga także „antymerykanizm“ architektoniczny, nie pozwalający na wysokie budynki w imię zachowania „tradycyjnej“ linii miasta i jego (przeważnie dawno nie istniejącego) charakteru.

A jednak rozwój „w górę“ jest nieunikniony, nawet w budownictwie mieszkalnym. Wielki francuski architekt i teoretyk urbanizmu Le Corbusier planował już trzydzieści lat temu miasto wież, rzadko rozstawionych pośród zieleńców, wykazując niezłomnie, że używając mniej terenu, można zapewnić więcej powietrza, przestrzeni i zieleni na głowę ludności, niż przy systemie „ogródkowym“.

\* \* \*

Decentralizacja miast jest dzisiaj „linią generalną“, podstawowym dogmatem urbanizmu.

Przez wypychanie ciężkiego przemysłu za granice miasta i przez ograniczanie budownictwa biurowego w dzielnicach centralnych, urbaniści starają się wyrzucić z miasta ciężki ruch kołowy i skrócić odległość od miejsca zamieszkania do miejsca pracy, przenosząc biura do stref mieszkalnych. W rezultacie nastąpi stopniowe rozbitcie miasta na szereg bardziej samowystarczalnych dzielnic, w których ludzie będą żyć i pracować, mieć własne centra sklepowe i rozrywkowe — wreszcie będą się rodzić i umierać. Terenu na te lokalne metropolie dostarczają kilometry kwadratowe powstałych na początku stulecia „slumsów“, dzisiaj walących się o własnych siłach, albo burzonych masowo ze względów sanitarnych. Co się nie zmieści w przebudowanych dzielnicach — musi wyjść za miasto. Celem zahamowania dalszego rozrostu terytorialnego, urbaniści planują

tworzenie miast „satelitów“. Są to nowe miasta (raczej miasteczka) budowane według ściśle opracowanego planu i oddzielone od macierzystej metropolii nienaruszalnym „pasem zieleni“. Miasta te mają z góry określony charakter dopuszczalnego przemysłu (ciężki, lekki, chemiczny itd.), z góry zakreślone granice rozwoju, z góry przewidziane centra sklepowe i rozrywkowe oraz przepisana proporcję zieleni. Szereg takich miast (Harlow, Basildon, Crowley) istnieje w W. Brytanii i są one żywym eksperymentem urbanistycznym, czekającym jeszcze na ostateczną próbę czasu.

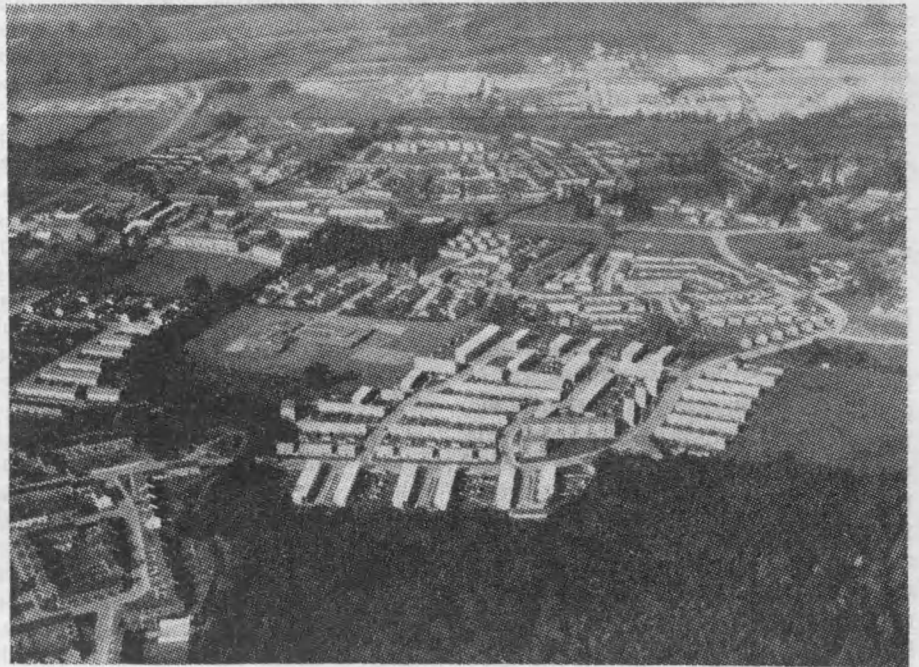
\* \* \*

Wracając do istniejących miast, ich planowanie poza regulowaniem rozwoju, ogranicza się siłą rzeczy do „urbanistycznych reperacji“. Są to prace trudne i niewdzięczne, operacje na żywym organizmie miasta, dokonywane przeważnie przy gwałtownym oporze obywateli, estetów i tradycjonalistów. Mieszkając w Londynie słyszeliśmy wszyscy namiętne protesty i czytaliśmy listy do redakcji protestujące na samą myśl naruszenia jednego kamienia na Piccadilly Circus, albo wycięcia jednego drzewa w Hyde Parku. Nawet tak wielkiej skali „okazje“ urbanistyczne jak zni-

szczona przez wojnę Warszawa czy Kolonia, dały w rezultacie odbudowę raczej niż zbudowanie na nowo. Spory i dyskusje na ten temat, wchodzą znowu w dziedzinę emocjonalną i pytanie czy zabytek, całkowicie zniszczony i odbudowany, pozostaje w dalszym ciągu zabytkiem — nie będzie prawdopodobnie nigdy rozstrzygnięte.

\* \* \*

Czasami, może raz na kilka stuleci, materializuje się sen urbanisty i powstaje zupełnie nowe miasto. Takim miastem jest Brasilia, nowa stolica ogromnego kraju, zbudowana w środku pustkowi, bez nawet najmniejszej wioski dającej jej początek. Dzieło wybitnego architekta Niemeyera, Brasilia jest fantastycznym miastem przyszłości, pieczołowicie projektowanym i jednolitym w nowoczesnym wyrazie architektonicznym. Pomyślana jako administracyjna stolica kraju i położona zdala od szlaków handlowych, Brasilia wymyka się jednak spod kryteriów współczesnego urbanizmu i dopiero przyszłość pokaże, czy zacznie żyć własnym życiem, czy zarośnie z powrotem dżunglą jak to się stało z innym eksperymentem brazylijskim, ze słynną „gumową“ stolicą Amazonki — Manaus.



HARLOW NEW TOWN: Na zdjęciu kolonia mieszkaniowa, w środku Town Centre, na dalszym planie dzielnica przemysłowa.

Powiedzieliśmy, że planowanie miast powinno przegonić życie — czasami dzieje się odwrotnie.

Czynnikiem, który w ostatnich kilkunastu latach wywarł decydujący wpływ na miasto i zmusił urbanistów do gwałtownej rewizji poglądów — jest samochód. Nie ma chyba miasta gdzie ulice byłyby dość szerokie, gdzieby nie było wiecznych zatorów i gdzie parkowanie samochodu nie byłoby tragiczną, codzienną farsą, tematem dowcipów i przyczyną wypadków.

Przemysłne wzory jednokierunkowych ulic, setki sygnałów, zakazów, opłat i kar, odwołują tylko moment jakiejś drastycznej decyzji.

Pomysłów było wiele; od negatywnych, jak zamknięcie środka miasta dla prywatnych samochodów, do pozytywnych jak wyrzucenie centrów sklepowych poza miasto. Stworzenie całego zespołu wszelkiego rodzaju sklepów z obfitym miejscem na parkowanie, odciążyłyby poważnie ulice miasta. Pomysł amerykański, lecz nieśmiałe próby spotykamy i w Europie.

\* \* \*

Niedawno opublikowany w Anglii, raport prof. Buchanana jest dokumentem niezwykle ciekawym i jego konkluzje potwierdzają na zasadzie statystyk i studiów to, co urbanistyczni „prorocy“ przewidywali już od dawna; albo zmienimy radykalnie koncepcję miasta, albo doczekamy się, jeszcze za naszego życia, kompletnego zablokowania ruchu ulicznego... W świetle tych faktów, wizja miasta (już niedalekiej) przyszłości rysuje się dość wyraźnie.

Ruch pieszy oddziela się od ruchu kołowego. Dzisiejsza ulica staje się wyłącznie kanałem komunikacyjnym, po którym płynie strumień samochodów, nie przerywany „zebrami“ dla przechodni ani światłami. Domy odwracają się „plecami“ do ulicy otwierając swoje fronty i sklepy na stronę wyłącznie pieszych placów, pasaży i alej. W innych wypadkach, piesza i sklepowa ulica podnosi się do poziomu pierwszego piętra w formie, połączonych poprzecznymi mostami galerii, albo przykrywa „ulicę samochodową“ całkowicie, zmieniając ją w tunel komunikacyjny. Ruchome

schody prowadzą z jednego poziomu na drugi, na samym dole, w „piwnicy“ miasta przebiegają kolejki podziemne. Z czasem, ponad miastem zawiąże się sieć jednoszynowych „monorails“, wiążących autobusów i krążących, lądujące na wysokich dachach helikoptery.

\* \* \*

Utopia? — może. Jednak życie przegania, nie tylko urbanistów, ale nas wszystkich, nasz sposób myślenia i nasze wczorajsze ideały. „Nowy Wspaniały Świat“ przestał — przynajmniej gdy o budownictwo chodzi — już być fantazją literacką i dekoracją filmową — właściwie już w nim żyjemy, jeszcze sobie z tego nie zdając sprawy.

Stefan Osiecki

## KSIĄŻKI

### CZERWONY LUBLIN

Przyjacielom pomordowanym —  
przyjacielom zakutym w kajdany,  
jakie słowa ma żyjący przekazać?

(Józef Łobodowski  
Ballada lubelska)

**CZERWONA** Wiosna Józefa Łobodowskiego jest powieścią polityczną. Tematem jest komunizm, ten co w latach trzydziestych istniał w Polsce. Łobodowski należał do komunizującej młodzieży lubelskiej. Na cztery lata przed wojną zerwał z komunizmem, stając się ze zwolennika wrogiem. Dziś walczy o wolność i demokrację ze spadkobiercami komuny lubelskiej.

W powieści opisuje czasy, w których stał po tamtej stronie barykady. A opisuje bez złej krwi, bez rozgoryczenia, spokojnie, epicko i z dużą dozą sentymentu. Po latach wraca do swych przyjaciół, z których większość była otumaniona i później sądząc po tym co się działo ze wszystkimi polskimi komunistami, albo zapłaciła krwawo za swe przekonania, albo się rozczarowała.

Ludziom żywym, ludziom z mięsa i kości poświęcona jest książka Łobodowskiego. Żyją oni, cierpią, kochają, wyklinają, biją się i piją. Prawdziwi ludzie.

Chróściel — robociarz rozumny i rzeczowy; Goldberg — młody Żyd nie wiedzący, gdzie właściwie należy; Rozenkranz — księgarz-filozof; Jedrek — parobczak wiejski — wszyscy zawzięci ideowcy, ludzie wspaniali i mocni. Zjawiają się wywołani z pamięci

jak prawdziwi przyjaciele i nam czytającym powieść szybko stają się bliscy.

Osobne miejsce należy się dziewczynom, do których autor razem z bohaterem Józefem Zakrzewskim ma wiele sympatii. A więc Bronka Chróścielówna szczerą i inteligentną, pensjonarką jeszcze, a już rozumiejącą życie jak dorosła koietta; Frania zabiedzona żydowska gorseciarka patrząca wielkimi oczyma w Józefa jak w obraz; Gerda cyniczna fordanserka, przyjaciel jakich mało, Władka młoda wdowa na wsi, po wiejsku nieufna i trudna do przyjaźni na chybeika.

Nawet kaprawy agenci policyjni, Ptaszek, opisany jest z sympatią i po ludzku.

Nad nimi wszystkimi zaś i dokoła nich olbrzymieje Lublin, miasto młodości Łobodowskiego. Czechówka, rynek przed Karmelitami, kościół misjonarzy, Bronowice, wieża Krakowska, a potem Łęczna, Zemborzycy... Podróż kajakiem po Bystrzycy, chodzenie po ulicach nocą, knajpy lubelskie i lubelskie domy. Lublin po raz drugi w słowie Łobodowskiego odżywa i przestaje być tłem powieści, zaczyna być jej bohaterem.

Poraz drugi, bo pierwszy raz przedstawił Lublin Łobodowski w swej pięknej i wzruszającej Balladzie lubelskiej drukowanej w „Wiadomościach“

Gdy czyta się tę Balladę wspaniałą poetycko i tak patetyczną, to widzi się w niej tę samą powieść tylko w innym, wyższym nurcie — poezji.

Mimowoli traktujemy Czerwoną wiosnę jak uzupełnienie poezji, wytłumaczenie na język prosty, zilustrowanie słów:

Którzyście mi nie skąpili przyjaźni, których wraz ze mną widok świata drażnił, szlachetni buntem i gniewem rozumni;

Józef Zakrzewski, młody dziennikarz i student zamieszkał się w politykę; jakiś mityczny towarzysz „Szary“ wprowadził go w koło towarzyszy i zapoznał z profesorem Mendelsonem, bardzo inteligentnym i mądrym przywódcą duchowym lubelskich komunistów.

Wiemy, że sam Łobodowski rozczarował się dość szybko i spodziewamy się, że i jego bohater prędko rzuci tę ideę. Są już pewne wskazówki w „Czerwonej Wiosnie“, że w następnej części powieści Zakrzewski będzie oddalał się od komuny. Właśnie „przywódca duchowy“ Mendelson i jego siostra, podniecająca Stefa Frękindowa, i „Klub dyskusyjny“, irytujący Zakrzewskiego — a z nim i czytelnika.

Jednak zapał młodości, szlachetne uniesienie i współczucie wiele tłumaczy.



Bardzo dobrze, że Łobodowski nie poszedł drogą zwykłą innym byłym komunistom, którzy uważają, że mają obowiązek pluć i psoczyć na wszystko, w co sami niegdyś wierzyli. Łobodowski powiada po prostu: Była taka faza w moim życiu, gdy wierzyłem w komunizm. Wtedy działałem zgodnie ze swym przekonaniem i wtedy spotkałem wielu dobrych ludzi, którzy zostali moimi przyjaciółmi.

Trzeba go za to szanować. Trudno przypuścić, żeby dziś „madrzycki“ Łobodowski nienawidził swojej „lubelskiej“, młodości, swoich uniesień, wybieczek do Zemborzyca, swoich spacerów po nadbystrzyckich łąkach.

Ci, którzy jak ja spędzili część chociaż młodości w Lublinie, czytając o przygodach Józefa Zakrzewskiego chcieliby zawołać słowami Ballady Lubelskiej:

Nie zaczynaj znowu, nie zaczynaj,  
nie pochylaj się nad szklanką wina,  
skroń bezsenność do poduszki przytuł.  
Niech na zawsze rozwieje się widmo  
Lublina  
na ulicach  
spiącego Madrytu.

Ci, którzy „Czerwoną Wiosnę“ rozumieją jako powieść polityczną, jako umiejętną z wielkim talentem napisaną rozprawę o szkodliwości komunizmu w młodym wieku, niech zamilkną z szacunku dla ludzi, którzy niegdyś żyli „z ghetta, znad stronic Talmudu rwali się w górę i czekali cudu“, a dziś nie żyją: „wyszli z swoją śmiercią i troską w krematorium dym, ku Judei“.

Józef Łobodowski zapowiada dalszy ciąg Czerwonej Wiosny. Przygody Zakrzewskiego kończą się w momencie, gdy zostaje aresztowany i osadzony w areszcie śledczym. Nie trudno zgadnąć co będzie dalej. Wiemy z przeżyć samego autora. Ale niecierpliwie oczekiwać będziemy na następny tom, aby spotkać i Bronkę, i Frankę, i Chróścicla, i Rozenkranca i wspaniałego Grudnia, właściciela knajpy na placu Narutowicza.

Ale nade wszystko znów spotkać Lublin, wywołać go na ulicach Madrytu, Londynu, Paryża...

Czerwony, czy nie czerwony, zawsze Lublin naszej młodości.

Książkę Łobodowskiego wydała Polska Fundacja Kulturalna w swej trzeciej serii jako Dziejów Józefa Zakrzewskiego część pierwszą. Książka wydana ładnie, druk czysty, okładka i rysunki poprawne, ale szkoda, że artystka, która to wykonała, Janina Chrzanowska, nigdy nie była w Lublinie. Nie ma ani jednego widoku miasta, nie ma też charakterystycznych

postaci, jest tylko w kilku wersjach szerokokobrody, łukobrzywy młodzian, konkurent... Kasjusza Clay'a.

C. K.

Józef Łobodowski, Czerwona Wiosna. Powieść. Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn, 1965. Okładka i ilustracje w tekście Janina Chrzanowska.

## ROMANTYK W DWUDZIESTYM WIEKU

STANISŁAW BALIŃSKI jest romantykiem, zablakany w dwudziestym stuleciu. Wiemy o tym wszyscy z lektury jego wierszy, a potwierdzenie tego znajdujemy w niedawno wydanym przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie zbioru opowiadań p. t. „Talizmany i wróżby“. Już sam tytuł tomiku niesie zapowiedź uczuciowego ładunku prozy Balińskiego, którego klimat podkreśla cytata o melancholii z „Jak wam się podoba“, umieszczonym na wstępie książki.

Proza Balińskiego — chciałoby się powiedzieć „poetycka“ — doskonale dostosowana jest swoim romantycznym wydźwiękiem do treści opowiadań. Autor czerpie hojną ręką ze swych przeżyć, przetwarzając je, naturalnie, i adoptując do swych literackich zamierzeń. Nostalgicznie nawiązuje do młodych lat na Polesiu, odtwarzając plastycznie ten świat, dziś zaginiony w niedawnej, a równocześnie tak odległej przeszłości; buduje kilka nowel na tle swego pobytu w Mandżurii za czasów wkroczenia tam Japończyków; umiejscawia akcję innych opowiadań w Anglii, w której mieszka od tylu już lat. Baliński nie jest mistrzem anegdoty nowelistycznej, obec mu są zupełnie zaskoczenia i niespodzianki maupassantowskiego i maughamowskiego opowiadania; urok jego książki leży w nastroju, w kolorystyce, w opisie rzeczy, dźwięków, zapachów, kolorów — słowem świata, w którym jesteśmy zamknięci. Pozwala mu to w kilku nowelach przekonywująco wkroczyć w dziedzinę rzadko w polskiej literaturze spotykaną: na teren opowiadania niesamowitego. Nie wyjaśniając i nie motywując niepojętej dziwności wydarzeń Baliński potrafił narzucić czytelnikowi przeświadczenie, że tak właśnie było, że nieprawdopodobność opisywanej przez niego rzeczywistości jest całkowicie do przyjęcia bez szukania racjonalnych rozwiązań. Niesiony łagodnym nurtem opowiadania czytelnik bez protestu daje się prowadzić ku konkluzjom autorskim i bez wewnętrznego oporu przyjmuje autorskie komentarze. Zresztą

nieświadomości opowiadań Balińskiego nie ma na celu budzenia w czytelniku dreszczy zgrozy — jest to niesamowitość sentymentalna, przesiąknięta melancholią i tęsknotą.

„Talizmany i wróżby“ nie silą się na nowoczesność, nie szukają nowych dróg, nie posługują się nowymi chwytami technicznymi; są staromodne, ale staromodnością, która ma zapach kwiatu, zasuszonego między kartkami tomiku wierszy. Odważnie proklamują myśli i uczucia autora, niemodne może, ale zawsze pełne treści i znaczenia.

Wartość książki podnoszą pomysłowość okładki i ilustracje Danuty Laskowskiej.

Wojciech Stefański

Stanisław Baliński, Talizmany i Wróżby. Nakład Polskiej Fundacji Kulturalnej. Londyn 1965. Okładka i ilustracje Danuty Laskowskiej.

## ŚLADAMI GOMBROWICZA? DWIE KSIĄŻKI „INNE“

Adam Czerniawski. „Części mniejszej całości“, opowiadania. Oficyna Poetów i Malarzy, 1964.

Józef Jenne. „Aspazja, on i ja. Okładkę i frontpiece wykonała Zula Machnowska. Oficyna Poetów i Malarzy, 1964.

W OFICYNIE Poetów i Malarzy, tym jedynym u nas wydawnictwie, które zawsze daje przytułek emigracyjnym nonkonfirmistom, ukazały się dwie książki inne od zwykle na emigracji drukowanych. Inność wyraża się przede wszystkim w odmiennym stosunku do spraw polskich.

Tak zwana literatura emigracyjna obraca się w kredowym kole tematu i pisarza dobrze okrzepłych w latach niepodległości. Książki, które ukazują się, nie mówiąc już o tomach wspomnień i wspominków, nawiązują do tamtych czasów, czerpią soki z przeszłości przedwojennej i starają się rozwiązać dzisiejsze problemy — dawną metodą.

Wyłamuje się z tego, nieraz gwałtownie młodsze pokolenie, co dziś nazywa siebie „pokoleniem czterdziestolatków“. Są to ludzie, którzy w dobie katastrofy, wrzesnia, Zaleszczyk, obozów sowieckich i niemieckich posiadali jakieś takie rozróżnienie świata, ale byli tak młodzi, że nigdy siebie nie obciążali odpowiedzialnością za wrzesień, jak i dumą za Gdynię.

Dla tego pokolenia winy ojców są bardzo wyraźne, grzechy dzisiejsze róż-

wnie mocno ukazujące się ich oczom. I szukają oni innego świata polskiego; odrzucając kliszę ekliwskiego patriotyzmu i nie rozumiejąc w pełni z przeszłością, próbują znaleźć własną drogę.

Kiedyś to pokolenie nazwało siebie „rybami na piasku“. Między morzem polskości przodków — a nowymi problemami jakie stawia przed nimi życie na obczyźnie, mocniej i właściwiej przemawiające do nich niż do zażartych przeciwników jakiegokolwiek asymilacji, starszych.

„Ryby na piasku“ jest tytułem antologii poezji poetów tego pokolenia. Została ona przygotowana, napisał do niej przedmowę Julian Przyboś, ogłosiły jej ukazanie się pisma. Antologia jest ciągle w powijakach. A może owe „ryby“ wskoczyły do wody, albo, co jest bardziej prawdopodobne, owym rybom wyrosły cudzoziemskie nogi i nie rozumieją same swoich zmagania i walk o tlen z powietrza a nie z wody.

Adam Czerniawski był czołową rybą — jednym z pierwszych poetów tej antologii. Razem z Czaykowskim, Siłą, Darowskim stanowił kadrę młodej poezji emigracyjnej.

Jego wiersze zimne, kalkulowane, intelektualne więcej niż uczuciowe były przyjęte przez krytykę bardzo przychylnie. Instytut Literacki Kultury wydał dwa tomiki wierszy Czerniawskiego, świadczy to o dobrej ocenie poety przez „Kulturę“.

Gombrowicz napisał „przedmowę“ do opowiadań Czerniawskiego pt. „Części mniejszej całości“.

Sam tytuł zbioru opowiadań, których większość drukowana była w „Kontynentach“ jak i sama forma „przedmowy“ zawierającej dwa słowa: Warto przeczytać, wskazują na snobizm, manierę autora. Snobizmem mogą być uznane zbytne posługiwanie się obcojęzycznymi tekstami i tematyka w dużej mierze „arystokratyczna“. Jednak po przeczytaniu opowiadań trzeba zdanie zmienić. To, co wydaje się manierą i chęcią imponowania, jest swego rodzaju humorem.

Czerniawski pisze swoje opowiadania z językiem wydymającym policzek, czyli „with the tongue in his cheek“. Niektóre z opowiadań są wyraźną, niezakamuflowaną satyrą. Na przykład opowiadanie „Sprolongowani mistrzowie“, w którym wachmistrz i rotmistrz, dwaj farmerzy walijscy, wymachują szablami w przerośni i dostownie. Albo „Kartofla“ będąca metaforą, gdzie kartofle występują jako symbol niezgrabnej, rubasznej, nabrzmiałej problemami polskości.

Czerniawski sięga satyrą też w świat Polski Ludowej i daje dwa dobre opo-

wiadania, w których humor wyraźnie realistyczny zamienia się w końcu w absurdalną groteskę.

We wszystkich opowiadaniach należących do owego młodszego pokolenia autor rozprawia się dość brutalnie z polskością starszego pokolenia. Czyni to widocznie i wyraźnie. Bardziej zażyłe i potrzebujące klucza niczym proza Joyce'a, czy wiersze Dylana Thomasa są opowiadania starające się w tonie epickim utrzymać satyrę i ironię. Tu Czerniawski walczy z przerostem polskiej kliszy samym przeciwstawieniem jej innego realizmu wypranego z szacunku dla naszego problemu, nasyconego ironią nieporozumienia dzielącego dwa emigracyjne pokolenia.

Czerniawski jest pisarzem inteligentnym i wnikliwym. Nie wiele trzeba pracy aby go odczytać, przecież może lepiej byłoby, gdyby swe metafory starał się przybliżyć ku czytelnikowi.

Przeszkodą w przyjmowaniu Czerniawskiego jest naśladownictwo Gombrowicza. Pamiętamy jak Trans-Atlantyk, przyczynił się do rozładowania atmosfery pompy i celebracji naszej katastrofy narodowej i naszego świętego tułactwa. Bardzo dobrze, że to znajduje zrozumienie, że młodszemu pokoleniu usiłuje dopisać część dalszą Trans-Atlantyku. Ale trzeba zrozumieć, że Gombrowicz jest jeden i niepodzielny.

Adam Czerniawski najlepiej wypowiada się jako krytyk literacki. W tej dziedzinie dał się poznać jako kandydat na prawdziwego mistrza. Posiada wielką znajomość literatur obcych, ma świetny język i logiczną wypowiedź i co więcej jest bardzo odważny, zawsze szukający mocnej syntezy.

Brak krytyki literackiej na obczyźnie nakazuje nam wszystkim prosić Czerniawskiego, aby czym prędzej kończył eksperymenty poetyckie i prozatorskie i zaczął odsiewać plewy od ziarna na niwie tak zwanej literatury emigracyjnej. Inny krytyk, który przyjdzie po nim na pewno wrzuci do korca najlepszego ziarna jego tom opowiadań i jego poprzednio wydane wiersze.

Zupełnie inna jest książka Józefa Jennego pt. „Aspazja, on i ja“.

Tu zamiast opowiadań czy powieści napotykamy na rozprawę literacko-światopoglądową ubraną w formę fikcyjnej opowieści.

Młody Pawełek wybiera się na rowerze w podróż do Wenezueli. Poszukuje nauczycieli i wzorów do swej budzącej się twórczości literackiej.

Przyjeżdża do starej panny Aspazji, która ma coś w rodzaju pensjonatu dla starszych panów, mistrzów pióra

i myśli. Wszelkie nadzieje na poznanie czegoś nowego, na znalezienie rady i opieki rozwijają się szybko. Pensjonariusze są ramolami, a stara panna o miękkim kuszącym biuście ma swoje wiadomości, swoje życie poszufladkowane i zsymplikowane potwornie.

Pawełek ucieka dalej. Zabiera swój wspaniały rower, którego mu zazdrościli starszuchowie i siada do pociągu. Tu spotyka „mistrza“. Mistrz jest uosobieniem jakiegoś czasu przeszłego, widmem gnębiącym i przesładującym autora, postacią narośniętą na świadomość jak brodawka.

W czasie drogi okazuje się że „mistrz“ jedzie na gapę, ale nie zmienia to wcale wzajemnego stosunku Pawełka i mistrza i przez cały czas jazdy odbywa się namiętna dyskusja.

Jenne w swej książce walczy z polską literaturą staropanieńską, z polską pompą w starych szamerunkach, z polską filozofią mętą, ale wspaniałą.

Szkoda, że wypowiedzi Jennego najczęściej są pisane za pomocą symbolów i znaków jemu tylko znanych. Zapewne przebywanie zdala od środowiska polskiego, pisanie w samotności, brak dialogu sprawiają, że Jenne, dobry obserwator, ucieka od nas do świata zupełnie nam nieznanego.

Józef Jenne napisał kilka dobrych opowiadań, wystąpił z mocnymi ale bardzo ezoterycznymi wierszami, ma za sobą książkę wydaną w Londynie i posiada pewne doświadczenie i sporo uznania.

Jakież bardzo chciałoby się otrzymać od tego oryginalnego pisarza prozę wyrośniętą z egzotyzy wenezuelskiego, ze spojrzenia ostrego obserwatora i dobrego prozaika. „Aspazja, on i ja“ w założeniu stojąca na uboczu beletrystyki, przez zastosowanie czarnej magii własnego klucza wymyka się spod kontroli nieświadomionego w panajennowe myślenie czytelnika.

I jeszcze jedno — dlaczego znów tytuł Gombrowicza?

Witold Gombrowicz jest wielką pozycją naszej literatury, wart jest wyznawców, może też wart naśladowców. Jednak przykro jest, gdy szczerzy talent marnuje się na powtarzanie. I czy wszystko co oryginalne w naszej literaturze musi pochodzić od Gombrowicza?

Czerniawski i Jenne buntując się przeciw szablonowi stoją sami na progu nowego szablonu.

Obie pozycje są przecież nie tylko ciekawymi eksperymentami literackimi, ale posiadają wielkie wartości jako wypowiedź pokolenia, które, czy nazwiemy młodszym, czy starszym, musimy uznać za pokolenie inne.

Cz. D.



# „MAMAN“ KRÓLA STASIA

WIELE było kobiet w życiu Stanisława Augusta. Było ich nawet bardzo wiele. Były księżne i baletnice, Polki i cudzoziemki. Była nawet przyszła imperatorowa Wszechrosji... Ale ta jedna, której cień chcemy teraz wywołać, różniła się tym od innych, że nie była ani młoda ani piękna, a miłość jej chociaż wielka i szczerą, nie miała w sobie nawet śladu erotyzmu.

Zresztą przyjaźń ostatniego króla Polski, nie była jedynym tytułem do sławy pani Geoffrin. Ta „matka encyklopedystów“ była czymś w rodzaju fenomenu na horyzoncie francuskiego życia towarzyskiego. W czasach, kiedy tylko damy z arystokracji miały swoje „salony“, ta żona fabrykanta luster, zabłysła na cały świat wysokim poziomem umysłowym swoich „środkowych“ przyjęć. Poza takimi luminarzami, jak Voltaire, Diderot czy d'Alembert, bywali u niej również wybitni cudzoziemcy, uważając sobie za zaszczyt otrzymać zaproszenie na wieczór w jej domu.

Kiedy czternastoletnia Maria Rodet, córka skromnego urzędnika na dworze francuskiego następcy tronu, poślubiła w 1713 r. znacznie od niej starszego Franciszka Geoffrin, nikt nie mógł przypuszczać, że sława jej „salonu“ przejdzie kiedyś do historii. Szara i milcząca postać męża nie stała nigdy na przeszkodzie ambicjom towarzyskim pani Geoffrin, lecz dopiero po jego śmierci w 1750 r. osiągnęła ona te szczyty, na których utrzymała się już do końca swoich dni.

W 1753 r. zjawił się w salonie p. Geoffrin Stanisław Poniatowski, wprowadzony przez swego ojca, kasztelana krakowskiego. Znał on panią Geoffrin z czasów swego poprzedniego pobytu w Paryżu i był przekonany, że jej „salon“ będzie najlepszą szkołą towarzyskiego obycia dla jego 20-letniego syna.

Taki był początek przyjaźni, upamiętnionej obfitą i niezmiernie ciekawą korespondencją. Z listów tych wynika wyraźnie, że pani Geoffrin nie tylko została tytułarną „maman“ przyszłego króla — jak to zresztą było w zwyczaju owej epoki — ale



MARIA TERESA GEOFFRIN

Portret pędzla Chardina w muzeum w Montpellier.

istotnie usiłowała zastąpić mu niezżyjącą matkę, wspierając go radami w ciężkich chwilach jego panowania.

Kulminacyjnym punktem tej długoletniej przyjaźni był przyjazd pani Geoffrin do Polski. Miała już wówczas lat 67 i nigdy jeszcze nie była poza granicami Francji. Mimo protestu przyjaciół, postanowiła jednak wybrać się w tę daleką i jakże uciążliwą drogę, aby przekonać się naocznie, jak też ten jej ukochany „syn“ rozpoczął swoje panowanie.

Przygotowania trwały cały rok. Wreszcie, 21 maja 1766 przed dom na ulicy St. Honoré zajechała duża,

podrózna „berlinka“, do której wsiadła pani Geoffrin oraz dwie jej pokojówki. W drugim powozie jechał p. Łojko, ambasador polski przy dworze Ludwika XV, któremu Stanisław August powierzył opiekę nad „miłym gościem“.

— „Jedźcie jak chcecie“ — oświadczyła pani Geoffrin — „byle nie przez Prusy. Nie cierpię tego ich „wielkiego“ Fryderyka“.

Pojechali więc okrężną drogą, wygodnie i bez pośpiechu, zatrzymując się nieraz po kilka dni na różnych dworach książęcych, gdzie sławną „matkę filozofów“ przyjmują nadzwyczaj gościnnie. 7 czerwca dojeżdżają wreszcie do Wiednia. I

tu przyjaciółka polskiego króla osiąga szczyt triumfu.

— „Przyjmują mnie, jak udzielną księżnę“ — pisze w jednym ze swoich listów do córki, markizy de la Ferté Imbault — a sam książę Kaunitz, najbliższy doradca cesarzowej, był wczoraj u mnie z wizytą i oddał do dyspozycji swój własny powóz“.

A w kilka dni później, oznajmia z radosną dumą: — „Dzisiaj byłam na prywatnej audiencji u cesarzowej Marii Teresy, która rozmawiała ze mną jaknajserdeczniej“.

Po pięciu dniach ustawicznych wizyt i przyjęć, pani Geoffrin udaje się w dalszą drogę. Już od samej granicy Polski otacza ją troskliwa opieka Stanisława Augusta. Na każdym noclegu czekają na nią pokoje, urządzone specjalnie przez króla przysłanymi meblami, a jego własna służba podaje przez dworskiego kucharza przygotowane potrawy. A kiedy 22 czerwca berlinka dojechała do Warszawy i stanęła przed zamkiem królewskim, sam Stanisław August zbiegł ze schodów i z radosnym okrzykiem „maman“, przycisnął wysiadającą do piersi.

Pierwsze dni pobytu pani Geoffrin w Warszawie upływają jak cudowna bajka. Przeznaczone dla niej pokoje znajdują się tuż obok apartamentów królewskich, a on sam przychodzi codziennie na pogawędkę ze swoją „maman“. Przyjęcia mnożą się bez końca. Bal, wydany przez Stanisława Augusta na jej cześć, ściąga na salony królewskie cały „wielki świat“ warszawski. Pani Geoffrin — która mimo swej mądrości lubi być podziwiana — jest uszczęśliwiona tym ogólnym uznaniem.

I nagle coś się psuje w tym harmonijnym nastroju. Listy do córki są krótkie i jakby zniechęcone. Czyżby chmury nieporozumienia zaczęły już zaciemniać ten słoneczny horyzont? Wprawdzie Stanisław August jest wciąż tak samo serdeczny do swojej „maman“, jednak ona jest najwyraźniej czymś dotknięta.

Kto też mógł wpłynąć na tę nagłą zmianę?

Oczywiście nikt inny tylko koła „familii“ Czartoryskich zmaciły wody tej idylli. Rzucona jakby od niechcenia uwaga, zraniła tak boleśnie panią Geoffrin, że wiara jej w

szczerłość przywiązania Stanisława Augusta została zachwiana na czas długi.

— „Jakże to przykro słuchać, kiedy król, który sam ma tak mało artystycznego smaku, dowodzi wszystkim, że pani zupełnie go nie posiada.“

Te złośliwe słowa wojewody ruskiego stały się powodem złego humoru tej zawsze pogodnej i zrównoważonej kobiety. Stanisław August, który nie miał pojęcia o tej stryjowskiej intrydze, przypisywał nagłą zmianę kaprysom i sam ochłodził znacznie w swej „synowskiej“ czułości.

I tak nie wypowiedziawszy swęgo żalu, opuściła pani Geoffrin Warszawę 13 września, nie przyjmując wspaniałych prezentów, jakie król jej ofiarował na pożegnanie. Jedyнным wyjątkiem była brylantami wysadzana miniatura Stanisława Augusta.

„Śmiała podróżniczka“ zasmakowała widocznie w długich popasach, gdyż w Paryżu znalazła się dopiero 10 listopada. I pozornie wszystko potoczyło się dawnym trybem. Jak przedtem kurierzy z Polski przywozili listy od króla i zabierali odpowiedź pani Geoffrin. Tylko ton jej listów stał się teraz bardzo oficjalny. I chociaż Stanisław August wrócił szybko do dawnej serdeczności i poufnych zwierzeń, „maman“ tytułowała go uparcie „Najjaśniejszym Panem“ i podpisywała się pełnym imieniem i nazwiskiem. Powoli jednak jej istotne przywiązanie wzię-

ło górę nad urojonym żalem i listy były znów pełne ciepła i mądrych rad.

Wiosna 1776 r. była w Paryżu wyjątkowo chłodna. Mimo mroźnego wiatru, pani Geoffrin udała się 11 marca do katedry Notre Dame, gdzie odbywały się uroczystości na cześć św. Genowefy. Kościół był zimny a nabożeństwo trwało długo. Zmęczona i przemarznięta pani Geoffrin, zaledwie wróciła do domu, upadła na ziemię zemdlona. Częściowy paraliż przykuł ją do łóżka, z którego miała już nie powstać.

Mimo opieki zaufanego lekarza i troskliwych starań córki, choroba postępowała coraz szybciej. Pogarszał ją jeszcze niepokój o Stanisława Augusta, nad którym walił się cały gmach jego dumnej radości. Otoczony ludźmi złej woli, pozbawiony prawdziwych przyjaciół, grzął coraz bardziej w trzęsawisku własnych pomyłek i słabości.

Straciwszy władzę w rękach, pani Geoffrin zmuszona była dyktować listy córce, która, mało się interesując losami polskiego króla, skracała je ile możliwości. Lecz „maman“, czując zbliżającą się śmierć, ostatnim wysiłkiem woli, dopisała zeszytniałą ręką do jednego z listów: „Kocham Cię całym sercem, synu mój“.

12 października 1777 roku odszedł na zawsze opiekuńczy duch nieśczęsnego króla. A on sam, człowiek bez przyjaciół, poczuł się osamotniony jeszcze bardziej.

Hilda Jankowska

## Dla wyjeżdżających na urlop do Włoch polecamy przewodnik

### POLAK W RZYMIE

W. Zahorskiego z ilustr. Samuela Tyszkiewicza. Str. 125 — Cena 10/-

### NOWOŚCI WYDAWNICZE:

DAVID FLOYD

### RUMUNIA — Intryga czy wyzwanie?

Znany dziennikarz angielski analizuje przyczyny i skutki schizmy rumuńskiej w bloku komunistycznym. Str. 151 — Cena 15/-

### POLEMIKI — Zeszyt III.

A. Bregman, A. Ciołkosz, J. Łobodowski, S. Korboński, J. Krok-Paszkowski i J. Pomian polemizują z autorami krajowymi na tematy dotyczące najnowszej historii Polski. Str. 125 — Cena 8/6

Pewna ilość Zeszytu II jeszcze do nabycia.

Poleca: POLONIA BOOK FUND LTD. — 10, Queen Anne's Gdns.,  
LONDON, W. 4, tel. CHI 4723, oraz księgarnie polskie.



WYKRUSZAJĄ się nasi bohaterowie. Coraz rzadziej widzi się postawnych, wyprostowanych panów z niebieską wstążeczką w kłapie.

My, żołnierze, jesteśmy przyzwyczajeni do niewdzięczności. Jak świat światem po erze bohaterstwa, dzielności i przyczepiania orderów, przy dźwięku tręb następuje okres pokoju i małości. Z kancelarii, z magazynów, z pralni polowych wyłazą szczury i spychają w cień prawdziwych wojaków. Albo co gorsza cywile dochodzą do głosu, bo wiadomo, że dzisiaj papier więcej ścina głów niż uczciwa szabla kawalerska.

Więc coraz mniej widzi się dawnych bohaterów, bo w tym świecie, zwłaszcza w świecie emigracyjnym tak nieprzychylnym dla wszelkich postaci wybitnych, oni kwaśniej jak ogórki, w kraju gdzie nikt kiszonych ogórków nie jada.

A swoją drogą mógłby któryś z naszych epików zamiast spisywać własne przygody i zaczynać swe filipiki od królowej Bony spłodzić księgę bohaterów ostatniej wojny. Jak walczyli, jak się wstawili i jak życie z nimi postąpiło. O, byłaby to księga na polu wspaniała, a na polu żałobna.

Weźmy na przykład naszego pułkownika Korzenia. Nadzwyczajny człowiek. Ile razy go ujrzę, zawsze staje przede mną dzień walki w Apeninach, marsz w deszczu po stromym zboczu Monte Pipinello i atak na Domek Grabarza. Co to był za wściekły atak! Rotmistrz Korzeń na czele pierwszego plutonu biegł z granatem w ręku, z tomiganem pod pachą i krzyczał: — Naprzód! Naprzód! Do jasnej cholery!

Czy może być piękniejsza scena? Ale nie za ten atak otrzymał wstążeczkę. Za bitwę o Santa Monica. Za trzy dni wściekłych walk i odpierania kontrataków najlepszych jednostek niemieckich. A kiedy skończyły się granaty rzucaliśmy puszkami corned beefu.

— Walić w sk . . . synów! — grzmiał rotmistrz i zachęceni jego przykładem wytrwaliśmy.

No cóż, kiedy go spotykam teraz, nie ma już on tej smukłości i głos mu jakoś zachrypl. Wątpię czy mógłby wołać tak doniośle. Włosy także przerzedziały. Majora dostał na polu bitwy, ale podpułkownikiem zrobiono

## BOHATEROWIE O ZMIERZCHU

go tu w Londynie. I koniec. Inni awansowali dalej, on pozostał w tym samym stopniu.

Dla nas, dla członków naszego Koła, jest on jakby postacią czołową, dowódcą, że tak powiem naturalnym, choć inni przyznają się do faktycznego dowodzenia.

Może by mu się lepiej powiodło, gdyby nie ożenek. To znaczy wiodło mu się bardzo źle materialnie i marynarka robiona po wojnie przez krawca z Polski, wachmistrza z naszego szwadronu, Ząbka, wyświeciła się, a spodnie już zupełnie się przetarły. Na zebraniach przecież nie patrzyliśmy na spodnie, lecz w oczy i na tę wstążeczkę „czwartej klasy“.

Żołnierze nie potrzebują wdzięczności. Byliśmy dumni, że nasz bohater pracuje w fabryce, że marnie zarabia, że kraje papierosy na trzy części i bardzo ostrożnie pije, zaledwie pojedynczą whisky i to przy uroczystościach.

Ale się ożenił. Pani Klarysa póty kręciła się, aż go zmusiła do prawnego, kościelnego zatwierdzenia sytuacji. Miała pieniądze po pierwszym mężu, ale też miała wymogi i to właśnie zgubiło naszego pułkownika.

Jak dowiedzieliśmy się, że pojechał na urlop do kraju, od razu powiedzieliśmy: To jej robota.

Bo po cóż on miał tam jechać? Po cóż on miał brać paszport brytyjski, zmieniać obywatelstwo, stać w kolejce po wizę w tym ich konsulacie i jechać narażając się na niebezpieczeństwa i indagację?

Ale ona miała córkę w Krakowie. Ona zostawiła tam kamienicę, ona po prostu „musiała“.

Jeżdżą różni ludzie. Kto dziś właściwie nie jedzie? Wszyscy. I mali ludzie, i więksi działacze, i kobiety samotne, i małżeństwa, i kawalerowie.

Nie wiedzą przecież co im grozi. Przykład pułkownika Korzenia powinien niejednego ocucić.

Otóż opowiem to jego słowami. Spotkałem go na ostatnim zjeździe Koła. Na sali go nie było, nie przydziawał. Kiedy zeszedliśmy w przerwie na papierosa i kufel piwa, siedział tam w kącie wtulony jakby schowany w kanapce, zgarbiony i zielony ze smutku.

— Ano — powiedział nam — sam tego chciałem i nikogo winić nie mogę.

— Panie pułkowniku! — wołałiśmy. — Czemu pan nie idzie z nami?

— Już nie mogę z wami — powiada i jeszcze bardziej ziewa.

A było tak: za pierwszym razem poszło wszystko gładko. Bubek w Pałacu Mostowskich w Warszawie zaprosił go na rozmowę, ale poza spisaniami personaliów i kilkoma uwagami: Czemu pan nie wraca? Po co pan tam siedzi? nic nie zaszło.

Za to drugi raz do Krakowa przyjechał młody podpułkownik i zaprosił Korzenia na kawę do krakowskiego Bristolu.

— No cóż, panie pułkowniku — powiedział zaglądając do książeczki — my o panu wszystko wiemy.

— Ależ ja nic złego nie uczyniłem! — zawołał pułkownik przestraszony na dobre. — Nie jestem politykiem i mam obywatelstwo brytyjskie.

— Wszystko wiemy o panu — uśmiechnął się ubek i zaglądał do notesu. — Ma pan Virtuti, awansował pan na podpułkownika z tak zwanych awansów „nafijnych“, ożenił się pan drugi raz i mieszka pan w domu swej żony.

— Czy co w tym złego? — spytał pułkownik stawiając wszystko na jedną kartę.

— Ależ nic złego — zawołał tamten. — To nawet bardzo dobrze. Czy pan wie, że należy się panu zniżka na kolei? A jakże, bohaterom wszystko. Czy wie pan, że moglibyśmy wystarać się dla pana o roczną rentę? I ten stopień z „Nafi“ możemy zwerfikować. Co?

— Ja jestem obywatelem brytyjskim — bronił się pułkownik wrogię propagandzie.

— Terefere — zawołał ubek — taki z pana Brytyjczyk jak z kozy trąba. Wziął pan paszport tylko dlatego, żeby tu przyjechać?

— No, właściwie tak . . . — przyznał pułkownik, jako że żołnierz przy party do muru nie potrafi skłamać.

— Czuje pan po polsku, mówi pan po polsku, więc jest pan Polakiem, z nami.

(Dokończenie na str. 39)

## SYN NOEGO —

WŚRÓD — dosłownie — tysięcy drzeworytów, miedziorytów i litografii o tematyce polskiej powstałych w Europie Zachodniej w związku z Powstaniem Styczniowym wyróżnia się grupa prac graficznych podpisywanych pseudonimem „Cham“. Karykatury te — bo do tej kategorii należy prace Chama zaliczyć — łączą wysoki poziom artystyczny z bardzo nieraz subtelnym dowcipem. Zdumiewa także ich ilość: co najmniej 117! Jeśli weźmiemy pod uwagę, że pierwsza z nich ukazała się w „Charivari“ 9 marca 1863 r. a ostatnia ze zwartego zespołu w tym samym piśmie 1 maja 1864 to wypadnie przeciętnie dwie na tydzień (w listopadzie i grudniu 1863 r. po 5 na tydzień). Nasilenie zainteresowania Polską i jej powstańcami dziejami wyjątkowe jak na francuskiego artystę.

Często więc, wertując roczniki L'Illustration czy Charivari w poszukiwaniu poloników, natrafiamy na ów podpis: „Cham“ — podpis w którym nie trudno domyślić się pseudonimu. Używający go artysta był człowiekiem niepospolitym, utalentowanym, a przy tym nieco dziwakiem.

Jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Amadeusz-Karol-Henryk de Noé. Był czwartym synem hrabiego Ludwika de Noé, para Francji i Franciszki-Karoliny z domu Halliday, ze starej rodziny angielskiej. Amadeusz urodził się 26 stycznia 1818 r. w Paryżu, w domu pod nr. 19, rue du Faubourg Saint Honoré, gdzie rodzice jego zamieszkali po powrocie z emigracji. Dzieciństwo spędził Amadeusz w gronie bardzo kochającego się rodzeństwa, pod opieką służącego Murzyna i bony — Angielki.

W wiele lat później starszy brat Tomasz — po śmierci ojca — został markizem de Noé i głową rodziny, a najstarsza siostra Ludwika-Joanna wyszła — w 1834 r. — za Anglika, kapitana (później admirała) Russel Manners. Amadeusz od wczesnego dzieciństwa niedomagał na płuca, wysłano go więc do Boulogne-sur-Mer, gdzie uczęszczał do szkoły prowadzonej przez anglikańskiego duchownego. W 1834 roku wrócił do Paryża i kształcił się u pana de Reusse. Zdawał następnie, na życzenie ojca, egzamin do L'École Polytechnique. Nie dane mu było jednak egzaminu tego ukończyć: musiał go przerwać gdy przyłapano go na tym, że zamiast pisać wypracowanie, rysował karykaturę jednego z egzaminatorów.

Z kolei stary hrabia umieścił syna w ministerstwie finansów, ale i ta próba zapewnienia mu przeciętnej „porządnej“ kariery zawiodła i doprowadziła tylko do parodniowej ucieczki z domu. Gdy zgłodniały ale uparty buntownik wrócił, ojciec zgodził się już

bez dalszych oporów na jego studia artystyczne.

Zaczął je Amadeusz u głośnego podówczas malarza historycznego, ale przede wszystkim wybitnego litografa i rysownika, Mikołaja Charlet. W pracowni tej kolegował m.in. z litografem E. Valerio i z grafikiem Lalaisse. Potem przeniósł się do studio Pawła Delaroche, w którym przebywał aż do jego zamknięcia. Jego kolegami byli tu m.in. Adolf Yvon, Albert Barré, Karol Jalabert, Karol Landelle.

Warto zaznaczyć, że obaj nauczyciele młodego de Noé mieli bardzo liczne powiązania artystyczne i towarzyskie z Polakami. Uczniem Charleta od 1832 roku był — bardzo wysoko przez mistrza ceniony — Piotr Michałowski, a sam nauczyciel wykonał niejedną litografię przedstawiającą Polaków w wojsku napoleońskim.

Jeśli o Delaroche'a chodzi to o jego polskich koneksjach możnaby (i należałoby) napisać dużą rozprawę. Oto parę luźnych szczegółów: uczniem jego był Karol Emil Boratyński, a także, zapewne, portrecista Józef Simmler, który w latach 1847-1849 miał uczęszczać do jego pracowni i kopiować obrazy. Gdy o powiązaniach towarzyskich mowa to był Delaroche stałym gościem w salonie księżnej Marceliny Aleksandrowej Czartoryskiej, gdzie spotykał się z Leonem Kaplińskim, Staśławem Koźmianem, Kalinką, Kleczką. Znalł się też z Cyprianem Norwidem o którego malarstwie zresztą wyrażał się Delaroche przychylnie.

Wróćmy jednak do młodego de Noé. Po zamknięciu pracowni Delaroche'a nie szuka już nowych nauczycieli ale zaczyna nawiązywać kontakty zawodowe. Wśród jego przyjaciół w tym czasie spotykamy akwarelistę Eugeniusza Lami i Adolfa Huart — późniejszego redaktora „Charivari“.

Amadeusz zadebiutował jako grafik 3.VIII.1839, gdy ukazał się pierwszy album jego karykatur „M. Lajaunisse“ wydany nakładem firmy prowadzonej przez Karola Philipon, twórcę i wydawcę pism satyrycznych: „La Caricature“, „Charivari“, „Musée Philipon“. Najślawniejszy wśród nich był niewątpliwie dziennik „Charivari“ który chlubnie zapisał się w dziejach grafiki tyśiącami litografii Honoriusza Daumier. To pod wpływem tego wielkiego mistrza kształtuje się teraz, od roku 1840 talent Amadeusza de Noé. Możemy go zresztą teraz spokojnie nazywać Chammem bo właśnie w tym roku przybrał

ów pseudonim — stanowiący żartobliwą aluzję do faktu, że artysta, jak biblijny Cham, był synem... Noego.

Jesienią 1843 r. zaczyna Cham współpracować z „Charivari“, ale za właściwy debiut w tym piśmie uznać należy cykl „Moeurs Algeriennes-Chinoiseries Turques“, którego publikowanie rozpoczęło 20 grudnia 1842. Od tego czasu, z małymi przerwami spowodowanymi wyjazdem za granicę, artysta współpracuje z piśmie przez trzydzieści lat i wybija się na jednego z najwybitniejszych jego karykaturzystów — obok Daumiera i Gavarniego.

De Noé unikał zwykle w swych karykaturach tematów politycznych — może ze względu na swe poglądy i koneksje prawnicowe. Rewolucja 1848 popchnęła go jednak do ostrego ataku na świeżo upieczoną republikę i jej zwolenników w parlamencie. Cały drapieżny cykl „Assemblée Nationale Comique“ sprawie tej jest poświęcony.

Warto też — wspominając o poglądach artysty — poświęcić parę słów jego ojcu, z którym zawsze łączyły Amadeusza najczulsza miłość i przywiązanie. Bo też stary hrabia w niczym nie przypominał arystokraty-tyrana z powieściółek brukowych, czy z elaboratów lewicujących „historyków“. Był to człowiek wyrozumiący, kulturalny, niepośledni zbieracz dzieł sztuki, a przy tym sam amator-artysta.

Do prac graficznych syna odnosił się nie tylko pozytywnie, ale nawet z entuzjazmem. Wycinał je starannie z pism i wklejał do specjalnych albumów. W jednym z takich albumów — opisanym przez biografę Chama, Feliksa Ribeyne — znajdowały się wycinki z „Puncha“. Artysta bowiem współpracował także w czasie swych pobytów w Anglii z tutejszymi czasopismami — m.in. z „Pictorial Times“. Warto dodać, że angielski grafik (włoskiego zresztą pochodzenia), Henryk Vizetelly, założyciel „Illustrated London News“ był jego dobrym znajomym. I we Francji zresztą nie ograniczał się artysta do publikowania swych rycin w pismach satyrycznych. Spotykamy jego prace również w „Illustration“, a od 1866 w „Monde Illustré“ i w „Univers Illustré“.

Amadeusz de Noé miał obok zdolności graficznych, także i literackie: napisał mianowicie szereg sztuk teatralnych jak np. „Serpent a Plumes“ (1864), „Poterie“, „L'oeil du Commodore“, czy — wspólnie z Lasalle'm „Un Malade au Mois“.



# CHAM

Również w karykaturach Chama uderza ich „literackość“. Sam też zawsze pisywał (nieraz bardzo dowcipne) teksty, które następnie ilustrował. Metoda nie stosowana przez wzór i mistrza Chama — Honoriusza Daumiera. Ten wykonywał rysunek czy litografię a „opisanie“ jej pozostawiał innym, na przykład Ludwikowi Huart czy Karolowi Philipon.

Za przykład literacko udanej karykatury Chama służy chyba z powodzeniem jeden z jego „poloników“, drukowany w „Charivari“ 21 grudnia 1863 r. Był to czas gdy przyjaciele Polski atakowali ostro Wielką Brytanię za jej zbyt miękką wobec Rosji postawę. — John Bull mija na ulicy żebraczkę wyciągającą doń rękę po jałmużnę: „Zostaw mnie w spokoju — powiada — nie chcę pomagać żadnym nieszczęśliwym — mogłoby mnie to zbyt daleko zaprowadzić“.

Polonica Chama — gdy już o nich mowa — rozpadają się technicznie na dwie grupy: litografie i drzeworyty. (Do tych ostatnich przygotowywał tylko rysunki, pracę cięcia klocków pozostawiając specjalistom zatrudnianym przez pisma w specjalnych drzeworytniach. Litografii jest 46 (36 w 1863 r. i 10 w 1864 r.), a drzeworytów 71 (60 w 1863 r. i 11 w 1864 r.). Liczby te zresztą traktować należy jako prowizoryczne, uda się je bowiem, być może, powiększyć po wszechstronnym zbadaniu materiału.

Litografie były duże i wypełniały w zasadzie, wraz z podpisem, całą trzecią stronę „Charivari“, jak litografie Daumiera i innych (sama ilustracja przeciętnie 24 cm. na 21 cm.). Drzeworyty wypełniały strony „Croquis“ w „Charivari“ a „Revue Trimestrielle“ w „Illustration“. Zwykle bywało dwanaście drzeworytów w czterech szeregach i trzech rzędach (wymiar poszczególnego drzeworytu przeciętnie 7 cm. na 7 cm.).

Zwraca uwagę dobre poinformowanie Chama w sprawach polskich. Domyślać się tu można rezultatów akcji propagandowo-informacyjnej sprawionej zorganizowanej przez Hotel Lambert, t. j., po śmierci Adama Czartoryskiego, przez jego syna ks. Władysława i sztab oddanych sprawie, sprężystych współpracowników. Zapewne zresztą stosunki Amadeusza de Noé z Polakami musiały — jak już wspominałem wyżej — datować się z lat jego studiów artystycznych u Charleta i Delaroche'a.



— Sont-ils bêtes ces Polonais! A quoi diable cela peut-il servir des mécaniques comme ça!

Co za durnie ci Polacy! Na co, u diabła, mogą służyć te przedmioty?



— Bonhomme Hiver, j'ai déjà eu recours à toi en 1812! Tu me reconnais?

— Je crois bien! toujours le même!

Staruszkę Mrozie, przypominasz mnie sobie? Pomogłeś mi już w 1812!

Oczywiście, że Cię pamiętam! Nic się nie zmieniles!



— C'est pas gentil de s'occuper rien que des Polonais! nous avions donc oublié ces pauvres petits Circassiens, mon chéri?

Nieladnie ciągle tylko myśleć o Polakach. Czyż zapomniał mój drogi o tych biednych Czerkiesach?

W niektórych wypadkach zastanawia — rzec by się chciało: zdumiewa — aktualność niektórych karykatur Chama. Przypominają one żywo dowcipy o rosyjskich żołnierzach z czasu ostatniej wojny. Owe — klasyczne już historie o zegarkach, fortepianach i ubikacjach. Na jednym z owych drzeworytów publikowanym w „Charivari“ 1 listopada 1863 r. artysta pokazuje w opustoszałym pokoju stojącego żołnierza rosyjskiego przyglądającego się ze zdumieniem trzymanym w rękach przedmiotom: dzbankowi i misce do mycia. W głębi, za otwartymi drzwiami widać innego Rosjanina wynoszącego pakę ze zrabowanym dobytkiem. Podpis głosi: — Ależ oni są głupi, ci Polacy! Do czegoż im, u diabła, mogą te instrumenty?“

Inna karykatura, tym razem litografia, drukowana 2 kwietnia 1863 r., również w „Charivari“, należy do tej samej kategorii: Starszy pan (w istocie karykatura, Piotr Józef Proudhon, znany teoretyk socjalizmu) ściska serdecznie dłoń Kozaka, który dźwiga pakunek z napisem „Pologne“. Proudhonowi wystaje z kieszeni książka z napisem „La Propriété c'est le Vol“ — („Własność jest kradzieżą“). Zdanie to stanowi początek głośnego memoriału Proudhona pt. „Qu'est ce que la propriété?“ z 1850 roku. Napis pod karykaturą głosi: „Mój drogi Kozaku, kiedyś myślałem, że płatom figla, dzięki tobie wygląda na to, że to jest prawda: posiadanie jest kradzieżą!“

Poza luźnymi karykaturami dotyczącymi sprawy polskiej wydał też Cham cały tomik, zatytułowany „En Pologne“. Ukazał się on w pierwszych dniach stycznia 1864 roku i obejmował 60 drzeworytów poprzednio już publikowanych. Reklama tego albumu ukazała się w numerze „Charivari“ z 8 stycznia 1864 roku.

Wraz z upadkiem powstania wygasło zainteresowanie artysty sprawą polską. Inna zresztą, bardziej osobista sprawa zaprzętała jego uwagę: dn. 24 lipca 1866 roku żeni się z Janiną Leroy, z którą zresztą łączył go wieloletni romans.

Tymczasem sytuacja polityczna w Europie komplikowała się by wreszcie wybuchnąc otwartym konfliktem: wojną francusko-pruską, upadkiem Drugiego Cesarstwa, Komuną Paryską. Dni te o mało nie skończyły się dla Chama tragicznie: aresztowano go jako „niemieckiego szpiega“. Fakt, że używał nazwiska i pseudonimu okazał się groźnym „dowodem“ jego domniemanego przestępstwa. Od rozstrzelania uratowała go jedynie energiczna interwencja przyjaciół.

(Dokończenie na str. 36)

Nie czekając na dalsze przygody w opanowanym przez motłoch Paryżu, wydosłał się do Wersalu, gdzie zresztą zastał grono oddanych sobie przyjaciół z Gustawem Doré i Ludwikiem Halevy na czele.

Z nastaniem pokoju i ładu artysta wrócił do stolicy i do swych zwykłych zajęć: tworzenia karykatur. Po kilku latach jego zasługi na tym polu zostały uwieńczone oficjalną nagrodą: na skutek interwencji przyjaciela, Aleksandra Dumasa, syna, Amadeusz de Noé 9 lutego 1877 zostaje odznaczony Legią Honorową. Wyróżnienie to przypada już u schyłku jego życia. Stan zdrowia artysty pogorszał się gwałtownie. Gruźlica robiła postępy.

Przed samą śmiercią wezwał księdza i przyjął ostatnie sakramenty. Zmarł 6 września 1879 roku. Wprędce podążyła za nim żona, którą zgon ukochanego człowieka wtrącił w stan chorobliwej rozpacz. Dużą część zbioru rysunków artysty przekazana została do Biblioteque Richelieu.

Na krótko przed śmiercią przyjaciel de Noégo i jego lekarz, Niderkorn, zauważył, że jego pacjent czyta książkę. Spytany o tytuł, Amadeusz odpowiedział: „Czytam Historię Rewolucji Francuskiej i — widząc z jakim wtedy spokojem szlachta wstępowała na szafot — powiadam sobie że nie musi być znowu tak trudno umierać“.

Mieczysław Paszkiewicz

**Wzmacniające nerwy i oczyszczające krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmocnioną wydajnością w pracy!**

**Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych**

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

**Laboratoire B. KALEFLUID**

F R A N C J A

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.



**SZYBKO I TANIO!**

Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**

171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W. 11.  
Tel. BAT 0879

**S**PRAWA tak zwanej „pomocy domowej“ jest w Anglii problemem nielada. Doprawdy łatwiej jest chyba przejść przez ucho igielne niż poprzez „interview“, którego łaskawie udziela pracodawcy in spe elegancka paniusia w nylonowym futrze, która postanowiła zrównoważyć sobie budżet kilkoma dodatkowymi funtami. Pracodawca siedzi na cenzurowanym i obiecuje łatwą robotę. Znam takie panie, które w przeddzień przyjścia „pomocy“ szorują podłogę w kuchni, aby „pomoc“ nie uznała następnego dnia, że praca jest zbyt ciężka i by nie wylądowała u sąsiadki, gdzie tylko zmyje naczynia i odkurzy salon. Pracodawczyni więc zapewnia o doborze płyt gramofonowych, których „pomoc“ może słuchać dla uprzyjemnienia sobie pracy, oraz o lepszym gatunku herbaty, niż u sąsiadki, zapytując przy tym pokornie: „A może pani woli inny gatunek? Natychmiast kupię“.

Jeżeli „pomoc“ zgadza się na pracę i co więcej, przychodzi regularnie, przez kilka tygodni — pracodawczyni szaleje z radości, dokupuje biszkoptowe ciasto do herbaty i często płaci więcej za godzinę sprzątania niż sama za tę godzinę zarabia jako pracownik umysłowy.

Mając to wszystko na uwadze, gdy przeczytałam ogłoszenie o „odpowiedzialnym zespole męskiej pomocy domowej — tanio, czysto, prędko“ z drzeniem rąk i z pokorą w sercu zatelefonowałam pod podany numer.

Odpowiedział mi melodyjny męski bas. „Tak, jesteśmy punktualni, niedrozy, staranni. Jesteśmy wyłącznie męską obsługą, więc pani sama rozumie... Tak, możemy przyjeżdżać co wtorek, na trzy godziny. Podłogi szoruje się fachowo...“

W następnym wtorek kupiłam na wszelki wypadek małą buteleczkę whisky, włożyłam najlepszą sukienkę, aby wyglądać odpowiednio godnie dla fachowej pomocy i już na pół godziny przed umówionym terminem wyglądałam przez okno nieznanego sprzątacza.

Zajechał na motocyklu punktualnie o 10-ej. Tanecznym ruchem zeskoczył z siodełka i wyjął z przyczepki imponujący zestaw płynów, szczotek i gałganów.

— Dzień dobry pani — powiedział od progu z czarującym uśmie-

T. J. LEWANDOWSKA

## Agencja

## pięknoduchów

chem. „Ocho, flat, czyli jest płasko, bez schodów... Doskonale“. I bez dalszego gadania czy zapytań o domowe urządzenie zabrał się do roboty.

Podglądałam go przez szparę w drzwiach i przecierałam oczy ze zdumienia. Naprawdę była to pomoc fachowa. Chłopak związał się, dwoił i troił, nie marnował ani jednego ruchu, wszystko co robił było celowe, szybkie i bardzo zręczne.

Po godzinie zaproponowałam mu filiżankę herbaty. Jakoś nie miałam odwagi wyjechać z tą whisky do tak młodego i uroczego chłopca.

— Czy mogę kawy? spytał. Kawa mnie odświeży po całonocnej próbie... I oczekując na kawę zaczął myć wannę.

Zaparzyłam kawę, wyjrzałam na korytarz. Młody człowiek już nie szorował wanny. Na czubkach palców, przerzuciwszy nogę przez poręcz fotela w hallu, odstawił klasyczną figurę baletową. „Un, deux, trois“ liczył i ćwiczył. Mój widok nie speszył go wcale. Zakończył ćwiczenie szpagatem, poczym wzięł z moich rąk filiżankę z kawą.

Następnego wtorku próżno wycze kiwałam chłopca-tancerza. Nie zjawił się. Zamiast niego punktualnie z wybiciem umówionej godziny zajechał — tym razem na rowerze — smutny, wysoki młodzian. Posiadał ten sam zestaw przyborów do czyszczenia, ale nie uśmiechał się i nic nie mówił, a na zaproponowaną „cup of tea“ odpowiedział jedynie skinieniem głowy. Pracował jak szatan, po prostu wspaniale.

Na pożegnanie spytałam go nieśmiało: „A na przyszły tydzień —



czy to pan przyjdzie, czy też ten kolega co tańczy?"

— Nie — odpowiedział ponuro — chyba nie ja. Zarobiłem już na opłatę za egzamin.

Zwinął porządnie ścierki i wyszedł. W przelocie zdążyłam dojrzeć, że spod pachy wystawał mu gruby tom zatytułowany: „Przyczynki do Chaucera — studium porównawcze wpływów francuskich“.

W trzeci wtorek przyśnił mi się śpiewak operowy — że to on właśnie odkurza, śpiewając arię z „Pajaców“. Ale zamiast śpiewaka przyjechał wesolutki człowieczek na skuterze. „Ja nie jestem taki dobry w robocie jak John czy Ivor, wie pani, ci dwaj co tu byli przed tym. Ja jestem początkujący. Pani mi powie co i jak — dobrze?"

— Dobrze — powiedziałam — ale najpierw niech mi pan powie i to zaraz, tu w kuchni — mam nieco whisky, może się pan napije? — niech mi pan powie kto wy jesteście drodzy panowie?

Wygolił kieliszek whisky. „Żeby to wszędzie tak dawali — uśmiechnął się — łatwiejby było i sprzątać i przepowiadać sobie role. Bo ja jestem aktorem, proszę pani. Ciężka jest aktorska dola. No, ale może mi coś wpadnie, ja jestem aktor szekspirowski, wciąż go grają... więc może załapię jakąś niewielką chociażby rolę. Dzisiaj przy sprzątaníu pani flatu będę wygładzał sobie rolę Spodka ze Snu Nocy Letniej..."

„Wielu was jest w tej agencji? spytałam. I dlaczego drugi raz żaden z was nie wraca? Dlaczego zawsze przyjeżdża inny?"

— Założyliśmy taką agencję artystów i naukowców — odpowiedział. Najbardziej potrzebujący mają pierwszeństwo. A sprzątaníe proszę pani to rzecz polotu, wolimy sprzątać niż na przykład nosić reklamy na plecach, albo zmywać w restauracjach. Ta robota jest nie tylko dorywcza, ale i indywidualna. Pracujemy póki musimy, a potem... skłonił mi się nisko i ruchem szekspirowskiego Spodka, w podrygach i z fasonem puścił w ruch odkurzacza.

Czekam na następny wtorek. Przeczucie mówi mi, że jakiś przyzwy profesor Curie wyczyści mi zlew.

T. J. Lewandowska

PAWEŁ HĘCIAK

## SIR STANLEY MATTHEWS

Pierwszy artykuł o Matthews'ie napisałem już w lutym br. Ale mój „naczelny“ wolał przez kilka miesięcy dawać inne artykuły, sądząc — jakże mylnie — że Sir Stanley Matthews to znowu nie taka wielka sensacja, więc nie należy się spieszyć. Bardzo nad tym bolałem, bo dla mnie Stanley Matthews był i pozostanie na zawsze wielkim i wspaniałym piłkarzem, chyba najwspanialszym piłkarzem świata. Nie przemawia tu przeze mnie duma mieszkańca W. Brytanii, w żadnym wypadku, lecz tylko i po prostu entuzjazm jaki zawsze miałem dla piłki nożnej (ostatecznie coś nieco się kopało), a przede wszystkim zaś moje głębokie przekonanie, iż istotnie nie było gracza ponad Sir Stanley'a. Dopiero w maju mój „naczelny“ dał się wreszcie przekonać, że choć z pewnym opóźnieniem warto pewnie coś o tym „grajku“ napisać, może to istotnie jest nieprzeciętny talent czy nawet taki talent, który przejdzie do historii. A że przejdzie nie mam najmniejszych wątpliwości.

W swej długoletniej karierze pobił Matthews chyba wszystkie możliwe rekordy, bo był nie tylko — i to niemal od pierwszego swego występu na boisku — najlepszym prawoskrzydłowym Anglii czy W. Brytanii i świata. Grał w piłkę bez przerwy od 15 roku życia. Skończywszy w dniu 1 lutego br. 50 lat może z wyjątkową satysfakcją patrzeć na swoją wielką i jedyną karierę sportową.

Bo nie ulega wątpliwości: Sir Stanley Matthews to geniusz piłkarski, jakiego nie rychło oglądać będziemy po raz wtóry na boisku. Aż żal stwierdzić, że 28 kwietnia br. stary Stanley, ten „mag piłkarski“ albo po prostu „czarodziej“ albo „czarodziejski dribbler“, zjawił się po raz ostatni na boisku i pożegnał się na zawsze ze sportem. Był to wielki dzień nie tylko w życiu samego Stanley'a, ale przede wszystkim w historii klubu Stoke City jak i dla całego piłkarstwa świata. Postanowiono ten dzień uczcić w sposób niezwykły: jedenastka Sir Stanley Matthews'a (najlepsi gracze Anglii, Szkocji i Walii) spotkała się w tym dniu z reprezentacyjną jedenastką świata w składzie: Jaszin (ZSSR na pewno najlepszy bramkarz świata), Johansen (Dania), Schnellinger (Niemcy zach.), najlepsza trójka pomocników świata pracująca precyzyjnie jak najdroższy zegarek szwajcarski: Pluskal, Popluhar i Masopust. W ataku grali: Henderson (Szkocja), Kubala, Di Stefano i Puskas (Hiszpania), van den Boer (Dania). W

drugiej połowie zastąpił Di Stefano duński gracz Sörensen. Początkowo skład ten miał być nieco inny — niestety, nie przyjechał słynny Pele — zwany „czarną perłą“ Brazylii, ani znakomity Niemiec Uwe Seeler z Hamburga, który z powodu zerwania ścięgna jeszcze długo, jeśli w ogóle, nie zjawi się na boisku. Przypuszczam, że gdyby oni zagrali wynik byłby wyższy, choć w tym meczu naprawdę nie o wynik chodziło.

Gdy na boisku ustawili się gracze obydwu reprezentacji, gdy trybuny wypełniły się po brzegi nie tylko tą stałą publicznością, ale gośćmi z całego niemal świata — nawet z Kanady i z Australii, by po raz ostatni zobaczyć niezapomnianego Stanley'a, dopiero wtedy zjawił się na boisku sam arcymistrz poprzedzony kobziarką w stroju szkockim wygrywającą wesołe melodie. Rozległy się długotrwałe oklaski. Nie wiadomo co myślał w tej chwili zawsze małomówny Matthews. Że kończyło się coś niezmiernie dla niego drogiego w jego życiu, wypełnionym piękną karierą sportową — nie ulega to wątpliwości. I że musiał być wzruszony — to chyba także pewne. I że coś z tego sentymentalnego nastroju udzielić się musiało wszystkim widzom, tak samo jak tym milionom, którzy oglądali transmisję meczu w Eurowizji — to również pewne.

Mecz wygrała reprezentacja świata, wśród której brylował już niewiadomo po raz który stary Puskas, zdobywając słynnymi strzałami z lewej nogi dwie bramki. Brylował również Jaszin w bramce. A w ogóle wszyscy grali bez zarzutu. Nawet stary Matthews podawał jak dawniej, jak zawsze i jak zawsze niezawodnie, piłki swoim współpartnerom. Z tych podań padło nawet kilka bramek, jedną z nich zdobył młody Greaves, młody a jednocześnie bardzo sławny, mogący być synem Stanley'a. Gdy skończył się mecz gracze znieśli Matthews'a na ramionach z boiska. Publiczność wstała i przez wiele minut wiwatowała... To było szczególnie wzruszające. Stary Sir Stanley Matthews już nigdy więcej nie pokaże się swym entuzjastom...

Pomyśleć tylko: kariera współczesnego sportowca — z uwagi na wielkie wymagania i wyśrubowane wyniki — kończy się w zasadzie bardzo wcześnie. Zawodnik 20-letni to prawie starzec (w pływaniu i w łyżwiarstwie), zawodnik 30-letni niemal że z zakłopotaniem pokazuje się na boisku i mówi się o nim jako o fenomenie, którego jeszcze się toleruje z uwagi jedynie

na przeszłe zasługi, ale który właściwie nie ma prawa pokazać się na boisku, na którym szaleją głównie 17-to latki. A tu tymczasem mamy piłkarza o niesamowitej kondycji, może już nie tej dawnej szybkości, ale wciąż jeszcze maga, który kiwał jak chce, który najwytrawniejszych asów zapełniał na boisku w kozi róg, zwłaszcza pod bramką, gdy w swój jedyny i niepowtarzalny sposób podrzuca lekko piłkę ze skrzydła pod bramkę (jak mówią sportowcy: podaje jak na talerzu) i wystarczy tylko nogę podstawić by dokonać reszty.

Trudno opisać na czym polega sławny dribbling Matthews'a, lecz faktem jest, że podpuszcza przeciwnika bardzo blisko, jak najbliżej i wtedy właśnie potrafi jakimś czarującym i niemal niewidocznym ruchem nogi piłkę przerzucić w tę czy inną stronę, lekko oswobodzić się od przeciwnika, który nawet nie wie co się stało i gdzie jest piłka. A tymczasem Matthews jest wciąż jeszcze niedaleko, a piłka daleko pod bramką przeciwnika. W ten sposób Matthews potrafił zdobyć a raczej wyrabiać swoim kolegom pozycje na zdobycie bramki. I to niezliczone razy. Wszyscy wiedzą, że Matthews to robi i że robi to od lat, więc wydawałoby się, że nic łatwiejszego, jak go dobrze obstarwić, zablokować i sprawa załatwiona. Może i wiedzą, ale co innego wiedzieć a zupełnie co innego odebrać Matthewsowi piłkę i nie dać się kiwnąć. Byłem kiedyś na meczu na boisku Chelsea, poszedłem by właśnie zobaczyć Matthews'a. I zdarzyło się, że jakiś zawodnik potrafił Matthewsowi odebrać piłkę. Cała trybuna szalała i oklaskiwała — oczywiście owego zawodnika czy szczęściarza, któremu powiodło się to co się rzadko komu powieść może.

Anglicy wiedzą jak uczcić taki talent, taki geniusz. W marcu 1957 królowa przyznała mu order „Komandora Orderu Imperium Brytyjskiego“ (CBE), a później — gdy Matthews był dla wszystkich legendą, rajcowie londyńscy nazwali jedną z ulic wiodącą na stadion Wembley imieniem Stanley'a Matthews'a, a w styczniu 1965 podniesiony został Matthews do stanu szlacheckiego i może odtąd używać przy swoim imieniu i nazwisku dodatek: SIR. Już nie mówią o innych honorach: gdy przed dwoma laty jego klub Stoke City obchodził 100-lecie swego istnienia, miasto Stoke-on-Trent nadało mu godność honorowego obywatela. wreszcie dwukrotnie ogłoszony był „piłkarzem roku“ (ostatni raz w 1963 r., gdy liczył sobie 48 lat).

Stanley Matthews to nie tylko spor-

towiec-gentleman na boisku, co do tego nie ma żadnej wątpliwości, ale to także sportowiec w życiu codziennym. Od wczesnej młodości nałożył na siebie żelazną dyscyplinę: codziennie ranna gimnastyka, żadnego palenia, żadnego alkoholu. Dzięki temu potrafił zachować wspaniałą, wręcz imponującą formę w ciągu 34 lat czynnej kariery sportowej w czasie której należał za ledwie do dwóch klubów: do Stoke City i do Blackpool.

Z piłką „zetknął“ się po raz pierwszy gdy miał lat 15. Poszedł zresztą po innej drodze aniżeli jego ojciec — fryzjer z zawodu a bokser w wadze piórkowej z zamiłowania. Gdy miał lat 16 grał w rezerwowej jedenastce Stoke City, w klubie w którym był gościem czy sprzątaczem na trybunach. W 1933 klub jego zaawansował do I ligi, oczywiście dzięki wielkiemu już wówczas talentowi Stanley'a. Sztukę tę udało mu się powtórzyć 30 lat później w 1963 r., gdy miał już 48 lat. Podobno Matthews brał udział w 2.000 meczach piłkarskich. Któryż piłkarz może się pochwalić takim rekordem!

W maju 1946 Stoke City sprzedał swego gracza — a Stanley liczył wtedy już 32 lata — FC Blackpool za 11.500 funtów. A więc za śmieszną wprost sumę, gdyż — jak się wydawało — kariera jego już się kończy. A tymczasem właśnie wtedy Matthews pokazał swoją najwyższą klasę. Reprezentował stale barwy Anglii (84 razy), a do legendy należy wielki finał w 1953 r. o Puchar Anglii między Blackpool'em a Bolton Wanderers. Na 20 minut przed końcem meczu Bolton prowadził 3:1 i wtedy właśnie stał się prawdziwy cud. Był to „mecz życia“ dla Matthews'a. Dzięki jego fenomenalnym podaniom Blackpool uzyskał prowadzenie, a w końcu pożądane zwycięstwo. Wszystkie zresztą bramki, słynne „bramki Matthews'a“ zdobyte zostały z jego podania. „To był szczyt mojej kariery“ — oświadczył później Matthews, gdy publiczność zniosła go na ramionach z boiska. Ten mecz należy do najświetniejszych meczy w historii piłkarstwa angielskiego, równie sławny jak mecz z Węgrami w 1954, którzy roznieśli Anglię na jej własnym terenie w stylu — także na stadionie Wembley — o którym dziś jeszcze mówi się z przymrużeniem oka.

W październiku 1961 r. wrócił Matthews, naprawdę już stary, do swego klubu macierzystego, do Stoke City, do którego należał przez lat 15. Oddano go, a raczej sprzedano za jakieś 2.000 funtów (jeśli się nie mylę) a więc za sumę wręcz kompromitującą dla każdego piłkarza. Ale był to raczej gest symboliczny aniżeli prawdziwa transakcja handlowa. I od tego miesiąca wstąpił — jak czytamy to

wszędzie — jakby nowy duch nie tylko w drużynę ale w całe miasto. Gdy do niedawna jeszcze na boisku nie było więcej jak kilka tysięcy widzów, teraz, gdy marnotrawny syn wrócił — liczba kibiców wzrastała z każdym meczem ... 20.000 ... 30.000 ... 40.000 widzów. Dwa lata później Stoke City znalazł się znowu w pierwszej lidze i spłacił wszystkie długi.

Oczywiście w ciągu swej wieloletniej kariery Stanley Matthews — i słusznie — uciułał sobie nie mały majątek. Jest współwłaścicielem fabryki butów piłkarskich, właścicielem hotelu w Blackpool, posiada jeszcze dwa inne przedsiębiorstwa sportowe i sporo akcji. Musi przecież dbać o swą rodzinę i swych dwoje dzieci, córkę Jean i syna Stanley'a juniora, utalentowanego tenisisty, który jednak — jak wynika z dotychczasowych wyników — nie zdołał stawy ojca.

Jak napisał Bernard Joy w londyńskim „Evening Standardzie“ z dnia 13 lutego br. w artykule pt.: „Największy piłkarz jakiego w życiu widziałem“:

W czasie całej jego kariery kierował się następującą zasadą: mecz jest ważniejszy niż klub, a klub jest ważniejszy niż jednostka. I dlatego nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa w formie odwetu i gdyby grał jeszcze dalsze 33 lata w pierwszorzędnym klubie nigdyby nie przekroczył przepisów. Swoją karierę jako zawodowy gracz rozpoczął gdy miał lat 15, zamiatając podłogi na stadionie i czyszcząc buty. Kończy swą karierę jako największy mistrz spośród wszystkich graczy będąc nadal jedynie sługą meczu.

Zaprawdę Stanley Matthews jest „pierwszym rycerzem piłki nożnej“.

Gdy Sir Stanley Matthews zagrał w kwietniu swój ostatni mecz i zeszedł wśród wiwatów i holdów z boiska, angielska i światowa piłka nożna straciły wielkiego gracza i sportowca. Piłka nożna stała się uboższa o gracza, dla którego fair-play, coraz rzadziej oglądany na boiskach angielskich, był najbardziej charakterystyczną cechą tej niezapomnianej sylwetki sportowej!

Paweł Hęciak

### Józef Garliński „Z I E M I A“

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.  
171, Battersea Church Road,  
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich



(Dokończenie ze str. 33)

— Oho — pomyślał pułkownik — pułapka.

— Nie mogę być z wami, bo jestem Brytyjczyk — odpowiedział stanowczo.

— No niech będzie — ubek westchnął i zaglądnął do notesu na nowo. — A niech pan nam powie? Jest pan członkiem Koła?

— Jakiego Koła? A zresztą to przecież nic złego.

— Jeżeli nic złego, to niech pan nam powie, co było mówione na zebraniu w dniu piętnastego lutego tego roku.

(A właśnie wtedy uchwaliliśmy rezolucję w sprawie Ziemi Odebranych).

— Nie przypominam sobie.

— Pan był przewodniczącym i nie przypomina sobie?

— Jestem stary — przyznał się pułkownik — i nie pamiętam.

I tak zaczęło się maglowanie. Niby przyjemnie, po przyjacielsku, ale flaczek po flaczku wyciągali z naszego pułkownika.

— No i powiedzcie? — pytał nas teraz siedząc w rogu kanapy jak spłoszony królik, a nie bohater. — Powiedzcie, czy mogę chodzić na nasze zebrania? Nie mogę. Tu siedzę, jak kto przyjdzie, to, owszem, napiję się wódki albo piwa i porozmawiam od serca. Ale na zebraniu nie pójdę.

— Et — machnął ręką Pucikiewicz — takie to zebranie, bez ikry!

— Ale nie mogę — upierał się pułkownik. — Jeżeli teraz mnie zapyta: Co mówiono na zebraniu? To powiem szczerze, bez ogródek: Nie wiem, nie byłem. Ot co!

Jakoś nam się smutno zrobiło i mnie i Pucikiewiczowi.

— Musi pan pułkownik tamjechać? — spytałem ostrożnie i obejrzałem się, czy pani Klarysy nie ujrzę gdzieś blisko.

— Co mam zrobić? — westchnął pułkownik — w zeszłym roku było wesele żoninej córki, w tym roku chrzciny. Regularnie. Kobieta jak smok i zięć chętny, choć chudy. Zanoszą się na to, że co roku będą jeździć.

Pomyślałem, że właściwie mogłaby ona sama chrzczyć swoje wnuki, a nie wciągać w to naszego bohatera.

Siedział wciśnięty w róg kanapki jakby w pozycji obronnej. Miał do-

bre nowe ubranie z pierwszorzędnej szewioty, miał bielutką koszulę i krawat czerwony z jedwabiu i wstążeczkę w klapie.

Jednak plecy mu się zgarbiły, piersi zapadły, wstążeczka wyglądała jak oznaka za rany. I to głębokie.

Poszliśmy na górę strapieni. Pomyśleliśmy, że jak tak pójdzie...

W hallu otarła się o nas wielkim biustem, przewiała nas zapachem i ogłuszyła prędkimi słowami pani Klarysa.

— Byliśmy w Zakopanem, a jakże — mówiła do jakiejś pani. — W tym roku będziemy w Jastarni. Proszę pani, wakacje tylko w Polsce! Najtaniej.

Zatrzymałem się na pokrytych miękkim dywanem schodach.

— Panie Pucikiewicz, panie poruczniku, jak to nasz Korzeń wołał? Do jasnej cholery!

— Ciszej — psykał Pucikiewicz. — Ciszej, panie poruczniku Złotko, bo nas stąd wyrzucą. Tu nie mają względu na naszą przeszłość.

Czy warto było być żołnierzem liniowym? Dla bohaterów życie jest bardzo okrutne.

Czesław Dobek

### POLITYKA NA TORZE WYŚCIGOWYM

W Sztokholmie miały się odbyć międzynarodowe wyścigi konne. Zgłoszono kilkanaście koni. Ale tuż przed wyścigiem niektóre konie zachorowały, paru dżokejów zastrajkowało i w rezultacie biegały tylko 2 konie: amerykański i sowiecki. Koń amerykański zwyciężył, wyprzedziwszy rywala o kilkanaście sekund.

Nazajutrz dzienniki amerykańskie wydrukowały sprawozdanie, podając różnice w sekundach i metrach.

W Moskwie „Izwestia“, nie pełniąc jaskrawego kłamstwa, wydrukowała takie sprawozdanie:

„W Sztokholmie odbyły się międzynarodowe wyścigi konne. Zgłoszono kilkanaście koni. Nasz wspaniały rymak „Komunist“ wywalczył sobie 2-gie miejsce. Natomiast koń amerykański przyszedł do mety... przedostatni“.

Rzecz prosta, takie sprawozdanie uradowało wielu komunistów.

(LWIL)

**CZYTAJ  
POLSKĄ  
KSIĄŻKĘ**

### A MOŻE MAO MA RACJĘ?

(Dokończenie ze str. 6)

że można iść daleko, ewentualnie coraz dalej w stawianiu warunków politycznych Sowiecom i że znaczą część ich Sowiety będą musiały przyjąć w braku alternatywy. Być może, że pewne warunki wstępne, np. dotyczące pewnych reform ekonomicznych i zarządzeń liberalizacyjnych w gospodarstwie sowieckim zostały już przyjęte i że to właśnie tłumaczy ostatnie zmiany w zarządzie przemysłem i rolnictwem sowieckim.

### WSZYSTKO ZALEŻY OD U. S. A.

Jasne jest jednak, że główne i najcięższe dla Sowieców do przyjęcia będą warunki polityczne. Amerykanie będą mogli pójść na ten typ współpracy ekonomicznej i w tej skali tylko, jeżeli: 1) będą mieli gwarancję ze strony Sowieców, że dostarczone im kredyty nie będą obrócone przeciw USA — np. na brojenia, 2) na finansowanie rewolucji w sferze wpływów USA, 3) na kontynuowanie sowieckiej polityki kolonialnej. Wszystkie te warunki zawierają w sobie postulat kontroli i sankcji np. w postaci przerwania współpracy. Oficjalnie Sowiety nie mogą się nigdy zgodzić na te warunki, ale w praktyce i po cichu może być inaczej. Być może, że właśnie ten rodzaj nieuniknionej kontroli wierzyciela nad dłużnikiem Mao Tse nazywa „kapitulacją“ Sowieców.

Jakby nie było — układ sowieckiej „dziury inwestycyjnej“ i amerykańskiego „kołka nadprodukcji“ we właściwej proporcji na pewno istnieje i mechanizm tego układu, zwłaszcza na tle malejącej potrzeby zbrojeń, na najbliższe lata będzie stwarzał trend decydujący dla rozwoju polityki światowej. Tylko od USA zależy, czy trend ten będzie sprzyjał interesom całej cywilizacji zachodniej.

Zasługą Mao Tse jest, że nie tylko dostrzegł ten układ, bo to dostrzegło też wielu innych, ale także postawił jego istnienie jako zagadnienie polityczne w skali światowej. Powszechny los Europy również w dużej mierze będzie zależny od wypadkowej sił działających w tym układzie, od dynamiki kierunku tego trendu. Ale to jest zagadnienie, co do którego Mao Tse jeszcze się nie wypowiedział tak jasno, jak o rewizjonizmie i polityce koegzystencji na Kremlu — i z tak dużą dozą racji.

Tadeusz Norwid

# ŻYCIE

## KULTURALNE

### POLSKIEGO

### LONDYNU

#### TEATR I REWIA

#### Ref-Ren niestrudzony

#### i niezawodny. Zapowiedzi

#### Hemara i Kielanowskiego

W naszym życiu teatralnym „królujecie” prawie od roku rewia, której panowanie trwa głównie za sprawą jednego autora, reżysera i kierownika zespołu — Feliksa Konarskiego (Ref-Rena). Prawdopodobnie dla przerwania tej monotonii formy scenicznej autor nazwał ostatnie widowisko: „Ryby śpiewają nad Tamizą”, komedią muzyczną w 2 aktach i 13 obrazach, z libretto i muzyką Ref-Rena. Z podobnym rodzajem widowiska Ref-Ren występował już niejednokrotnie i choć nie ma po temu specjalnej jubileuszowej okazji warto przypomnieć poprzednie precedensy. W r. 1952 wystawił „Rycerzy bez zbroi” — żart atomowy w 3. wybuchach — osnuty na tle kłopotów właściciela sklepu p. f. G. and G. & G. Supply. W rok później wystąpił z „Kopciuszkiem z Hammesmith” — żartem scenicznym w 2 aktach, którego przedstawienia przerwał pożar sali teatralnej „Klubu Białego Orła”. Wreszcie dokładnie 10 lat temu przyszła Offenbachowska operetka „Piękna Helena” w przeróbce Ref-Rena. I oto znów powróć do ulubionego tematu przyśmieszeków ze sklepu b. płk. Konstantego Piorunkiewicza i z „Beatłów”.

Dzieje wybawienia świata od „pop-songów” przez polskich „beatłów” przewzanych „Wesołymi keepersami” są cieniutką niteczką, na której Ref-Ren nawlókł ze dwa tuziny scenek, niczym paciorki o różnym blasku i kolorze. Piosenka, wiersz, skecz, taniec luzują się na przemian bardziej jak w rewii, niż komedii, niemniej wszystko składa się na niewymuszony kalejdoskop, którym widowia bawi się serdecznie. Pomysł peruk beatłowskich, reportażu radiowego i orkiestry jazzbandowej przypadają na drugą część widowiska. W nich króluje komizm N. Oleńskiej, M. Malicza i S. Zięciakiewicza. Wtórąje im ze szczerym entuzjazmem, jako ich „fan”

E. Suzin, a w całość wiąże poszczególne paciorki z właściwą sobie dyskrecją sam Ref-Ren, tym razem poważnie wspomagany przez Irenę Delmar. W scenkach czy piosenkach wykazuje ona coraz więcej artystycznego wyrobienia i walorów scenicznych, które stają się dla widza główną atrakcją, nie przesłoniętą urodą osobistą czy bogatymi toaletami. J. Smosarski okraszył całość kilku akcentami dekoracyjnymi.

To, że przez ubiegły rok Ref-Ren, wspomagany organizacyjnie przez B. Kollera, nie dał zarzewiu teatru zgnać zupełnie, przypisać mu trzeba będzie jako szczególną zasługę w tym bardzo trudnym okresie.

Jeśli tym razem znowu zapowiedzi nie zawiodą, doczekamy się już niezadługo występów Teatru Hemara i nowego widowiska teatralnego w reżyserii L. Kielanowskiego. Krzyżujmy palce, stukajmy w nieheblowane drzewo, aby majowy walny zjazd ZASPZ przyniósł tylko miłe niespodzianki. Należy pamiętać, że Feliks Konarski jest nie tylko urzędującym prezesem ZASP'u, ale i autorem zasilającym w widowiska rewii kontynent amerykański. Już zaczęły napływać pierwsze echa z objazdu 30 ośrodków polskich w Kanadzie i Stanów Zjednoczonych przez zespół sprowadzony z kontynentu europejskiego przez Jana Wojewódkę. Wchodzi w jego skład: pp. Danuta Czyrska, Kazimierz Pawłowski, Renata Bogdańska, Kazimierz Turewicz z Londynu i Jan Swawczyński z Paryża. D. Czyrska i J. Swawczyński powrócili już z Ameryki.

#### TANIEC

#### Zespół „Mazury”

Zespół tańców i pieśni ludowych Polskiej YMCA „Mazury” urządził swój pokaz w sali teatralnej Instytutu Wspólnoty Narodów w Londynie. Oprócz tańców ogólnonarodowych, jak „Polonez”, tym razem mało udany, lub „Mazur” i licznych tańców regionalnych, śląskich, góralskich, kujawskich, krakowskich czy wielkopolskich, gdzie nie brakowało i lwowskiego „Sztajerka”, niejednokrotnie efektownie ułożonych, była także próbka inscenizacji całej scenki baletowej „Umarł Maciek, umarł...”, temat już wielokrotnie wykorzystywany przez zawodowe balety sceniczne. Choć zawierał on doskonałe poszczególne tańce, zwłaszcza brawurowe oberki z wymyślnymi podskokami, to jednak jako całość był raczej nieporadny i wymagałby gruntownego przepracowania. Efektowną wkładką było sprawne wykonanie na trąbce hejnału mariackiego przez Jana Malarza, b. członka zespołów orkiestrowych 2. Korpusu, podobnie jak i wprowadzenie, co prawda nazbyt mechaniczne i bez

powiązania z resztą widowiska, postaci Lajkonika w dziarskim wykonaniu J. Kazimierczyka. Z części wokalnej podnieść należy udział Kaliny Włodarczyk, bodaj z dawnego zespołu „Mazowsza”, która bardzo przekonująco interpretowała polskie piosenki. Jeśli idzie o chóry, to dużą zasługę w ich wyrobieniu ma H. Kamińska, a w zakresie muzyki i akompaniamentu: B. Dulęba, G. Swann, R. Jankowski i J. Grynkiewicz.

Nad całością czuwa p. Irena Różycka, która celowo dysponuje rozporządzanymi talentami, wśród których wymienić można A. Ruszkowską, W. Lesieckiego, B. Oziębło i świeżo pozyskaną Bogusławę Kłakównę. Listę tę można by znacznie przedłużyć. W pracach organizacyjnych pomocny jest zarząd Koła, któremu przewodniczy J. Różycki.

#### Wątpliwości

Mimo tylu cennych talentów i wielkiej ochoty do pracy, charakter jej w tym zespole, jak również i w innych jemu podobnych, nasuwa wiele trosk w kołach wykwalifikowanych etnografów. Trudność nawiązania kontaktów i wzajemnego zrozumienia się pociąga za sobą tę konsekwencję, że zasadnicza idea przyświecająca tego rodzaju zespołom niezawodowym uprawiającym tańce polskie ulega z czasem coraz większemu spaceniu. Zamiast odtworzenia i kultywowania w możliwie nieskażonej postaci prawdziwych polskich form tańca ludowego, uprawia się coraz bardziej oderwane od właściwego podłoża formy tańców stylizowanych lub scenicznych, baletowych. Sytuację pogarsza fakt, że niejednokrotnie nie można polegać na najnowszych wzorach przenoszonych z Kraju, czy to przez żywe zespoły, czy też przez niektóre publikacje, które pozostają pod presją obcych wpływów w pojmowaniu żywego folkloru. Nie tu miejsce na zarządzenie sprawie, ale nie sposób ciągle pomijać tej trudnej sytuacji milczeniem.

„Mazury” mają niejednokrotnie sposobność występować przed angielską lub inną obcokrajową publicznością. Ostatnio czyni tak zespół „Tatr”, jak o tym wiadomo ze sprawozdań z jego udziału w wiosennym balu w Savoy'u. Młodzież polska strojem narodowym i swojskim obyczajem tanecznym zwraca uwagę szerszych kół na uroki polskiej odrębności kulturalnej, tym bardziej byłoby pożądane, aby mogła to czynić w oparciu o walory nie tylko widowiskowe, ale etniczne.

#### MUZYKA

W dziedzinie muzyki dzieje się prawie tyle co nic. Nie znaczy to, aby



chóry nasze nie pracowały w wewnętrznych ramach swych organizacji, czego wyrazem m. in. było Walne Zebranie Chóru im. F. Chopina, odbyte niedawno. Ale bodaj żywszy jest ruch na prowincji, wyrażający się w obchodach jubileuszowych czy to Chóru „Halaka“ w Leicester czy im. Moniuszki w Manchester. W maju odbyło się szereg koncertów polskich w wykonaniu artystów z Kraju lub spoza Anglii, rozpoczęty występem skrzypka H. Szerynga w Royal Festival Hallu w końcu kwietnia. Chłuba Londynu, bas Marian Nowakowski, święci dalsze triumfy artystyczne w odległej Jamajce, gdzie na galowym koncercie był w przerwie przedstawiony Królowej-Matce Elżbiecie.

Systematycznie, co dwa tygodnie, urządza swoje wieczory w Domu Lotników Klub Piosenek - brali w nich udział: N. Grudzińska, S. Horwat, I. Delmar, I. Sobieniewska, S. Błaszczki, J. Brzeski, T. Valdi pod kierownictwem W. Budzyńskiego i przy akompaniamencie zespołu S. Norberta.

### SZTUKI PLASTYCZNE

Najwięcej ruchu jest nadal w dziale sztuk plastycznych. M. Bohusz-Szysko prowadzi swe wycieczki niedzielne po muzeach londyńskich, komentując nowe nabytki w National Gallery, sztukę przedhistoryczną w British Museum, marynistów w Wallace Collection, a nadto kontynuując swój cykl odczytów „1.000 lat sztuki polskiej“, omawiając na ostatnim wieczorze dorobek P. Michałowskiego i jego czasów.

#### Halina Sukiennicka, Janina Baranowska

Z nowych wystaw główną uwagę zwróciły na siebie dwie. Jedną z nich — Haliny Sukiennickiej w Polskiej YMCA pod hasłem: „Wilno — w rysunkach i gwaszach“, jakkolwiek wśród 30-kilku pokazanych prac znajdowały się i oleje, i obrazy o innej tematyce. Był to pamiętnik imaginacyjny rodowitej wilnianki o szczególnych walorach plastycznych, jednolity w charakterze „kreski“ prowadzonej pędzlem, łączącej prostą głębię odczucia z artystyczną wiernością oddawanego przedmiotu i nastroju.

Druga wystawa była Janiny Baranowskiej (w Galerii Grabowskiego), która w 20-tce prac dała 20 wybuchów swego dynamizmu formalnego i kolorystycznego, szukając, zgodnie ze swymi założeniami programowymi, kontaktu z widzem przez częściowe ufiguralnienie swych koncepcji abstrakcyjnych. Na przestrzeni zaledwie 10-lecia samodzielnej pracy artystycznej, po studiach na Politechnice Londyńskiej i w Stu-

dium Malarstwa Stalugowego, zdobyła sobie nie tylko liczne galerie w Anglii i Szkocji, ale wystawami i udziałem w kolekcjach prywatnych sięgnęła po Polskę, Francję, Niemcy, Stany Zjednoczone, Argentynę i Australię. Towarzyszy jej pracom w salach galerii młody malarz angielski Telfer Stokes, ur. w 1940, który wykazuje niezwykle na swój wiek rozmach, jakby specjalizując się w abstrakcyjnych kompozycjach ściennych o żywej kolorystyce.

Gdy rozbrzmiewają wciąż echa wystawy rzeźb Tadeusza Zielińskiego w Cassel Galery, Galeria Grabowskiego ma „w zanadrzu“ dzieła innego artysty tegoż imienia, Krystyna Zielińskiego z Polski, ur. w 1929, specjalizującego się w płaskorzeźbie w metalu. Wychowanek łódzkiej szkoły artystycznej wystawia swe prace od 1960 r. i już w r. 1963/64 zdobył sobie nagrodę państwową. Reprodukowana kompozycja daje pojęcie jak z prostych elementów, prawie użytkowych (niby z nakrywek od puszek, lub w innym wypadku z miseczek łyżki), powstaje całość o wartościach graficznych zależnych w dużym stopniu od właściwego oświetlenia.

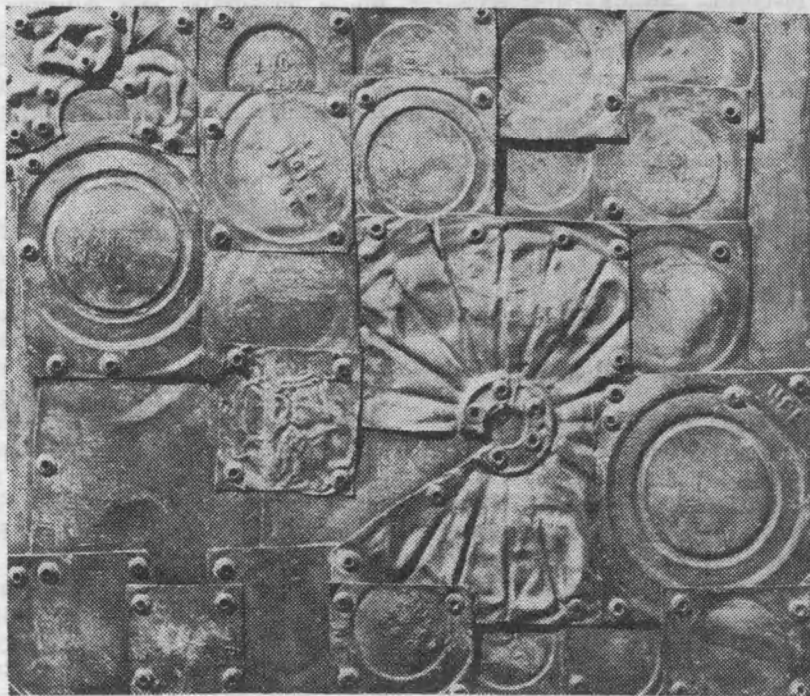
W swej żywiołowej ekspansji plastyka nie zna granic. J. Baranowska, S. Frenkel i M. Łączyński wystawiali w kwietniu w Pałacu Sztuki w Krakowie. Ryszard Demel brał udział w wystawie zbiorowej włoskich artystów w Padwie, w antycznej Scuola di San Rocco. Polski artysta przeniósł się już przed kilku laty z południowej Anglii

do północnych Włoch. Jan Le Witt przygotowuje na lato wystawę w Antibes na Riwierze francuskiej. Gierowski wystawia w Galerie Lacleche w Paryżu. W Londynie odbył się nadto w Klubie Lotników pokaz artystycznych pisanek Danuty Giercuskiewicz, uzdolnionej malarki i dekoratorki.

### ODCZYTY I ZEBRANIA NAUKOWE

Gdyby nie oplakany zwyczaj nagromadzania zebrań wszelakich na jeden dzień w tygodniu, co trwa już dobrych 15 lat, w kwietniu przypadłby jeden odczyt co drugi dzień. Trzymanie się nadal zasady, iż każdy sobie rzepkę skrobie, uniemożliwia niejednemu gorliwemu obserwatorowi życia umysłowego w tym wciąż najżywszym ośrodku polskim na emigracji, jakim jest Londyn, dokładniejsze z nim zapoznanie się. Ograniczyć się więc należy do summarycznego scharakteryzowania tego działu.

Zagadnieniom technicznym poświęcony był odczyt inż. T. Jaskólskiego omawiający pracę o nadajnikach telewizyjnych. Towarzystwo Naukowe urządziło, poza zebraniem z referatem M. Pawlikowskiego o „Zagadkowym portrecie Joanny Aragońskiej“ przypisywanym Rafaelowi, (istnieje wiele kopii tego obrazu), urządziło zebranie obu wydziałów, na którym prof. J. Rżóska mówił o „Obecnych poglądach na ewolucję człowieka“.



„MEDIUM I METAL“ —

Kompozycja Krystyna Zielińskiego w „Galerii Grabowskiego“

**Towarzystwo Historyczne**

Tow. Historyczne urządziło odczyt płk. A. Sawczyńskiego n. t. recenzji z książki płk dr Eugeniusza Kozłowskiego o przedwrześniowym wojsku polskim (w latach 1936-39). Po przedstawieniu ogólnych założeń tej pracy, jej braków i zalet, prelegent zreasumował swoje wnioski w ten sposób, iż książka ta daje duży materiał faktyczny, oparty na pierwszorzędnych źródłach, jest przykładem solidnej pracy badawczej i posiada pod tym względem wartość, która szybko nie przeminie. Ale jak należało się spodziewać, w warunkach w jakich była przygotowana, jest ona tendencyjna w swych założeniach, w swym osądzie wypadków i osób. Niemniej wypowiedzi w tych sprawach ujęte są w sposób spokojny i kulturalny. Wieczór ten, jak i sama książka, wzbudziły żywe zainteresowanie w szerokich kołach wojskowych, co też znalazło wyraz w dyskusji, jaka potem się rozwinęła. Zebraniu przewodniczył płk. dr S. Biegański.

**Instytut Badania Zagadnień Krajowych**

Instytut Badania Zagadnień Krajowych, wspólnie z Szkołą Nauk Politycznych i Społecznych, urządził odczyt prof. B. Hełczyńskiego pt. „Obecna sytuacja wolnych zawodów w Polsce“ w sali Instytutu „Reduty“. Nastąpiło to po ukonstytuowaniu się nowego zarządu I. B. Z. K. w składzie: przewodniczący — dr W. Czerwiński, wiceprezesa J. Poniatowski i O. Stepan, sekretarz generalny St. J. Paprocki, skarbnik J. Martin, członkowie: A. Ciołkosz, dr Biegański, T. Drzewiecki i dr J. Mękarska. Pozwala to uzupełnić i sprostować informacje w poprzedniej kronice, iż do zarządu wszedł również p. B. Podoski, co w rzeczywistości nie nastąpiło.

**Wieczór Wileński**

Z wieczorów o charakterze literackim i artystycznym wspomnieć należy „Wieczór Wileński“ w Polskiej YMCA, otwarty przez dr H. Sukiennicką, a utrzymany w charakterze spotkania towarzyskiego przy stolikach. Po powitaniu zebranych wśród których znajdowali się i goście litewscy, przez wicemarszałka B. Podoskiego, odbyła się część artystyczna. Złożyło się na nią wykonanie na pianinie wiązanki melodii polskich przez p. Z. Krukowską, odczytanie gawędy polskiej przez p. F. Wyśloucha, przemówienie M. Bohusza-Szy-

szki o wywodzącej się z atmosfery Wilna twórczości plastycznej I. Jakubowskiej i H. Sukiennickiej. Wreszcie M. Czerniawski mówił o wielkanocnych zwyczajach na wileńszczyźnie: taczaniu jajek i Ałujnikach, wielkanocnych odpowiednikach kolędników bożenarodzeniowych.

Miesięcznik „Kontynenty“ nie tylko wydał swój kolejny numer, w którym novum stanowią przekłady wierszy Zbigniewa Herberta na niemiecki przez Karla Dedeciusa i jednego na hiszpański przez F. Śmieję, ale urządził dalsze dwa zebrania literackie. Na jednym Lucjan Blit, autor „The Eastern Pretender“ (Wschodni samozwaniec), mówił o „bohaterze“ swej książki — B. Piaseckim, a drugi poświęcony był poezji. Udział w nim wzięli o. W. Chabrowski i Z. Grabowski. Poza odczytaniem wierszy o Chabrowskiego przez autora i Ewę Suzin, Teresa Nowakowska recytowała wiersze J. Sity z Warszawy i F. Śmieji z Nottingham.

W Klubie Towarzystwa Zjednoczenia Polek, Zofia i Kazimierz Pacewiczowie wygłosili pogawędkę opartą na wspomnieniach z podróży „Przez Pireneje od morza do oceanu“. Miesiąc zamknięty został odczytem dr Wit-Tarnawskiego o żeromskim urzędzie przez Zw. Pisarzy Polskich z racji minionego w zeszłym roku 100-lecia urodzin wielkiego prozaika połączony z odczytaniem wyjątków przez J. Opieńskiego.

Tak czynni w ubiegłym roku filatelisanci przenieśli się na ten rok na prowincję, urządzając swą doroczną wystawę pt. „Polfilex 1965“ w Leicester. Zorganizowana została ona pod hasłem „Skrzydła w przestworzach“ z okazji 25. rocznicy Bitwy o Wielką Brytanię.

**NEKROLOGIE**

Ta rubryka zawiera znów kilka nieodżałowanych pozycji: zgon ekonomisty Stanisława Gryziewicza (1904-1965) zmarłego w Paryżu, którego pamięci poświęciliśmy wspomnienie w numerze majowym; Seniora techników polskich, działacza socjalistycznego i publicyści, który umieszczał wiele artykułów w „O. B.“, pierwszego ministra komunikacji Polski niepodległej z r. 1919; Jerzego Iwanowskiego (zmarł 1965); Dziennikarza Jerzego Szyszko-Bohusza (1903-1965), pracującego w Radio Wolna Europa w Monachium i pisarza Artura Maryi Swinarskiego (1900-1965), zmarłego w Wiedniu. Kto wie, czy nie należałoby tu wymienić i Heleny Rubinstein (1875-1965), światowej sławy kosmetyczki rodem z Krakowa?

Jan Ostrowski

**PRZEKŁADY  
WACŁAWA  
GODLEWSKIEGO**

Zapowiedziano ukazanie się dwu przekładów literatury polskiej na język francuski. Jednym z nich jest poetycka proza Jana Kasprowicza „O bohaterskim koniu i walącym się domie“, wydana przez PIW w 1960 r., a drugim „Pieśń o nadziei“ J. Zawiewskiego.

Obu przekładów dokonał prof. Wacław Jan Godlewski z Lille (Francja), znany już ze swego współdziałania w dokonaniu przekładów „Lalki“ Prusa (1962) i „Zegara Słonecznego“ J. Parandowskiego (1961), wydanych przez Collections UNESCO, del Duca, Edition Mondiales, Paris.

Prof. Wacław Jan Godlewski urodził się w r. 1906 w Niewieżnikach w Litwie Kowieńskiej. Dzieciństwo spędzone na tej ziemi ma już dla niego atmosferę Mickiewiczowską. Mieszkał wówczas w Upicie („Popas w Upicie“). W pobliskim Poniewieżu ukończył polskie gimnazjum. Studia wyższe zaczął najpierw w Montpellier 1926/1927, potem w Instytucie Katolickim i na Sorbonie w Paryżu i w Szkole Języków Wschodnich: historię powszechną i literaturę polską i francuską. Filologię słowiańską i polską słucha u prof. Henryka Grappin, a filozofię języka i symbolikę u W. Doroszewskiego, przebywającego wówczas w Paryżu.

Prof. Godlewski, poza swymi zawodowymi obowiązkami profesora dwu Uniwersytetów w Lille (Państwowe i Katolickie) oraz Wyższej Szkoły Dziennikarstwa i pracą tłumacza, jest też przedstawicielem twórczego wysiłku poetyckiego. W dwu językach: polskim i francuskim. W języku polskim wydał (1956) tom poezji: „Błyski losu“, obecnie ma w przygotowaniu zbiór wierszy „Szuwary Słoneczne“, w języku francuskim trzy pierwsze pieśni jego „poematu kosmicznego“ „Lucifer“ były wystawione na Festiwalu Uniwersyteckim w r. 1961, a w r. 1963 odegrano w Lille na Festiwalu Uniwersyteckim jego oratorium poetyckie „Chemin de Croix“, wydane potem w osobnej odtbitce. Dwa zbiorki liryków „Algues et Pierres“ i „Verrieres romans“ czekają na druk.

Poezja jego odznacza się charakterem religijno-mistycznym, gdzieś na pograniczu uniesień Claudela i dogłębnych wizji Micińskiego.

Można ustosunkować się krytycznie do wyboru przez tłumacza poetyckiej prozy Kasprowicza — niektórym może



się ona wydać bardzo zapóźniona w formie swego wyrazu, zarówno myślowo, jak i formalnie, ale nie można lekceważyć tendencji i wysiłków autora, pragnącego dostarczyć czytającej publiczności francuskiej dzieł najlepszych polskich pisarzy według własnego wyboru. Kasprówic jest bliski muzeum prof. Godlewskiego: pisał już na tematy dotyczące Kasprówicza wprowadzając na II Kongresie literatury porównawczej w Lille swój komunikat zatytułowany „Ibsen i Kasprówic“. Odbitka w aktach Kongresu, wydane u Didier, Paryż.

Nie zaniedbuje też prof. Godlewski pracy szerzącej wiedzę o naszych wieszczach. W wydawnictwie „Revue de Sciences Humaines“ w 1955 roku, w numerze poświęconym specjalnie Mickiewiczowi, ogłosił studium „Les Pelerins de l'Avenir“ (Mickiewicz i Lammenais), a w roku 1959 — także — opracował numer poświęcony Słowackiemu, umieszczając tam swe studium zatytułowane „Notes sur l'art dramatique de Słowacki“. Wygłosił też w roku 1955 jubileuszowy odczyt na Uniwersytecie Państwowym w Lille p. t. „Adam Mickiewicz“, wydany potem jako osobna odbitka przez Uniwersytet.

#### NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

### „W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYP“ — 171, Battersea Church Road,  
London, S. W. 11.

Niestrudzona praca naukowa profesora Godlewskiego i jego zapał polszczenia musi dawać nienajgorsze rezultaty, skoro połowa jego wykładów uniwersyteckich odbywa się w języku polskim (— dla zaawansowanych: Język i literatura polska), a powierzenie mu tłumaczeń UNESCO oraz przegądu tłumaczeń dokonanych przez francuskich polonistów: Simone Deligne i Michel Marcq, podkreśla zaufanie czynników kompetentnych dla jego wysiłków.

Wysiłki te są nienajmniejsze w świetle ukazanych tu tytułów jego publikacji, wykładów i rozlicznych aktywności, zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę stan zdrowia profesora, nadzarpnięty pobyt w obozie Mathausen. W latach wojennych 1939/40 był on zast. delegata Min. W. R. i O. P. w Paryżu, a po klęsce Francji lata 1940 do 1944 r. poświęcił prof. Godlewski na prowadzenie Gimnazjum i Liceum Polskiego w Villard-de-Lans, pod Grenoble, którego był, wespół z prof. Z. Zaleskim, założycielem i dyrektorem, po wywiezieniu prof. Zaleskiego do Buchenwaldu. Jednocześnie był wykładowcą języka i literatury polskiej na Uniwersytecie w Grenoble. W r. 1944 prof. Godlewski został aresztowany przez Gestapo i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Matthausen.

Po powrocie z obozu prof. Godlewski objął w roku 1945 polonistykę na obu uniwersytetach w Lille i w latach 1945 do 1952 zorganizował i był opiekunem naukowym polskiego ośrodka akademickiego dla demobilizowanych żołnierzy polskich. Po odejściu na emeryturę prof. Hermana w r. 1959 prof. Godlewski objął całokształt polonistyki na uniwersytetach.

(H. Ż.)

B.D.I.C.

## P. C. A. PUBLICATIONS LTD.

### PROWADZI WŁASNĄ KSIĘGARNIĘ SPK

- bogato zaopatrzoną w prasę, wydawnictwa emigracyjne i krajowe,
- posiadającą skład główny (na zasadzie wyłączności) wszystkich wydawnictw: INSTYTUTU IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO,  
POLSKIEGO TOW. HISTORYCZNEGO W WIELKIEJ BRYTANII,  
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- zaopatrzoną we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych.

★

### Kupując polskie książki i pisma:

- sprawiasz sobie dużą przyjemność,
- spełniasz obowiązek obywatelski,
- pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,
- krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

### Polska książka w polskim domu

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najwłaściwszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA  
POCZTOWE  
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

20, Queens Gate Terrace,  
London, S. W. 7.

Tel.: KNI 3500



BIURO PODRÓŻY



## ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON  
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE  
LONDON, S. W. 7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY  
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNET.

„Znaleźliśmy schronienie w tym kraju po drugiej wojnie światowej. Zdradzeni przez sojuszników, pozbawieni możliwości powrotu do własnej ojczyzny oddanej na pastwę rosyjskiego najeźdźcy, wybraliśmy pobyt w tym kraju wolności i demokracji z wiarą w siebie i w lepszą przyszłość świata oraz Polski. Miasto Rugby, dla którego czujemy wdzięczność za łaskawie udzieloną nam gościnę, przyjęło w poczet swych mieszkańców ogółem 400 Polaków, głównie b. żołnierzy i ich rodzin.

Od pierwszych chwil naszego pobytu w tym kraju, obok pracy dla zabezpieczenia sobie bytu materialnego, odczuwaliśmy potrzebę życia organizacyjnego: już w roku 1949 założyliśmy tu Koło SPK, które postawiło sobie rozległe zadania ideowe, kulturalne i samopomocowe. Koło nasze jest komórką SPK w W. Brytanii, liczącą ponad 100 innych kół w tym kraju. Obok naszej organizacji powstały w Rugby: Koło Teatru Amatorskiego, Chór, Związek Harcerzy, klub sportowy „Bałtyk” oraz Szkoła Nauczania Przedmiotów Ojczystych.

Nasze życie organizacyjne napotykało jednak na trudności z powodu braku własnego ośrodka. Chcąc temu zaradzić, powołaliśmy w roku 1958 Komitet Budowy Domu Kombatanta, zobowiązując go do zbierania funduszy na ten cel. Energiczna działalność Komitetu, ofiarność miejscowych Polaków oraz ich brytyjskich przyjaciół, przychylność władz miasta Rugby, a przede wszystkim moralne i materialne poparcie władz głównych SPK, pozwoliły po pokonaniu dużych trudności przystąpić do budowy własnego ośrodka polskiego w styczniu 1964 roku.

W okresie następnych 10 miesięcy dzieło budowy Domu Kombatanta, dzięki ochotniczej pracy kilkunastu entuzjastów spośród nas, zostało doprowadzone do końca. Poświęcenie nastąpiło 14 listopada 1964. Od tej chwili dom nasz zaczął spełniać swą rolę ku wielkiemu zadowoleniu i radości całej polskiej społeczności w Rugby. Dokument niniejszy został umieszczony w murach tego budynku w dniu 9 maja 1965 roku dla upamiętnienia naszego pobytu w tym kraju i naszych wysiłków w służbie Polski.

W imieniu wolnych Polaków dokument ten złożył gen. dyw. Tadeusz Bór-Komorowski, bohaterki Dowódca Armii Krajowej“.

W powyższych słowach, wypisanych na pergaminowym papierze, złożonym w skrytce nowopowstałego Domu Kombatanta w Rugby, znajduje się cała historia i niezwykle wysiłek społeczeństwa polskiego tego małego, bo zaledwie 55 tysięcy mieszkańców liczącego miasta, w hrabstwie Warwickshire.

## Z myślą o młodym pokoleniu wybudowaliśmy własnymi siłami

DOM KOMBATANTA W RUGBY



Na zdjęciu od lewej: ks. infułat Bronisław Michalski, gen. Kazimierz Glabisz, za nim prezes Stefan Soboniewski, a następnie mayoress Mrs. Bradley, prezes Koła SPK w Rugby Z. Krause, gen. Tadeusz Bór-Komorowski i mayor miasta Mr. Bradley. Na froncie trzy małe Poleczki w strojach narodowych: Krysia Szydelko — lat 7, Anielcia Zielińska — lat 4 i Danusia Mencil lat 8. Zdjęcie przedstawia chwilę, gdy gen. Bór otwiera drzwi prowadzące do Domu Kombatanta tuż po przecięciu wstęgi przez mayora miasta.

Skrytkę nakryto tablicą z napisem: „Dla zachowania wiary i mowy ojców, z myślą o młodym pokoleniu, własnymi siłami zbudowaliśmy Dom Kombatanta dla upamiętnienia naszego wysiłku i pobytu w tym kraju “ A więc „z myślą o młodym pokoleniu“ dokonano niewątpliwie dzieła, które przynosi zaszczyt wszystkim Polakom w Rugby. A był to wysiłek wieloletni. Myślano o własnym domu polskim już w 1949 roku, przystąpiono do jego realizacji w 1958 roku, gdy na walnym zebraniu Koła SPK nr. 301 powzięto odpowiednią uchwałę, rozpoczęto budowę od stycznia 1964, a zakończono ją uroczystością oficjalnego otwarcia Domu w dniu 9 maja br.

Dom znajduje się w śródmieściu, na terenie wydzierżawionym przez miasto za cenę 250 funtów rocznie na lat 99 z prawem wykupu po 7 latach za 4.700 funtów. Wybudowanie Domu i zniewolowanie kosztować będzie ok. 15.000 funtów, ale już dziś wartość tej małej przestrzeni z domem wynosi ok. 25.000 funtów. Tak więc społeczeństwo polskie w Rugby zebrawszy u siebie drogą różnych imprez ok. 5.000 funtów, po wielu latach, zdobyło się na własny dom, w którym odtąd koncentrować się bę-

dzie całe polskie życie społeczne. Zasluga to także władz głównych SPK, które pomogły kwotą 4.700 funtów.

„Garstka fanatyków“ tych najbardziej zasłużonych przy budowie, jak ją nazwał ks. prob. Sowiński z Coventry na uroczystości poświęcenia Domu w listopadzie ub. r. to przede wszystkim: H. Przykuta, E. Piniecki, Z. Krause, I. Anczarski, H. Gawrysiak, inż. J. Łazorek, J. Jabłoński, J. Cwierko i B. Kossakowski i władze klubu sportowego „Bałtyk“ oraz panie: J. Łazorek i G. Unger. Robili wszystko — razem zakładali elektryczność i drenaż, skopywali ziemię, kładli murawę, przygotowywali dwa boiska na siatkówkę, parki samochodowe, malowali ściany i kładli tapety, szyli (panie oczywiście) firanki czy kurtyny. Ten wspólny wysiłek społeczny dał oszczędność na około 2.000 funtów, gdyż pracowano ochotniczo, bezpłatnie, honorowo od stycznia ub. r., codziennie, wszystkie weekendy do chwili obecnej. Oczywiście fundamenty i mury kładł przedsiębiorca angielski.

Ukoronowaniem tego wspólnego wysiłku był dzień 9 maja, gdy nastąpiło otwarcie Domu Kombatanta. Przecięcia wstęgi, zawieszanej przed drzwiami Do-



## DOM KOMBATANTA W MANCHESTER TO ZASŁUGA WIELU WYPRÓBOWANYCH DZIAŁACZY

mu dokonał mayor miasta Rugby w towarzystwie małżonki, Mr. Bradley w obecności gości londyńskich: gen. T. Bór-Komorowskiego, gen. K. Glabisza, prezesa Zjednoczenia Polskiego P. Hęciaka i prezesa Oddziału W. Brytania SPK S. Soboniewskiego. Po lampce wina odbyła się akademія 3-majowa w czasie której okolicznościowe przemówienie wygłosił gen. Bór-Komorowski. Z kolei prezes Soboniewski wręczył Honorowe Odznaki SPK wdowie po śp. Władysławie Pinięckim, który był jakby „ojcem duchowym“ budowy domu. Nie doczekał się jednakże swego dzieła, gdyż zmarł przed 8 miesiącami. Odznakę otrzymała wdowa po śp. W. Pinięckim oraz prezes Koła Z. Krause i b. prezes Koła J. Jabłoński za którego kadencji przeprowadzono i dokończono budowę Domu. W części artystycznej akademii, zagajonej przez prezesa Z. Krause, wzięli udział: Jadzia Przykuta, Piotruś Chlubek, dzieci szkoły polskiej, rewelersi Midlandu.

Punktem kulminacyjnym akademii było odczytanie przez prezesa Jabłońskiego w języku polskim i przez L. Wiśniowską w języku angielskim cytowanego na wstępie niniejszego sprawozdania tekstu, złożonego później przez gen. Bora w skrytce w murze ściany wspaniałej sali teatralnej (gdymbyż taką salę mógł mieć dla swego użytku polski Londyn). Tło sceny stanowi wielkie płótno przedstawiające krajobraz polski, namalowany przez A. Pokultnisa.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze należy, iż Dom Kombatanta w Rugby zaprojektował inż. arch. J. A. Śliwa spod Oxfordu. Jego wielkiej życzliwości dla wysiłku Polaków Rugby zawdzięczać także należy doprowadzenie dzieła do szczęśliwego końca.

(p. h.)

Gdy w jednych skupiskach polskich w Anglii poświęca się i otwiera nowe domy polskie, w innych, wcześniej zorganizowanych, obchodzi się jubileusze. Tak np. odbyły się niedawno w Manchester, tej drugiej stolicy polskiej po Londynie, uroczystości dla upamiętnienia rocznicy otwarcia w roku 1949 Domu Kombatanta. A więc przeszło 16 lat istnieje ten Dom i co więcej — piętnaście lat administruje nim bez przerwy Stanisław Kopeć, co także stało się powodem do specjalnej, choć skromnej, uroczystości.

Uroczystości trwały dwa dni: pierwszego dnia spotkali się sportowcy na imprezie sportowej (choć nie wszystkie drużyn, które zapowiedziały swój przyjazd, dotrzymały obietnicy), a wieczorem odbyła się „zabawa taneczna sportowców“. Następnego dnia (25 kwietnia) rozpoczął się od Mszy św. odprawionej przez ks. kan. J. Basa w kościele polskim pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego. Popołudniu odbyło się poświęcenie świetlicy harcerskiej i biblioteki w Domu Kombatanta, który otwarłszy swe podwoje dla młodzieży raz jeszcze podkreślił rolę, jaką zamierza — i spełnia — wśród społeczności polskiej w Manchester. Akt ten połączony był ze zjazdem harcerskim z okazji uroczystości patrona harcerstwa św. Jerzego oraz ze świętem hufca harcerki „Kaszuby“. Zjechali się harcerze z Bolton, Huddersfield, Lancaster i Leeds. świetlica harcerska jest pięknie wyposażona i urządzona i napewno stanie się dla młodzieży harcerskiej ośrodkiem spotkań i pracy.

Po tym akcie goście przeszli na inne piętro Domu Kombatanta, gdzie na

ścianie umieszczona była historyczna mapa Szlaków Bojowych Wojska Polskiego w drugiej wojnie światowej. Odświeżenie jej dokonał prezes Zjednoczenia Polskiego P. Hęciak, oddając mapę pod opiekę społeczeństwa, a zwłaszcza kombatantów i młodzieży. Mapa ilustruje wszystkie szlaki, którymi podążał w ostatniej wojnie żołnierz polski — poprzez Rosję, Bliski Wschód, ziemię afrykańską i włoską po Anglię. Wskazane są także miejsca obozów koncentracyjnych i łagrów sowieckich oraz najważniejszych walk żołnierzy Armii Krajowej.

Z kolei odbył się Kominek Harcerski. Na wielkiej sali usiadła na podłodze wieńcem młodzież harcerska, która popisywała się śpiewem, tańcami i występowała w pomysłowych obrazkach scenicznych. W czasie tych popisów starsi wygłosili kilka przemówień: najpierw siostra Jadwiga w pięknych słowach podziękowała władzom SPK za oddanie świetlicy do dyspozycji harcerzy. Szczególnie serdeczne słowa skierowała pod adresem kierownika Domu Stanisława Kopcia i słowami: „Dziękujemy ci, panie kierowniku za poparcie i wielkie serce w tej sprawie“ zakończyła swe przemówienie. Z kolei prezes inż. J. Żaba wręczył siostrze Jadwidze w imieniu władz głównych SPK Srebrną Odznakę Honorową SPK. Siostra Jadwiga Wróblewska była tym wyróżnieniem mocno wzruszona, ciesząc się (jak mówiła), iż sprawi tym wiele radości swemu ojcu. Przemawiali nadto: sekretarz prezydium Rady Głównej SPK C. Czaplinski, mjr. W. Pawlik, który przedstawił historię powstania Domu Kombatanta w Manchester. Przypomniawszy zabiegi związane ze znalezieniem funduszy i wiele innych trudności, jakie zawsze powstają przy realizowaniu takich planów, ostatecznie na Wielkanoc 1949 odbyło się otwarcie Domu, a dnia 3 maja 1949 uroczyste otwarcie przez gen. dr R. Odzieżyńskiego, ówczesnego premiera rządu polskiego. I odtąd Dom „stał się kościołem, szkołą, salą teatralną, koncertową i kinową. Tu odbywały się akademie, zebrania organizacji społecznych m. in. Rady Oddziału SPK W. Brytania, Zjazd Oddziału W. Bry-



Zdjęcie przedstawia członków Komitetu Domu, który zainicjował i doprowadził do końca odbudowę Domu Kombatanta. Siedzą od lewej: F. Szendera, St. Postawa, K. Daverio i S. Kopeć. Stoją od lewej: A. Krawiecki, A. Marchand, W. Pawlik i J. Harendarski.

tania — wielkie zebrania polityczne i zawody sportowe. W Domu znajduje się świetlica sportowa, świetlica harcerska, są kancelarie organizacji społecznych, odbywają się próby chóru, ćwiczenia zespołu tańców ludowych. Wreszcie różne uroczystości rodzinne. Jest w Domu także największa w północnej Anglii biblioteka, nadto kiosk książkowy i gazetowy. Dom posiada nadto pokoje do gry, bilard i pokoje gościnne... Osiągnięcia Domu Kombatanta na przestrzeni minionych 16 lat są naprawdę duże. Widzi się je w odbudowie ruin, w rozbudowie, która przysporzyła 4 nowe lokale, w unowocześnieniu sal i urzędzeń... Jeśli następne pokolenie (mówił dalej mjr. Pawlik) nie rozwine takiej dynamicznej działalności społecznej jak my, to jednak Dom ma pełne szanse pozostać polskim centrum społeczno-organizacyjnym i kulturalnym życia polskiego“.

Z Domem Kombatanta szczególnie mocno związani są miejscowi Akowcy. Nic dziwnego, albowiem sam kierownik Domu jest od wielu lat prezesem miejscowego Oddziału Koła AK (dodajmy: jednego z najlepszych Oddziałów w całym Kole AK). Akowcy dołączyli się do uroczystości i ustami Romana Kołaczka złożyli do rąk zasłużonego płk. A. Marchanda, b. prezesa Koła SPK a obecnie przewodniczącego Komitetu Domu Kombatanta, dokument w którym czytamy m. in.:

„... W różnej formie i w różnym czasie 19 członków Koła AK układało cegiełki pod potężny gmach życia narodowego, religijnego, kulturalnego, sportowego, społecznego i rozrywkowego w Manchester. Proszę Pana Pułkownika o przyjęcie rejestru osób i prac wykonanych przez b. żołnierzy AK i włączenie w akta historyczne Domu Kombatanta. ... Akowcy postanowili zakupić dla biblioteki mieszczącej się w tym Domu 16 książek polskich z okresu zmagania narodu polskiego w 2 wojnie światowej...“.

Przemawiał także płk. Marchand mówiąc m. in.: „Specjalne słowa podziękowań należą się kierownikowi Domu Kombatanta, kol. Stanisławowi Kopciowi, który był spiritus movens wszystkiego, co się w tym Domu działo i dzieje“.

Istotnie, wysiłek był wprawdzie wspólny, wielu osób, których nazwiska nie sposób wymienić. Ale fakt, że na tym trudnym i odpowiedzialnym stanowisku od lat 15 bez przerwy jest p. Kopec, którego nazwisko jest nierozdzielnie związane z dziejami i rozwojem Domu, zasługuje także na podkreślenie. Dano temu wyraz w listach od władz głównych SPK i w przemówieniach wygłoszonych w czasie kolacji.

Prezes P. Hęciak powiedział m. in.: „Miałem okazję po Mszy św. oglądać wystawę, która afiszami, fotografiami i bogatą dokumentacją przypominała nam nie tylko dzieje powstania Domu Kombatanta, ale i nazwiska — jakże ich jest wiele — tych, którzy kładli pierwsze fundamenty pod ten ośrodek — a był to rok 1948. I miał rację p. mjr. Pawlik, gdy w liście do gen. Kopańskiego z dn. 28 sierpnia 1948 pisał, że gdyby Dom Polski powstał w Manchester „płynęłaby z niego siła i moc kierująca życiem polskich uchodźców i promieniowałaby kultura polska“. I dlatego cieszę się, iż mogę w tym dniu złożyć na ręce kierownika Domu i dla tych wszystkich, którzy z nim i w tym Domu współpracowali, najlepsze życzenia w imieniu Zjednoczenia Polskiego i zarządu Głównego Koła AK, które jest Pańską najbliższą organizacją koleżeńską“.

A prezes S. Soboniewski w specjalnym liście napisał: „Zasługa to wielu, wielu wypróbowanych działaczy kombatanckich, którzy dokładali cegiełkę po cegiełce w budowie Domu, aby służył potrzebom miejscowego społeczeństwa polskiego. Osiągnięcie to w bardzo poważnym procencie zostało dokonane“.

Jako ostatni zabrał głos prezes J. Żaba, który w imieniu władz głównych SPK udekorował Stanisława Kopcia Złotą Odznaką Honorową SPK. W „lampce wina“ wzięło udział kilkudziesięciu czołowych działaczy kombatanckich i społecznych oraz goście angielscy. W kolacji — najbliższe grono przyjaciół kierownika Domu, wśród których była także p. Trybuchowska, kierowniczka polskiej Szkoły Nauczania Przedmiotów Ojczystych, liczącej 430 dzieci, ks. kan. J. Bas, płk. Marchand, prezes Z. Piątkowski i wiele innych osób. (p. h.)

#### ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN POLSKICH NA UCHODŹCTWIE

W dniach 7-go i 20-go maja odbył się w Ognisku Polskim w Londynie dwudniowy zjazd Związku Artystów Scen Polskich na uchodźstwie. Na wniosek Komisji Rewizyjnej, ustępującemu Zarządowi, z prezesem F. Refrenem na czele, udzielono absolutorium z podziękowaniem. Seniorowi Sceny Polskiej — Ludwikowi Lawińskiemu nadano godność członka zasłużonego.

W wyborach nowych władz, funkcję prezesa powierzono jednomyślnie wracającemu po kilku latach do prac Związku, dr Leopoldowi Kielanowskiemu. Poza nim do zarządu weszli koledzy i koleżanki — Tola Korjan (wiceprezes), Zofia Konrad (sekretarz), Feliks Ma-

tyjaszkiewicz (skarbnik), Edward Chudziński (ref. prasowy), Lola Kitajewicz, Witold Sikorski, Danuta Michniewicz, Tadeusz Orłowski i Józef Rym-sza-Szymański. W truście opiekującym się funduszami Związku, pozostali kol. Włada Majewska, Witold Sikorski oraz pan Tadeusz Zablocki.

Spodziewać się należy, że już w niedługim czasie ujrzymy na naszej scenie widome rezultaty pracy nowego zarządu.

#### Ś. P. PROFESOR DOKTOR ALFONS AMADEUSZ-MARYA BRONARSKI

Ś. p. Alfons, Amadeusz-Marya Bronarski urodzony w r. 1891 w Małopolsce Wschodniej uczęszczał do gimnazjum we Lwowie i tam zdał egzamin dojrzałości z odznaczeniem w r. 1910. Po maturze zapisał się na wydział filozoficzny uniwersytetu we Wiedniu studiując filologię i literaturę romańską, niemiecką oraz historię sztuki. Do tych dyscyplin doszły równolegle w s. akademickim 1913/14 studia historii literatury polskiej na wszechnicy lwowskiej.

Zaskoczony wybuchem pierwszej wojny światowej w Szwajcarii w r. 1914 wstąpił na uniwersytet we Fryburgu, gdzie przez 6 semestrów studiował filologię romańską i historię literatury nowoczesnych, a zwłaszcza literaturę francuską. Dyplom doktora ès lettres uzyskał w r. 1920 po przedstawieniu tezy „Le Petit Jehan de Saintré — une énigme litteraire“ i zdaniu egzaminów ustnych z filologii romańskiej oraz literatury francuskiej i polskiej.

W latach 1920-23 był sekretarzem redakcji Encyklopedii Polskiej publikowanej w jęz. francuskim i angielskim we Fryburgu i w Genewie staraniem Rady Polonii Amerykańskiej.

W r. 1925 wstąpił na wszechnicę Paryską studiując przez 2 semestry w Szkole Profesorów jęz. francuskiego dla cudzoziemców, stanowiącej część składową Sorbony. I tutaj uzyskał dyplom z odznaczeniem.

W październiku 1927 wstąpił do służby dyplomatycznej w charakterze szefa Biura Prasowego Poselstwa Rzeczypospolitej w Bernie uzyskując w r. 1935 nominację na attaché prasowego tegoż Poselstwa; był członkiem korpusu dyplomatycznego do r. 1945.

W czasie swego pobytu w Bernie rozpoczął działalność profesorską na wszechnicy w Neuchatel z nominacją na docenta prywatnego w r. 1929, nauczając tam języka polskiego i wykładając historię literatury i kultury polskiej. W r. 1936 otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego i w tym



charakterze kontynuował swą pracę do chwili śmierci. Poza tym od r. 1944 prowadził kursy literatury i filologii polskiej na wszechniczy Fryburskiej.

Z jego głównych prac, poza wspomnianą dysertacją doktorską, wymienić należy prace porównawcze nad QUO VADIS H. Sienkiewicza z literaturą romańską, stosunki intelektualne w ciągu wieków między Polską a Szwajcarią w jęz. polskim, francuskim i niemieckim, także między Polską a Włochami, prace z dziedziny pobytu A. Mickiewicza w Szwajcarii i wreszcie geneza poematu J. Słowackiego „W SZWAJCARII“. Poza tym liczne artykuły we wspomnianych powyżej językach na tematy aktualne, w tym wiele w „Orle Białym“.

Odnaczony był dwukrotnie srebrnym oraz jednokrotnie złotym Krzyżem Zasługi, wawrzynem Polskiej Akademii Literatury (1937). W r. 1959 nadana mu została srebrna odznaka SPK.

Ś. p. Zmarły po utracie niepodległości Polski był bardzo czynny w wielu dziedzinach pracy społecznej: był założycielem i wieloletnim prezesem Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii, prezesem P. K. S. U. Veritas, założycielem i prezesem Szwajcarskiej Sekcji Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, prezesem Komitetu Tysiąclecia Chrztu św. Polski, wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

Zmarł 11 maja w szpitalu Les Bourgeois we Fryburgu i pochowany został 13 maja na cmentarzu w Bourguillon.

Ś. † P.

# Alfons Amadeusz-Marya BRONARSKI

Doktor filozofii, Profesor uniwersytetu

ataché prasowy Poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej w Bernie do r. 1945, odznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, założyciel i wieloletni prezes naszej organizacji, prezes P.K.S.U. Veritas w Szwajcarii, założyciel i prezes Szwajcarskiej Sekcji Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, prezes Komitetu Tysiąclecia Chrztu św. Polski, wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu, autor wielu prac z dziedziny literatury, historii literatury i kultury w j. polskim, francuskim i niemieckim, zmarł w szpitalu Les Bourgeois we Fryburgu dnia 11 maja i pochowany został na cmentarzu w Bourguillon dnia 13 maja 1965.

O bolesnej, ciężkiej stracie tego uczonego, patrioty i człowieka wielkich zalet zawiadamia

**ZWIĄZEK ORGANIZACJI POLSKICH  
W SZWAJCARII**

Ś. † P.

# JÓZEF HĘCIAK

nasz ukochany i najdroższy ojciec, brat i dziadek, urodzony 5 września 1883 roku w Bógdaju, powiat Ostrów Wielkopolski, zmarł 5 maja br. w Bydgoszczy po krótkich cierpieniach, opatrzony Najśw. Sakramentami.

Odszedł senior naszej rodziny, gorąco oddany wierze ojców, wielkiego serca Polak i patriota, przywiązany do tradycji narodowej, niestrudzony działacz na emigracji w Niemczech przed I wojną światową i w Kraju; miłośnik pieśni, której poświęcił niemal całe swoje życie. Będzie dla nas na zawsze przykładem ofiarnej służby dla Ojczyzny!

O bolesnej stracie zawiadamiają

**SYN w Londynie, CÓRKA (w zakonie) i  
WNUCZKA w Kraju, SIOSTRA w Szwajcarii**

W Zmarłym straciliśmy cichego, skromnego, lecz bardzo wielkiego patriotę, głęboko wykształconego, wnikliwego uczonego, pracowitego człowieka na niwie społecznej, który całe swe życie pracował zagranicą dla dobra swego kraju ojczystego, a wobec którego zaciągnęliśmy wielki dług wdzięczności. Lukę spowodowaną jego zgonem niełatwo będzie zapełnić, odczuwamy ją już dzisiaj. Jego bratu, profesorowi Ludwikowi Bronarskiemu wyrażamy imieniem ZOP i SPK w Szwajcarii oraz całej tutejszej społeczności szczerą i głęboką współczucie.

Stanisław J. Karolus

## Z ŻYCIA

### POLSKIEGO

### W ŚWIECIE

ORGAN UCHODŹCTWA POLSKIEGO  
W SZWECJI

Taki podtytuł noszą „WIADOMOŚCI POLSKIE“ — jedno z trzech emigracyjnych czasopism o tym tytule. Z pozostałych jedno ukazuje się w Australii, a drugie w Kanadzie.

„Wiadomości“ szwedzkie, mimo skromnej szaty zewnętrznej (są wydawane na powielaczu), stanowią interesującą lekturę nie tylko dla miejscowych rodaków, ale i dla tych co mieszkają w innych krajach. Jest to wynikiem odpowiedniej tematyki, która obejmuje, w dobrej proporcji, sprawy lokalne, zagadnienia ogólno-emigracyjne, ważniejsze wydarzenia z dziedziny polityki międzynarodowej oraz sprawy krajowe. W czasopiśmie tym mają swoje rybuny: krajowe SPK oraz skandynawski oddział Koła Lwowian.

Ostatni, majowy numer „Wiadomości“ zawiera: sprawozdanie z przebiegu manifestacji polskiej w Sztokholmie w 20 rocznicę uwolnienia więźniów polskich z niemieckich obozów koncentracyjnych oraz w 25 rocznicę mordu katyńskiego. Na uroczystości tej przemawiał gen. Z. Przyjałkowski, przew. Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji, W. Madlerowa b. więzień Rawensbrücku, inż. H. Eiger, który spędził 7 lat w obozach sowieckich, Ture Herman, pisarz i znany działacz szwedzi, mjr. Sven Frykman, kierownik transportów Szwedzkiego Czerwonego Krzyża oraz kilka innych osób. Zebranie poprzedziła konferencja prasowa,

podczas której wyświetlono dla dziennikarzy film o Katyniu.

Na dalszych stronach znajdują się artykuły: „Otworzyć granice dla emigracji z Polski“; T. Norwida — „ZBoWid, gen. Moczar, Bezpieka i

Katyn“; Z. Michalika — „Kilka uwag pod adresem Kolegów i Sympatyków SPK“; M. Teleszewskiego — „Lwów — Miasto zawsze Otwarte“; Z. J. Kanasy — „O Nowe Drogi na Emigracji“. Resztę numeru wypełnia bogata kronika wydarzeń.

## JUBILEUSZ GEN. MARIANA KUKIELA

W sobotę 15 maja polski Londyn złożył hołd generałowi Marianowi Kukielowi, który obchodził 80 rocznicę urodzin oraz 60-lecie pracy naukowej i służby wojskowej.

W przepelnionej sali Instytutu gen. Sikorskiego w Londynie przemawiali do jubilata: ambasador Raczyński, gen. W. Anders, Elżbieta z Czartoryskich Zamoyska oraz prof. L. Koczy. Gen. Anders wręczył jubilatowi pięknie oprawiony egzemplarz książki „Od Wiednia do Maciejowic“.

Dalsza część uroczystości odbyła się w „Ognisku Polskim“, gdzie przy lam-

pece wina, prezes Federacji Światowej SPK gen. K. Ziemiński udekorował jubilata odznaką honorową SPK. Wręczając odznakę prez. Ziemiński powiedział: „Mało osób zasłużyło na to skromne wyróżnienie w tym stopniu, co Pan, Generale. W osobie Pana skupiają się cnoty żołnierza, gorącego patrioty, człowieka wielkiej wiedzy i osiągnięć naukowych. Historiografia polska ma w Panu jednego z najznakomitszych przedstawicieli“.

Z okazji tego jubileuszu prasa polska w Anglii zamieściła szereg artykułów omawiających wszechstronnie dobroć Mariana Kukielę.

## 50 LAT KAPŁAŃSTWA KS. INFUŁATA MICHALSKIEGO

Dnia 23 maja br. londyński St. Pancras Town Hall był widowiską wzruszającej uroczystości: przybyło tam kilkaset osób, by swą obecnością dać wyraz gorącym uczuciom i przywiązaniu do osoby ks. Infułata Bronisława Michalskiego, który obchodził 50-lecie swych święceń kapłańskich.

W uroczystości wzięło udział wielu kapłanów, na czele z ks. Biskupem Wł. Rubinem, przedstawiciele władz, stowarzyszeń religijnych oraz świeckich. Przemówienia okolicznościowe wygłosili: ks. Inf. Wł. Stanisławski, prezes S. Soboniewski oraz prezes St. Jundzit-Baliński. W części artystycznej udział wzięli: Janina Wtórzecka, prof. J. Lepiankiewicz, dzieci Szkoły Przedmiotów Oczyszczonych „Devonia“, Zespół orkiestralny KSMP „Devonia“ pod kier. J. Tarasiuka, Zespół Taneczny KSMP „Devonia“-„Iskra“ pod kier. O. Ze-

romskiej. Zespół „Klubu Poezji“ im. K. Szymanowskiego, połączone chóry: Akademicki, Parafialny „Devonia“ oraz im. Szymanowskiego pod dyr. Henryka Hosowicza oraz Barbara Duleba. Kierownictwo artystyczne sprawował H. Hosowicz.

W czasie akademii Dostojnemu Jubilatowi wręczono pięknie iluminowany adres od duchowieństwa oraz złotą odznakę honorową SPK od Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, którego naczelnym kapłanem ks. Michalski został mianowany w r. 1964.

Wieczorem tego samego dnia Jubilat był podejmowany obiadem w klubie „Ogniska Polskiego“, w czasie którego przemówił gen. Wł. Anders, a płk. M. Piekarczyk odczytał cały szereg depesz z życzeniami, m. in. od 22 Stowarzyszeń Polskich Kombatantów w różnych krajach świata.

## ZJAZD SPK W HOLANDII

2 maja obradował w Amsterdamie XIV Krajowy Zjazd Delegatów SPK w Holandii. Obrady odbywały się w domu dla uchodźców „Het Leewenpoortje 1560“. Otwarcia Zjazdu dokonał prezes krajowego SPK inż. J. Minkiewicz, przewodniczył obradom kol. S. Werner.

Był to zjazd ściśle organizacyjny, na którym sprawozdania z rocznej działalności SPK w Holandii składali w imieniu władz krajowych: prezes inż. Minkiewicz, wicepr. H. Rečko, skarbnik B. Opolski, ref. kult-oświat. H. Urbański, ref. prasowy B. Strenk oraz ref. opieki wicepr. S. Werner.

Ponadto sprawozdania złożyli prezesi kół: Amsterdam, Lutterade, Ridderkerk, Utrecht, Rotterdam, Venlo i Vlissingen.

Delegacje SPK w Holandii występowały z poczem sztandarowym na uroczystościach 20-lecia wyzwolenia St. Nikolaas (Belgia), Axel, Bredy, Driel.

Dużą aktywność przejawiał referat prasowy, prowadzony przez red. B. Strenka, który obok organu „Kombatant w Beneluxie“ redagował i wydawał czasopismo w języku holenderskim „De Poolse Oudstrijder“, a ponadto zamieścił na łamach prasy holenderskiej kilkanaście artykułów na tematy polskie.

## UWAGI PRZYDROŻNE

*Nie to jest największą wadą głupca, że jest głupi, ale to, że się uważa za mądrego.*

★

*Najlepszym sposobem wyprowadzenia głupca w pole jest powiedzieć mu prawdę. I tak w nią nie uwierzy.*

★

*Nie ma młodych prawd, są tylko prawdy stare. I dlatego się je tak często dopiero na starość odkrywa.*

★

*Zdobyć nieśmiertelność czekaniem mogła tylko Penelopa.*

ATOM

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



## 21 ROCZNICA ZDOBYCIA MONTE CASSINO

**P**AMIĘĆ o wielkiej ofierze życia, złożonej przez naszych kolegów na polu nieśmiertelnej chwały na stokach Opactwa benektyńskiego i przyległych do Montecassina wzgórz, pozostaje wiecznie żywa w sercach Polaków.

W tym roku przybyła tu jeszcze jedna mogiła, w której złożono na wieczny odpoczynek doczesne szczątki śp. arcyb. Józefa Gawliny, biskupa polowego, który dzielił dołę i niedołę swych żołnierzy najpierw w walce w kraju, a potem na różnych frontach świata, by wreszcie jako Opiekun Uchodźstwa Polskiego dokończyć swego żywota na Obczyźnie wśród oddanej mu rzeszy kombatanckiej i uchodźczej.

Tegoroczną 21 rocznicę zwycięskiej bitwy o Monte Cassino obchodziliśmy w niedzielę 16 maja. Paręset osób przybyło na cmentarz, by uczcić pamięć tych, co oddali ciała ziemi włoskiej, choć serca ich i myśli były zwrócone ku Polsce. Obecni zgromadzili się wokół ołtarza na wzniesieniu ponad schodzącymi ku dolinie rzędami grobów poległych. W środkowej części uformowanego tak półkola stanął poczet sztandarowy S. P. K. we Włoszech, a po obu stronach zajęły miejsca osobistości z amb. RP Papée na czele, reprezentacja m. Cassino i włoskich związków kombatanckich, prezes S. P. K. we Włoszech Zaremba z wiceprezesami Szczepanikiem i Saganowskim, a po bokach duchowieństwo, siostry zakonne, tutejsi Polacy, grupa kombatancka z Anglii i z innych środowisk uchodźczych, a także rodacy z kraju. Było też wielu Włochów z okolic, zwłaszcza spośród tych, co jak to wspomniał w swym hołdzie przedstawiciel m. Cassino, byli podczas walk świadkami nadludzkich zmagañ żołnierzy Drugiego Korpusu, by przełamać opór reddy hitlerowskiej w klasztorze, zagrządzającej, aż do tej zwycięskiej bitwy, drogę do Rzymu.

Delegat Prymasa Polski jako Opiekuna Emigracji, ks. bisk. Władysław Rubin rozpoczął uroczystość żałobną od poświęcenia grobu i płyty grobowej śp. ks. arcyb. Gawliny, który zgodnie ze swą wolą spoczął na wieki obok swych żołnierzy, tuż przed ołtarzem, skąd przez tyle lat zanosił do Boga modły za poległych i za Ojczyznę wciąż jeszcze w niewoli. Przed poświęceniem tej mogiły wśród białych czerwonych kwiatów ks. bisk. Rubin we wzruszających słowach nakreślił sylwetkę śp. generała, biskupa polowego i żołnierza tułacza. Zgromadzeni wysłuchali następnie w skupieniu Mszy św., celebrowanej w intencji poległych przez Duszpasterza Emigracji ks. biskupa Rubina,

który w czasie nabożeństwa wygłosił też piękne kazanie — wspomnienie dziejów bohaterstwa żołnierza polskiego na całym świecie, a w szczególności bezgranicznego poświęcenia żołnierzy Drugiego Korpusu Polskiego, wspomnienie zakończone wyrażeniem niezłomnej wiary, że ofiara poległych nie była daremna.

Następnie u znicza, w środku wielkiego emblematu Krzyża Virtuti Militari, odbyła się ceremonia składania wieńców. Wieniec z napisem „Wasza ofiara nie pójdzie na darmo“ złożył ambasador RP Papée, za nim złożono wieńce od m. Cassino i Federacji Europejskiej S. P. K., a na końcu oddał hołd poległym kolegom składając wieniec od naszej organizacji prezes SPK we Włoszech Zaremba w otoczeniu tutejszych kombatanatów.

J. Gn.

B.D.I.C.

Doskonała książka na nagrody dla  
dzieci w szkołach przedmiotów  
ojczystych

### ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.  
London, S.W. 11.

## POPIERAJ POLSKIE FIRMY

### ROZGŁOŚNIA POLSKA RADIA WOLNA EUROPA

#### POSZUKUJE MŁODYCH KANDYDATÓW

na stanowiska redaktorów, lektorów  
(„speaker'ów“) oraz sekretarek.

*Zgłoszenia z życiorysem kierować należy  
na adres:*

POLISH BROADCASTING DEPARTMENT  
RADIO FREE EUROPE  
ENGLISCHER GARTEN 1  
(8) MÜNCHEN 22

J U Ż N A D E S Z Ł A

## Wódka Soplica 70 pr.

w Polsce uważana za  
najlepszą

cena za ½ l. but. 37/-

Zamówienia hurtowe przyjmuje:

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, London, W. 1.

# BILETY

KOLEJOWE,  
SAMOLOTOWE,  
OKRĘTOWE

Formalności związane  
ze sprowadzaniem rodzin  
z Kraju  
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

## TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,  
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16

47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2

39, Corporation Street

Tel. MID 1526

## KRZYŻÓWKA

NR 572/65

### ZNACZENIE WYRAZÓW

**Poziome:** 2) zapowiedź; 6) i 8) polski pisarz renesansowy; 7) rozwiązanie; 9) w nich trzymać — to w rygorze; 10) jest w każdym włoskim większym mieście; 11) rodzaj sokoła; 12) zasada, przepis; 14) niespodziewanie (2, 4, 2, 1, 4); 19) i 20) słownik; 21) wieszak porzuconej sprawy?; 22) każda rola; 23) najłatwiej innym wytkać; 24) ustęp przed nowym wierszem; 25) szerokie spodnie.

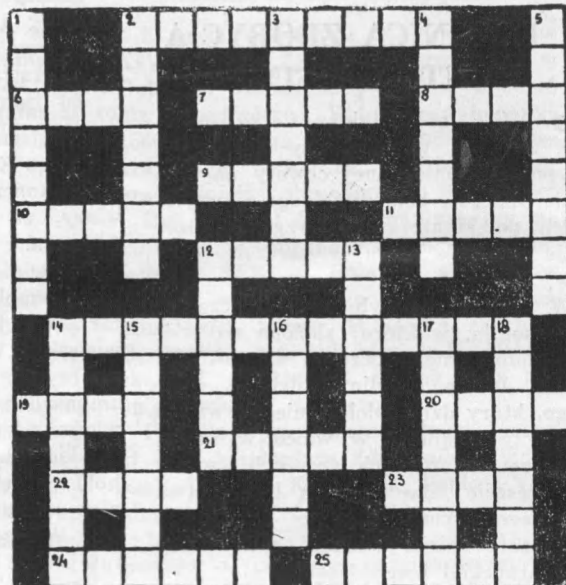
**Pionowe:** 1) król, ksiądz proboszcz lub pan dobrodziej; 2) przyniosła na świat nieszczęścia; 3) poemat Byrona; 4) ptaszek, którym można określić świnie?; 5) burztynowego koloru obok gryki róż; 12) kółko; 13) historyk polski XIX wieku (wspak); 14) każda droga do niej dobra?; 15) kwiatek, który już przekwitł; 16) zamieszanie; 17) był w Polsce z misją wojсковą w 1920 r.; 18) cechuje ich uniżoność i pochlebstwo.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 571/65

**Poziome:** 2) przybytek, 6) Kair (wspak), 7) polać, 8) róże, 9) pomór, 10) i 11) domniemany, 12) datki, 14) Jazda do Moskwy, 19) okno (wspak), 20) arcy, 21) papła, 22) czi (wspak), 23) lira, 24) Lolita, 25) placek.

**Pionowe:** 1) Turandot, 2) pokątne, 3) bałamut, 4) karczma, 5) pierzyna, 12) pojazd (wspak), 13) ironia, 14) Jankiel, 15) zgorzel, 16) kopyto (wspak), 17) kraniec, 18) krajczy (wspak).

Czesław Halski: PADEREWSKI — Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka. Stron 100, ilustracji 8. Cena 10/6. Wydano staraniem S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni S. P. K. (20, Queens Gate Terrace, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Rd., S.W.11) oraz w innych polskich księgarniach.



MOŻESZ WYSLAĆ

## WSZYSTKO

przez

## Grabowskiego

Lekarstwa

żywność

Pieniądze

Owoce

Ortaliony

(bez podpink i z podpinką)

i tak dalej

Nowy cennik z kalendarzem 1965

Każdy artykuł do wyboru  
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,  
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

KSIĘGARNIA I DOM  
WYDAWNICZY



# GRYF

169-171, Battersea Church Road,  
LONDON, S.W.11. Tel. BAT 1445

POLECA WIELKI  
WYBÓR KSIĄŻEK  
POLSKICH

Przedstawicielstwo na Wielką  
Brytanię

MIESIĘCZNIKA  
KULTURA

Administracja miesięcznika  
ORZEŁ BIAŁY

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



## HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biurow Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W.7.